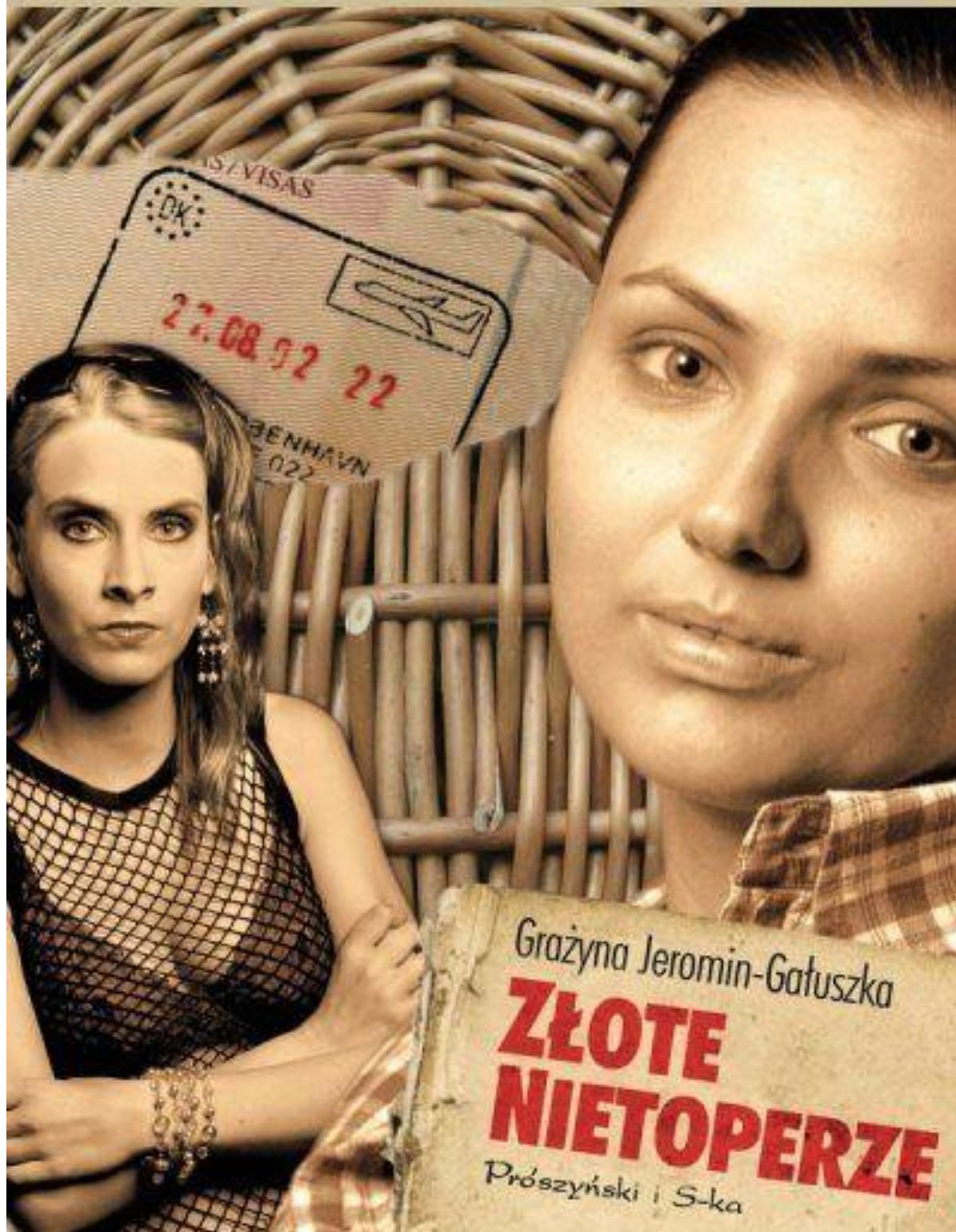


I MIEJSCE w konkursie literackim



# Jeromin-Gałużka Grażyna

## Złote nietoperze

*Debiutancka powieść Grażyny Jeromin-Gałużki to pełna uroku historia dwóch kobiet, które mimo zupełnie różnych charakterów, muszą razem zmierzyć się z przewrotnym losem. Obie kochały tego samego mężczyznę i obie zostały przez niego skrzywdzone. Razem odkrywają jego mroczną tajemnicę. Ciekawie skonstruowana fabuła, żywe dialogi oraz wątek sensacyjny, sprawiają, że sceny z powieści przesuwają się niczym obraz filmowy.*

Siedem miesięcy opiekowała się Mateuszem, wołającym każdego ranka o śmierć, nie śpiąc prawie i nie jedząc, więc kiedy w połowie maja umarł wreszcie u schyłku bardzo pięknego spokojnego dnia, położyła głowę na prawym ramieniu, opartym na niewygodnym krześle, i zasnęła. Był to pierwszy prawdziwy od wielu miesięcy sen. Zapomniała w nim o bólu: swoim i Mateusza.

Każdy jego krzyk wywoływał w jej mocnym ciele fizyczne cierpienie, kiedy ledwo powłóczę nogami, wstawiała z niewygodnego krzesła i brała z podłogi miskę, by mógł do niej wypluć strzęp zepsutych wnętrzności. Potem wychodziła z domu z tą miską, szła za szope, i to był jedyny moment wytchnienia - oddzielała się od jego bólu obowiązkiem uczynienia rzeczy konkretnej. Wszystko inne w tym czasie było na drugim planie. Nawet zwierzęta, które karmiła tylko wtedy, gdy na krótko zasypiał. Robiła to w pośpiechu, w prawdziwie chorym, wymuszonym przez warunki nieustającym transie, bo tak niewiele miało to wspólnego nawet z nabytą przez lata rutyną. Był tylko krótki sygnał z mózgu, że należy coś zrobić, a zaraz za nim następny, żeby to zrobić natychmiast i wracać do łóżka chorego, zanim rozlegnie się kolejny krzyk. A potem, kiedy zmęczona nieludzko sama zatęskniła za snem, on budził się i wołał o plaster przeciwbólowy. Albo żeby go zabiła.

- Zabij mnie - krzyczał - bo dłużej tego nie wytrzymam.

Otwierała dopiero co opadłe powieki i nieprzytomnie rozglądała się po pokoju.

- Ale jak? - pytała bezradnie. - Jak mam cię zabić?
- Normalnie, tak jak się zabija! - wyrzucił z wściekłością. - Przez tyle lat nauczyłaś się tylko karmić zwierzęta i wyrywać marchewkę z pola, trudno, żeby teraz wymagać od ciebie takich rzeczy.
- Jakich rzeczy?
- Normalnych. Każdy człowiek to potrafi. Ty potrafisz tylko rozmawiać ze zwierzętami.

Nie ma nic trudnego w mówieniu do zwierząt. Hodować je i uprawić ziemię to też żadna filozofia. Zwłaszcza kiedy jedno i drugie jest przyjemnością, jak dla niego wyplatanie koszy. I jeśli je miał na myśli, mówiąc, że niczego się przez tyle lat nie nauczyła, to nie ma się czego wstydzić, bo przecież próbowała.

Usiadła pewnego ranka pod szopą i oplotła wikliną szkielet kosza. A on, kiedy to zobaczył, powiedział: „Jak można mieć tak duże, niezdarne ręce”. Nie musiał mówić, że jej ręce nie nadają się do niektórych delikatnych czynności. Z pewnych rzeczy sama zdawała sobie sprawę. Rozmawiać ze zwierzętami - to co innego. Są wdzięczne za każde słowo, jak wiklina jego dłoniom, kiedy wyprawiał z nią cuda. Wiele razy, obserwując ukradkiem, jak siedzi pod szopą, zastanawiała się, czy nie mówi do wikliny, że tak mu jest posłuszna. Ona by mówiła.

Przez siedem lat wyplatał kosze, a ona zajmowała się gospodarstwem. Patrząc na jego pochylony kark i zręcznie poruszające się ręce, mówiła do Kreski, żeby nie ogryzała młodych drzewek wiśni, bo one tego nie wytrzymają. I Kreska to rozumiała. Szła na łąkę i ogryzała ogrodzenie z wierzbiny. Kiedy ogryzała je całkiem, ku uciesze kur, które z miejsca wykorzystwały okazję, by wydostać się na drogę i tam podziobać coś świeżego, Matylda robiła nowe ogrodzenie. Było tak samo niezdarne i toporne jak jej ręce, ale od pewnych rzeczy nie wymaga się przecież subtelności, wystarczy, jeśli tylko spełniają swoją funkcję.

Czego innego wymaga się od płotu, czego innego od człowieka. Rozumiała to doskonale i chyba dobrze oceniła swoje możliwości, skoro przez siedem lat wszystko grało. Mateusz robił swoje, a ona swoje. Dni mijały, ciche i piękne. Ani się obejrzała, jak minęły miesiące i lata. Czy nie tak miało być? Od samego początku, od pierwszego dnia, kiedy przywiózł ją tu, pokazał Wzgórze i powiedział:

- Dziadek wyplatał kosze, ojciec wyplatał kosze i ja będę to robił do końca życia, bo nie widzę innego wyjścia. Znajdź sobie jakieś zajęcie, tylko mi nie przeszkadzaj, bo nie lubię, jak mi ktoś przeszkadza.

Matylda kiwnęła tylko głową, bo już w drodze powiedział, żeby odzywała się jak najrzadziej.

- Masz taki mocny głos...

Zwierzętom to nie przeszkadzało. Patrzyły jej w oczy ze zwierzęcą miłością, kiedy się do nich zwracała. Nawet głupie kury lepiej niosły, jeśli z rana wygłosiła przed kurnikiem jeden ze swych krótkich monologów na temat braku deszczu czy jego nadmiaru. W końcu do kogoś musiała mówić. I nie było to pozbawione sensu, jeśli zaraz z wdzięczności siadały w gniazdach, a potem radosnym wrzaskiem oznajmiały, że już po wszystkim. Brała koszyk, jeden z tych, które swymi zręcznymi rękoma wyplótł Mateusz, i po kolei wybierała jajka z gniazd, nie mogąc się nachwalić i nadziwić, jakie mądre te kury, jakie kochane i pożyteczne. Każde jajko wyjęte z gniazda i każdą wyrwaną z pola marchewkę obracała w rękach z jednakowym szacunkiem. Z takim samym szacunkiem traktowała wszystkie swoje zwierzęta i każdy skrawek uprawianego pola. Gdyby nie zwierzęta i pole, oboje umarliby z głodu. Mateusz za swe ciężko zapracowane, można powiedzieć: wyplecione, pieniądze nie kupował prawie nic prócz wikliny i chleba. Nie dziwiła się i nie buntowała. Wszystko inne: jajka, mleko i mięso dawały zwierzęta. Obsiała pole zbożem i kosiła łąkę, by miały co jeść. Nie

narzekała nigdy, że ma za dużo pracy, nawet jeśli miała jej za dużo, bo lubiła to tak, jak Mateusz lubił pochylać się nad wikliną. Podzielili swoje obowiązki od razu: on wyplatał kosze, a ona zajmowała się zwierzętami. Właściwie zajmowała się wszystkim, od rana do nocy miała co robić. Zawsze mieli co jeść i nigdy się nie nudzili.

Jeśli komuś kiedykolwiek przychodziło do głowy wątpić w sens jej monotonnej egzystencji, odpowiadała niezmiennie, że każdy czego innego oczekuje od życia. Popęłiłaby wielki grzech, gdyby oczekiwała więcej.

- A więc powinnaś być szczęśliwa - podpowiadała wtedy z nutką zadziwienia Róża Lorenc, najbliższa sąsiadka, bo tylko jej przychodziło do głowy interesować się egzystencją Matyldy, taką czy inną.

- Bo jestem - ucinała krótko, ku najwyższemu zgorszeniu Róży, Matylda. Sama nigdy się nad tym nie zastanawiała, a kiedy sprowokowana dociekaniem Róży wreszcie się zastanowiła, doszła do wniosku, że to bardzo dziwne uczucie.

Teraz we śnie czuła to dziwne szczęście i spokój, który coś bezskutecznie przez długą chwilę starało się zmać. Mocno zaciskała oczy, bo tak słodko było spać. Od wielu miesięcy, a właściwie od siedmiu lat nie spała tak dobrze. W końcu jednak musiała się poddać. Otworzyła oczy i usłyszała obok siebie:

- Matylda, Matylda! Ja umarłem! Przetarła oczy i otworzyła je na dobre.

- Wiem - szepnęła. - Przecież wiem...

Mateusz leżał obok, spokojny jak nigdy. Już zapomniała, że ciało po śmierci może osiągnąć taki spokój, jedyny w swoim rodzaju: niewzruszony i ostateczny. Popatrzyła na niego i pomyślała, że trzeba go pochować.

Nie musiała nikogo pytać, co i w jakiej kolejności nałoży zrobić. W dzieciństwie opiekowała się ciotką Milą. Nikt jej nie nakazał tej opieki, ale też i nie wyręczył w niej. Ciotka chorowała, a ona mieszkała pod jej dachem i jadła jej chleb. I powinna być wdzięczna (ciotka Mila nie owijała w bawełnę: Powinnaś być mi wdzięczna za to, za tamto, gdyby nie ja, lo wiesz, co by się z tobą stało. Wiem, ciociu.), że w ogóle ma dach nad głową i chleb, i od czasu do czasu nową sukienkę albo buty. Siedziała więc przy niej dzień i noc, jak teraz przy Mateuszu, i ani razu nie przyszło jej do głowy, że to się może skończyć. Ale skończyło się. Pewnej nocy ciotka westchnęła głośno, ale wyjątkowo spokojnie, i rano już nie otworzyła oczu. Potem przyjechały jej siostry i wyprosiły z pokoju wszystkie dzieci, które poprzywoziły ze sobą nie wiadomo po co. Na Matyldę nikt nie zwrócił uwagi. Nikomu do głowy nie przyszło, że ona też jest dzieckiem. Siedziała na krześle w kącie dusznego pomieszczenia, bo nie miała siły wstać i wyjść. Wtedy widziała, jak się wszystko robi. Trzy siostry Mili, w tym rodzona matka Matyldy, ubierały ją do trumny i bardzo się przy tym zmęczyły - ciotka do samej śmierci nie zrzuciła jednego deka ze swych stu dwudziestu i pół kilograma. Spała intensywnie, ale krótko; sprawdziła ręką: ciało Mateusza było jeszcze ciepłe. Zmówiła krótką modlitwę, a potem umyła go i ubrała. Poradziła sobie bez trudu, Mateusz był tak wychudzony, jakby nigdy nic nie jadł, i lekki jak piórko. Nic dziwnego - lekarz dawał mu najwyżej trzy miesiące życia, a on żył całe siedem i w tym czasie tylko chudł. Pod koniec, kiedy już nie miał siły wstać, brała go na ręce i zanosila do wanny. I za każdym razem zdawało jej się, że chudną nawet jego kości, bo coraz był lżejszy i lżejszy. Zanurzała go w dobrze spienionej wodzie, wyjmowała i zawijała w ręcznik jak

dziecko. Wszelkimi siłami starała się wtedy nie patrzeć na jego twarz, żeby nie widzieć na niej nieprawdopodobnej wściekłości. Zastanawiała się nieraz, skąd bierze siły na taką wściekłość, ale rozumiała, że wynika ona tylko i wyłącznie z bezradności człowieka, który przez całe swoje życie nie potrzebował od nikogo łaski. Nie potrzebował od nikogo niczego.

W dzień pogrzebu zwierzęta zachowywały się tak, jakby ich nie było. Matylda o świcie wydoiła krowę, a potem pootwieriała oborę i kurniki i powiedziała, aby sobie poszły, gdzie im się podoba. I tak zrobiły. Nawet kury przeniosły się za szopę, a Biała Dama, ogromna gęś, z którą Matylda miała więcej kłopotów niż pożytku, dołączyła do nich i chyba po raz pierwszy w swym gęsim życiu nie robiła zamieszania na podwórku. Tylko Tenor, wielki owczarek niemiecki, wsunął się pod schody i nie wychodził stamtąd do nocy. Zawsze czekał na obcych, nawet jeśli znajdowali się daleko za ogrodzeniem, ale teraz, trzymając łeb na mocnych łapach, tylko patrzył, jak różni ludzie wchodzą i wychodzą z domu.

Matylda też nie mówiła nic, tylko patrzyła. Przed jej oczyma odgrywał się odwieczny rytuał i całym swoim istnieniem starała się *to* zrozumieć. Ludzie odmawiali modlitwy i śpiewali. Ona sama pożegnała się z nim krótko: „Śpij spokojnie, Mateusz”. Chciała jeszcze dodać: mój drogi lub coś w tym rodzaju, ale przez całe swoje życie unikała patosu, wyrażała się krótko, konkretnie i sucho. Albo nie odzywała się wcale.

Zrobiła wszystko tak jak trzeba. Ludzie ze smętnym uznaniem kiwali głowami, że tak sama sobie poradziła. Nie odpowiadała, bo po co. Wszystko było jasne. Mateusz umarł i trzeba go pochować. Jak najszybciej.

Róża Lorenc dała znać, że już czas zamykać trumnę i dotykając ramienia Mateusza w pożegnalnym geście, zauważyła nagle:



- Z prawej strony jakby był trochę wyżej...

I spojrzała na Matyldę pytającym wzrokiem, ale Matylda wzruszyła tylko ramionami i znieruchomiała na moment. Odetchnęła z ulgą, kiedy następni ludzie zaczęli podchodzić i ścisnąć ramię Mateusza. Napierając najpierw jeden na drugiego, jakby się nagle wszystkim zaczęło śpieszyć, a potem wycofując, pociągnęli za sobą Różę, która nie spuszczała wzroku z Matyldy, ale Matylda uśmiechnęła się lekko, chcąc dać sąsiadce do zrozumienia, że wszystko w porządku. Dla niej tak właśnie było i nikt nie musiał wiedzieć, że pod prawym bokiem Mateusza leży parę prętów wikliny. Nie lubiła się odzywać w ogóle, nie znalazła też powodu, by w tych okolicznościach tłumaczyć wszystkim, skąd wzięła się wiklina pod bokiem Mateusza. Sama się nad tym zresztą nie zastanawiała. Zrobiła to odruchowo, tknięta jakimś ponaglającym przekonaniem, że właśnie to musi zrobić, kiedy układając go w trumnie, przypomniała sobie nagle, jak w dzień przed śmiercią cały czas bredził o wiklinie i pokazywał na szopę, jakby szopa była w tamtej chwili najważniejsza. I patrzył jej przy tym w oczy, chociaż przez siedem lat starał się robić to jak najrzadziej. Ludzie przywiązują się do różnych rzeczy, pomyślała, idąc do szopy, gdzie leżały sterty gotowej do wyplatania wikliny, a za nimi ustawione od podłogi do sufitu kosze. Mniejsze i większe, gorsze i lepsze. Te na samym końcu nazywał defektami albo wypadkiem przy pracy i nie wolno ich było ruszać. Jakby Matyldzie kiedykolwiek przyszło do głowy, żeby je ruszyć. Nikt już teraz nie zwracał uwagi na Różę, wypchniętą aż na korytarz. Stamtąd starała się jeszcze przekonać kogoś, żeby poprawić Mateusza - niech sobie wygodnie leży - wtedy weszli pracownicy zakładu pogrzebowego i zapytali wzrokiem Matyldę, czy już można kończyć. Matylda położyła rękę mr ramieniu Mateusza i trzymała ją tam dłużej niż inni, a potem lekko skinęła głową, pozwalając przykręcić śruby, i poszła na górę po torebkę.

Było już dobrze po południu, kiedy Róża pożegnała Matyldę przy szosie, bo Matylda nie chciała, żeby ją odprowadzać pod sam dom. I tak była wdzięczna za to, że nie musiała wracać z cmentarza sama w tym piekącym upale. Całą drogę mówiła o suszy, która - jeśli tak dalej będzie - wypali całą łąkę do gołej ziemi, i nie pozwoliła dojść Róży do głosu, domyślając się co Róża mogłaby powiedzieć. Dopiero kiedy Matylda skręciła w polną drogę, prowadzącą do Wzgórza, Róża zdołała się odezwać:

- No i nie pojawiła się.

- Kto? - spytała bez specjalnego zainteresowania Matylda.

- Takie jak ona zawsze mają wszystko w nosie - mruknęła pod nosem Róża i poszła w swoją stronę.

Matylda patrzyła chwilę za sąsiadką, zbyt zmęczona, żeby zawołać, kogo właściwie miała na myśli, a potem ruszyła do Wzgórza piaszczystą drogą. Kurz położył się cienką warstwą na jej czarnych pantoflach i rajstopach, więc kiedy doszła do domu, zrzuciła z siebie wszystko, zmyła zmęczenie i włożyła codzienne ubranie: cienką bluzkę i bawełniane spodnie do kolan, za którym tęskniła przez cały czas ceremonii.

Już po wszystkim - pomyślała, siadając na schodach werandy i pochylając głowę. Dopiero teraz Tenor wyczołgał się spod werandy i posłał Matyldzie wierne spojrzenie, skamłając cicho. Przez ostatnie dwie doby nie wychodził spod werandy i nie jadł. Zignorował wszystko i wszystkich, psim węchem być może czując, że są w ludzkim życiu chwile, w których nie wymaga się od psa, żeby obszcze kiwał z daleka każdego, kto pojawi się na piaszczystej dróżce prowadzącej od szosy. Z łbem ułożonym na przednich łapach spoglądał spod werandy na podjeżdżające samochody i wychodzących z nich ludzi, jakby tylko zdziwiony, że tyle ludzi żyje na świecie - w całym swym siedmioletnim życiu widział może kilku przedstawicieli gatunku, do którego należała jego pani.

Już po wszystkim - powtórzyła w myśli i pogłaskała psa po pysku. Zaszczekał dwa razy, jakby chciał sprawdzić, czy potrafi jeszcze szczekać, i pobiegł za Kreską, która, zdezorientowana wydarzeniami ostatnich dni, na nowo zaczęła ogryzać drzewko wiśni. Wierzgnęła parę razy lekceważąco na Tenora, trochę zła, że śmie jej zwracać uwagę, ale zostawiła wiśnię w spokoju i pobiegła do Matyldy, zatrzymując się co jakiś czas i drocząc: z psem. Po chwili i Biała Dama, smętnie snująca się z kurami za szopą, z żalnym gę, gę zbliżyła się do werandy i skubnęła Matyldę w gołą stopę. Matylda objęła wzrokiem wszystkie swoje zwierzęta, a Tenora ramieniem, i zerkając w kierunku szopy, gdzie pod zadaszeniem stał niedokończony przez Mateusza kosz, pochyliła głowę i pomyślała, że teraz powinna zapłakać.

Ale nie zapłakała.

Siedziała długo na schodach przed domem i w pewnym momencie spostrzegła, że jej myśli nie krążą wokół żadnego tematu. Nie miała zamiaru tego zmieniać. Siedziała i wdychała powietrze wczesnego wieczoru.

Pierwsze myśli powróciły kilkadziesiąt minut później, kiedy idąc spać, zerknęła w okno kuchni i zobaczyła, że pod zadaszeniem szopy przy niedokończonym koszu siedzi Mateusz i wyplata go. To tylko zmęczenie - pomyślała i poszła na górę.

O świcie zerwała się i siedziała chwilę w łóżku, nasłuchując odgłosów w domu. Czekala, aż usłyszy jęki Mateusza albo jego wrzask, zdziwiona, że pozwolił jej przespać całą noc. Czuła się nieprzyzwoicie wypoczęta, mimo to nie mogła skupić myśli, oprzytomnieć i odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Dopiero kiedy zeszła do kuchni i zerkając w okno, zobaczyła pod zadaszeniem szopy niedokończony przez Mateusza kosz, zrozumiała, że od tej chwili jest sama. Ubrała się i poszła do krowy. Wydoiła ją, pogłaskała po brzuchu i wyprowadziła na łąkę.

- Jeśli zaraz nie spadnie deszcz - powiedziała do niej - nie będzie co kosić i zostaniesz bez siana na zimę.

Krowa odwróciła łeb w stronę Matyldy i przeżuwając wydartą z ziemi mało soczystą trawę, popatrzyła na nią swymi wielkimi, łagodnymi oczyma z wdzięcznością.

- Nie bój się - odpowiedziała na ten wzrok Matylda. - Na pewno nie będziesz głodować. Jakoś to będzie.

Po tych słowach sama nabrała otuchy i różnym krokiem wróciła na podwórko, gdzie słychać było wrzask kur przy kurniku. Biała Dama siedziała w misce z ziarnem i chwyciła mocnym dziobem każdą kurę, która próbowała się do niej zbliżyć. Na widok Matyldy wyskoczyła z miski i zaczęła gęgać żałośnie. Matylda nie dała się nabrać.

-1 jeszcze próbujesz mnie przekonać, że to one ci dokuczały, tak?

Zamachnęła się na nią kijem w powietrzu. Gęś dziobnęła poza wzrokiem Matyldy siedzącego z wywieszonym jęzorem i obserwującego całą scenę Tenora, a potem z pełnym skargi gęganiem zaczęła się rozglądać po ziemi w poszukiwaniu jakiegoś pokarmu.

- Masz jeszcze coś do powiedzenia? - Matylda zmierzyła ją pełnym dezaprobaty wzrokiem. - Jesteś podła. Dokuczasz kurom, z których jest jakiś pożytek, i zganiaś je z gniazd, jak tylko nie ma mnie w pobliżu. Nie myśl, że tego nie wiem. Dawno poszłabyś pod siekiere, ale wątpię, czy coś z ciebie nadawałoby się do jedzenia.

Matylda uznała, że to wystarczy, by przywołać do porządku gęś, która z dumnie uniesioną głową poczłapała do pasącej się pod płotem Kreski.

Tenor szczerknął za nią raz w odpowiedzi na bolesne szczygnięcie, pobiegał po podwórku, zaglądając to tu, to tam, a potem położył się u stóp swej pani, która zrobiła już wszystko, co miała do zrobienia, i usiadła na pieńku tylko po to, by na nim posiedzieć. Popatrzyła po podwórku, na

którym nic nie zostało po Mateuszu. Nic, prócz wielkiej i długiej szopy, wypełnionej po brzegi różnej wielkości koszami.

Ta szopa prawie zawsze była pełna. Od czasu do czasu Mateusz opróżniał ją do połowy - ładował kosze na starego forda i jechał je sprzedać, a kiedy wracał po tygodniu albo dwóch, znowu siadał pod zadaszeniem i wyplatał je, póki nie nappełnił jej na nowo. Kiedy zaraz po przyjeździe zagadnęła, dlaczego robi nowe kosze, jeśli pół szopy jest niesprzedanych, powiedziała, że nie wszystko jest na sprzedaż, a tak w ogóle to nie jej sprawa; od tamtej pory nie pytała.

Właściwie przez siedem lat nie zapytała go o nic z wyjątkiem tego, czy jest głodny. W pewnym momencie zrozumiała jednak, że kiedy Mateusz czuje głód, sam się upomina o jedzenie, więc i o to przestała go pytać. W ich wspólnym istnieniu nie było miejsca na zbędne słowa. Nigdy ze sobą nie rozmawiali. Nie komentowali zjawisk ani zdarzeń. Matyldzie to odpowiadało - nigdy tak naprawdę nie nauczyła się rozmawiać z ludźmi. Milczenie było zawsze jej pancerzem ochronnym. Czuła się pod nim dobrze i bezpiecznie na tyle, na ile było jej to potrzebne. Od czasu do czasu tylko nagle i bez żadnego ostrzeżenia przychodziła myśl, która przez godzinę lub dwie nie dawała jej spokoju: jakie uczucia żywi do niej ten człowiek? Wtedy wszelkimi siłami starała się ją odegnąć, skupiając uwagę na mało ważnych sprawach i robiąc rzeczy, których nie musiała akurat robić. Ponieważ w ich życiu nie było miejsca na pytania, miała nadzieję, że kiedyś sam, w ten czy inny sposób, jej to powie. Ale on jej nigdy tego nie powiedział.

Nie było potrzeby zawracać sobie teraz głowy takimi sprawami. Nie dowiedziała się tego i już nigdy się nie dowie. Do cze-

go mogła przydać jej się teraz ta wiedza? Dwadzieścia lat temu, dokładnie w dniu swoich dziesiątych urodzin, przejęta tak doniosłym wydarzeniem, odważyła się zapytać ciotkę, dlaczego nie mieszka w domu z matką, jak wszystkie dziewczynki w jej wieku. Ciotka popatrzyła na nią swymi małutkimi oczami ukrytymi w pulchnej twarzy i nie powiedziała nic, ale Matylda nie dała za wygraną.

Widywała matkę od czasu do czasu, przeważnie jak przychodziła odwiedzić swoją siostrę i przekonać się, że jest jeszcze grubsza niż ostatnim razem.

- Ja chyba śnię! - mówiła nerwowo, starając się za wszelką cenę nie patrzeć na uchylone drzwi sypialni, za którymi zawsze stała Matylda. - Znowu utyłaś. Jak tak dalej pójdzie, będzie problem z włożeniem cię do trumny, kiedy umrzesz. A umrzesz prędko, jak tak dalej będziesz tyć. Matylda za drzwiami sypialni kładła rękę na ustach, żeby nie parsknąć śmiechem. Zawsze miała ochotę roześmiać się, kiedy jej matka mówiła w ten sposób o ciotce, a mówiła tak za każdym razem. Sama była niewysoka i drobniutka i pachniała najładniej na świecie. Jeszcze długo po jej wyjściu w całym domu czuć było słodki zapach konwalii. Matylda siadała na krześle, zamykała oczy i wdychała ten zapach, póki ciotka nie krzyknęła na nią, żeby wzięła się do jakiejś roboty. Matylda brała się do sprzątanania albo biegła na róg do cukierni po pączki, które po odwiedzinach matki smakowały ciotce pięć razy bardziej niż w każdy inny dzień.

Tamtego dnia, w dniu swoich dziesiątych urodzin, w chwilę potem, jak ciotka mruknęła pod nosem, że odtąd jest dużą dziewczynką, Matylda uznała, że jako duża dziewczynka powinna pewne rzeczy wiedzieć. Do samego wieczora utykała przy łóżku ciotki, a ta w odpowiedzi na natarczywe pytania odwracała tylko z niechęcią głowę raz w jedną, raz w drugą stronę. Wreszcie Matylda krzyknęła, że jeśli zaraz nie dowie się,

dlaczego nie mieszka z rodzoną matką, już nigdy w życiu nie pójdzie do cukierni na rogu po pączki ani po inne rzeczy, nawet gdyby ją błagano na kolanach. Ponieważ ciotka od kilku miesięcy z racji swej tuszy nie podnosiła się z łóżka, a dalsze życie bez ulubionych smakołyków było nie do pomyślenia tak samo jak zejście po nie na własnych nogach z drugiego piętra po krętych schodach, na których od rana do nocy wylegiwały się grube koty, wyznała jednym tchem całą prawdę.

Jej siostra, matka Matyldy, była zawsze śliczną i zgrabną dziewczyną. Nawet w ciąży wyglądała ślicznie i nie mogła się doczekać chwili, kiedy jej równie śliczna dziewczynka (co do płci dziecka od początku nie miała żadnych wątpliwości) przyjdzie na świat. Kiedy więc Matylda się urodziła, wcale nie śliczna, tylko długa, pomarszczona i czerwona, a położna powiedziała, że jeszcze nigdy nie odbierała tak dużego dziecka, nie ma się co dziwić, że biedna kobieta nie chciała jej oglądać ani tym bardziej karmić. A kiedy mimo to jakaś młoda, durna pielęgniarka położyła koło niej wrzeszczącą istotkę i poprosiła, żeby jednak spróbowała ją przytulić, matka zaczęła krzyczeć na cały szpital, że to nie jest jej dziecko. „Oddajcie mi moją dziewczynkę! Co zrobiliście z moją śliczną dziewczynką?!”. Potem dostała wysokiej gorączki i więcej nie próbowano wzbudzać w niej uczuć macierzyńskich.

W parę dni później Matyldę zabrała ze szpitala ciotka. Jej było wszystko jedno, jak wygląda dziecko. Sama nie grzeszyła urodą i ze względu na swą niepohamowaną żądzę bezustannego jedzenia wzbudzała niechęć, żeby nie powiedzieć odrazę. Pasowały do siebie idealnie.

Ciotka Mila nie miała zielonego pojęcia, w jaki sposób zajmować się noworodkiem i nikt, kto zajrzał do niej czasem, udzielając chaotycznych rad, od których tylko jeszcze bardziej mąciło jej się w głowie, nie dawał dziecku większych szans na przeżycie miesiąca. Wszystko być może, zgodnie z podszyty-

mi sensacją przewidywaniami, źle by się skończyło - Mila dalej nie miała pojęcia o niczym i poruszała się przy dziecku z taką niezgrabnością, na jaką tylko było ją stać - Matylda jednak, jakby rozumiejąc swe położenie, była noworodkiem niezwykle mało wymagającym. Nie chorowała, nie miała na nic uczulenia i nie dostawała kolki. Zjadała, co jej podano i nie upominała się o więcej. A co najważniejsze, nie płakała nigdy. Mila podchodziła czasem na palcach do prowizorycznego łóżeczka, by sprawdzić, czy niemowlę oddycha, a kiedy się przekonała, że tak, sama oddychała mimo wszystko z ulgą. Nigdy nie życzyła temu dziecku śmierci, choć jedynym uczuciem, jakie do niego żywiła, była litość. Dzięki litości ciotki Mili Matylda przeżyła, choć byli tacy, co mówili, że żyje wbrew naturze. Wbrew naturze żyła, jadła i rosła. I każdy, kto ją widział, musiał przyznać, że już w drugim roku życia nie była brzydkim dzieckiem, tylko może trochę za dużym i bez wdzięku, ciotka natomiast z roku na rok przybierała na wadze i po kilku latach nie mogła się już obejść bez Matyldy, która nie tylko robiła dla niej zakupy, ale także przyrządzała jedzenie i karmiła, a potem pielęgnowała aż do samej śmierci.

- I po co było ci to wszystko wiedzieć? - warknęła chwilę po tym, jak wyznała siostrzenicy całą prawdę. - A teraz idź po te cholerne pączki.

Tylko nie karm potem nimi tych przeklętych kotów. Mysz pod podłogą hałasuje od niepamiętnych czasów, to nie ma jej kto złapać.

Rzeczywiście, pomyślała Matylda, siadając potem z pączkami na schodach i karmiąc nimi koty, które wcale nie były takie tłuste, po co było mi to wiedzieć. Odtąd nie uchylała drzwi sypialni, kiedy matka przychodziła odwiedzić raz na pół roku swoją siostrę. Do tej pory była w niej jakaś nadzieja i słodkie marzenia o tym, że pewnego dnia jej śliczna matka zabierze ją po kolejnej wizycie do siebie. Jednym głupim pytaniem zniszczyła w sobie wszystko, co pozwalało jej od czasu do czasu się



uśmiechać. Wtedy znowu zrobiła się brzydka i odpychająca, tak że nawet sprzedawczyni w cukierni przestała jej dokładać po jednym pączku gratis za każdym razem, kiedy po nie przychodziła. Matyllda nie miała o to żadnych pretensji. Dziecięcym rozumem pojęła w lot, że ludzie są dla niej i tak dobrzy. Nigdy nie usłyszała od nich nic, co by jej sprawiło taką przykrość, jak to, czego dowiedziała się ze strony najbliższej rodziny w dniu swych dziesiątych urodzin. Współczuła tylko kobiecie, która ją wydała na świat; poza tym nie czuła nic.

Ze spokojem przyjęła chorobę ciotki, a potem jej odejście. Usiadła w kącie pokoju na krześle i nie podniosła się stamtąd, dopóki nie zamknięto trumny. Problem z włożeniem ciotki do trumny, a potem z wyniesieniem jej po wąskich i krętych schodach zajął uwagę wszystkich do tego stopnia, że nikt na Matylldę nie zwracał uwagi. I za to jedno była swej zmarłej ciotce bardziej wdzięczna, niż za łaskę, jaką jej uczyniła, zabierając dwanaście lat wcześniej ze szpitala. Nie musiała i nic by się nie stało, gdyby tego nie zrobiła.

Dwa dni po pogrzebie, kiedy wszyscy mieli już dość czasu, żeby po tej posępnej ceremonii ochłonać, matka Matylldy wpadła w panikę, kiedy dotarło do niej, że nie da się już dłużej uciekać od pewnych obowiązków wobec dwunastoletniej córki. Jej pozostałe siostry miały swoje rodziny i nie chciały o niczym słyszeć. Jedna z nich przyszła tego dnia wieczorem - Matyllda ciągle siedziała w kącie pokoju na krześle - i zaprowadziła ją do posępnej instytucji zwanej domem dziecka, tłumacząc po drodze, że matka pojechała w siną dal. Nie ma jej co szukać ani się dziwić, niech używa życia, póki jest jeszcze młoda i taka śliczna. Matyllda nie zdziwiła się.

W domu dziecka, gdzie jedynym uczuciem, jakie bez żadnych ograniczeń serwowano, była obojętność, przywiązała się tylko do dwójki niemego rodzeństwa i tylko z nimi, jeśli tak można powiedzieć, znalazła wspólny język. Ucząc się, na ile była

w stanie, języka migowego, sprawiła, że ci dwoje, poprzez wyrażanie jej ustami swych małych pragnień, zaczęli istnieć w normalnym świecie. Dotąd nikomu nie przyszło do głowy, że mogą mieć jakieś pragnienia. Zuzia, starsza z rodzeństwa, była wesołą dziewczynką. Matylda pamięta ją ciągle uśmiechniętą, a nawet po swojemu i z dużym wdziękiem roześmianą. W jej towarzystwie nawet Matyldzie zdarzało się parsknąć śmiechem. Obecność Zuzi była zawsze dobra - tak Matylda ujmowała to jednym słowem i umiała jej to równie zwięzłym gestem powiedzieć. Chłopiec (już nie pamięta, jak miał na imię) nie był tak otwarty, za to pięknie rysował. Matylda była z tego dumna, bo to ona zdobyła dla niego karton i komplet farb. Z dumą też pokazywała każdy rysunek dyrektorce, która w końcu kiedyś zauważyła, że chyba ktoś tu czegoś nie dopatrzył, takie dzieci powinny znaleźć się pod opieką wykwalifikowanych osób, a nie w pierwszym lepszym domu dziecka, gdzie nawet nikt ich nie rozumie. „Ja - zawołała Matylda - ja ich rozumiem”, ale było już za późno. Najbliższej jesieni przeniesiono Zuzię i jej brata do szkoły specjalnej z internatem gdzieś bardzo daleko, w innym województwie, a dla Matyldy znaczyło to tyle samo, co w innym kraju.

- Co to za szkoła? - dopytywała Matylda w kuchni, gdzie zaraz po tym spróbowała znaleźć sobie jakiegokolwiek zajęcie, bo bezczynność była tak nieznośna jak nieobecność Zuzi.

- Chyba dla niedorozwiniętych - odpowiadała i wzruszała ramionami kucharka, dla której człowiek był albo normalny: chodził, mówił, słyszał, widział i myślał, albo niedorozwinięty, gdy któraś z tych spraw szwankowała.

Matylda nie zagrzała długo miejsca w kuchni. Praca była tam za mało konkretna, a kucharka pół dnia roztkliwiała się nad jedną zbitą szklanką. Z ulgą przyjęła odejście Matyldy i od tej pory zaczęła ją nawet lubić. Lubiła wszystkich, którzy nie mieszczyli jej szyków w kuchni i nie starali się pomóc.

Inaczej rzecz się miała ze starym ogrodnikiem, który nigdy w życiu nie zajmował się żadnym ogrodem w ściśle określonym znaczeniu tego słowa, ale było mu obojętne, jak go kto nazywa. Ogródnik było równie dobrym określeniem jak każde inne. Od niepamiętnych czasów uprawiał niewielkie poletko należące do domu dziecka, naprawiał dach, poprawiał płoty i załatwiał masę innych tym podobnych spraw. On nie klasyfikował ludzi na takich czy owakich, bo niby dlaczego miałby to robić. Gdyby go zapytano, powiedziałby, że każdy jest tym, czym chce być, choć bardzo by się dziwił, że ktoś go w ogóle o takie rzeczy pyta. Za nikim szczególnie nie przepadał, nikogo też nie miał powodu nie lubić.

Wyraźnie jednak poprawiał mu się humor, na brak którego i tak nigdy nie narzekał, kiedy Matylda zaczęła się koło niego kręcić, nieśmiało wyręczać w plewieniu i dopytywać o wszystko. Nie odpowiadał, bo wiedział bardzo dobrze, że pewnych umiejętności i wiedzy nie zdobywa się za pomocą słów, więc pozwalając jej sobie towarzyszyć sezon po sezonie, rok po roku wszystkiego ją nauczył. Po paru latach, nie zdając sobie z tego sprawy, wiedziała, kiedy należy sadzić kartofle i jak je wcześniej wybrać, żeby wzeszły, w którym momencie obredlić, w którym wykopać i jak przechowywać, żeby przetrwały do wiosny. To samo było z warzywami, z których każde miało swoje specjalne wymagania.

Cała ta wiedza zresztą była podświadoma i jako taka nie sprawiała jej żadnej przyjemności. Prawdziwą przyjemnością była praca: zanurzanie dłoni w wilgotnej ziemi, wyrywanie chwastów i spulchnianie gleby na grządkach. I czekanie na deszcz albo żeby już przestało padać.

- Jak pan myśli - pytała za każdym razem, kiedy grządki były wyplewione na czysto, popadał deszcz i z dnia na dzień widać było, jak wszystko rośnie - czy rośliny są teraz szczęśliwe?

- O tak - przytakiwał, wcale niezdziwiony, że ktoś o takie rzeczy pyta - teraz na pewno są szczęśliwe.

Matylda chodziła z założonymi rękoma wśród grządek i zagryzała mocno usta, by nie wyrwało jej się, że chwasty mogłyby rosnać trochę szybciej, bo wtedy można je pielnić, spulchniać ziemię i na nowo się zachwycać, jak wszystko pięknie rośnie.

Kiedy dorosła, wstydziła się już mówić o szczęściu roślin, ale w głębi duszy nigdy nie przestała w nie wierzyć.

Zima była prawdziwą udręką. Pole umierało każdej jesieni, a wraz z tym rodził się smutek dziecka przygnębionego faktem przebywania we wspólnym, ale niczym domu. Co noc śniło jej się, że pole odchodzi, a ona biegnie za zwałami brunatnej ziemi i nie potrafi go zatrzymać.

Budziła się, nie mogąc złapać tchu, i wyglądała oknem. Pole było na swoim miejscu. Wiedziała, że będzie, ale nie potrafiła się powstrzymać, żeby za każdym razem tego nie sprawdzić. Potem skulona w kącie swojego ponurego pokoju lub ostatniej ławce w szkole wszelkimi siłami chciała upodobnić się do tego pola, które umarło pod koniec października lub na początku listopada. Starła się do minimum ograniczyć swoje reakcje na wszystko, ale mogła to uczynić tylko na tyle, na ile jej pozwolono. Nikt nie pozwolił jej po prostu nie istnieć. To byłoby, wśród kilkudziesięciu osób, zbyt wielki luksus. W pewnym momencie zrozumiała to i odtąd starała się po swojemu jakoś przetrwać.

Dziewczęta takie jak ona paliły papierosy, malowały się tanimi kosmetykami i wymykały wieczorami na spotkania z chłopcami z internatu szkoły zawodowej. Wyciągały ręce do życia i życie odwdzięczało się tym samym.

Matylda nie potrzebowała niczego prócz kąta, książki i świętego spokoju. Z książek dowiedziała się wszystkiego. Zrozumiała, że na świecie są dobrzy i źli ludzie, dzieją się dobre i złe rzeczy i inaczej być nie może, bo tak było od początku świata i będzie do jego końca. Wtedy różniej zrobiło jej się na duchu, bo znalazła usprawiedliwienie dla tego, co działo się w jej świecie. Każdego wieczora modliła się za wszystkich dobrych ludzi i

wszystkie zwierzęta, żeby im się nie działa krzywda. Źli ludzie, powtarzała w myślach, niech się modlą sami za siebie. W pewnym momencie odkryła też, że są ludzie poruszający się na obrzeżach rzeczywistości, jak ona. Przestała się martwić, że żyje obok wszystkiego, bo z drugiej strony lepiej być obok niż w centrum czegoś, co jest złe. Zło jest wtedy, kiedy ktoś komuś robi krzywdę. Jej nikt nie robił krzywdy. Samotność nie była złem, tylko jej wyborem. I na pewno nie ucieczką, jeśli komuś to kiedykolwiek przyszło do głowy. A przyszło pewnej młodej nauczycielce, która odkryła nagle ze zdumieniem, że mrukowata Matylda, siedząca zawsze w ostatniej ławce, nie jest wcale taka tępa, jak by się zdawało. Wręcz odwrotnie, ma w sobie dużo wrażliwości, której pełno było w każdej linijce szkolnego wypracowania, zadanego na dowolny temat. Matylda przestała się przykładać do szkolnych wypracowań, przerażona, że ktoś na tym świecie zwrócił na nią uwagę. Dotąd było jej dobrze w cieniu i obok i niech tak zostanie. Młoda nauczycielka była na szczęście w zaawansowanej ciąży i wkrótce odeszła ze szkoły, ale nim odeszła, zaczęła Matyldę w kącie ciemnego korytarza, gdzie Matylda spędzała wszystkie przerwy, i powiedziała jej, żeby przestała uciekać, bo to nic nie da. Kiedyś życie i tak ją dopadnie i zażąda pewnych konkretnych postaw, i co wtedy? Matylda nic z tego nie rozumiała, więc pokręciła tylko głową i z ulgą przyjęła dzwonek wzywający na lekcję. Potem już jej nie widziała. I dobrze się stało. Po szkole całymi godzinami włóczyła się po miasteczku, ale jedynym miejscem, do którego zaglądała, był mroczny sklepik gospodarczy starej Lewickiej. Były tam przybory do szycia, gary i ozdobne lustra, sztuczne kwiaty i gipsowe figurki, papierowe serwetki i masa innych rzeczy, które nie wiadomo do czego służyły, ale przede wszystkim ogromny wybór koszy z wikliny. Panowała tu niezwykła, niespotykana nigdzie indziej atmosfera. Matyldzie za każdym razem, kiedy tam we-

szła, zdawało się, że duchy przeszłości, namacalne niemal w każdym metrze tego niesamowitego wnętrza, znalazły tu, podobnie jak ona, swój ostatni azyl. Nie zagadywana nachalnie, jak to się działo w innych, nowoczesnych, powstających w tym czasie jedna po drugiej placówkach, których Matylda unikała niczym ognia, myszkowała godzinami w tym sklepie, rozmawiając w myślach z przeszłością. 'Lubiła przeszłość.' Tym bardziej, że była niewiadoma, tajemnicza i unosiła się tylko w aurze powietrza lub na górnych półkach, na które nikt od lat nie zaglądał. Przeszłość nic nie mogła jej zrobić.

Lewicka była przygłucha, trochę ślepa i miała daleko posunięty reumatyzm, więc w tempie ślimaka obsługiwała klientów, nie radząc sobie zupełnie ze zdejmowaniem towaru z górnych półek, więc Matylda czasem ją wyręczała. Czasem poukładała też kosze po świeżej dostawie albo wyniosła na śmietnik papiery i kartony, które przeważnie poniewierały się na podłodze. Nigdy za wiele ze sobą nie rozmawiały, ale kiedy Matylda skończyła osiemnaście lat, stara mruknęła, że jak chce, to może sprzedawać w jej sklepie, bo sama już nie rozpoznaje pieniędzy. Matylda nie miała pojęcia, jak zareagować na podobną propozycję, więc na wszelki wypadek kiwnęła tylko nieznacznie głową, a Lewicka kazała jej się natychmiast sprowadzać.

- Dokąd? - jęknęła Matylda, nie mogąc uwierzyć, że gdzieś jest miejsce, w którym może zamieszkać. Wtedy właścicielka pokazała jej pokój na zapleczu.

- Graciarnia i wylegarnia szczurów, ale może uda ci jakoś z tym dojść do ładu. Zresztą, twoja sprawa.

Tak więc prosto z domu dziecka Matylda przeprowadziła się do pokoju z jednym północnym oknem na zapleczu sklepu gospodarczego.

Sprzedawała, sprzątała, przyjmowała towar i ku zdumieniu starej doprowadziła do porządku księgi podatkowe. Każdy przychód i rozchód był w nich teraz codziennie

skrupulatnie odnotowywany, ale mimo to stara i tak zrzędziła, że Matylda ją oszukuje.

- Jak byłam sama - rozpoczynała każdy dzień Lewicka - lo było dobrze. Wiedziałam, ile mam pieniędzy, a teraz to nic nit? wiem.

Matylda ani nie przytakiwała, ani nie zaprzeczała. Zabierała się do pracy bez żadnego zachwytu, ale i bez niechęci. Po prostu robiła, co trzeba było zrobić, i to nie wymagało komentarzy. Podobnie jak wszystko, co działo się w życiu Matyldy od wielu lat.

Po jakimś czasie Lewicka całkiem odsunęła się od prowadzenia sklepu i rzeczywiście, można powiedzieć, nie wiedziała nic. Codziennie jeszcze wydawała mnóstwo poleceń: zrób tak a tak, kup to i tamto, tego nie kupuj... Wikliniarz już był? Nie było. Jak przyjedzie, powiedz mu, że nic nie idzie, może spuści z ceny. Matylda wysłuchiwała cierpliwie, przytakiwała i robiła swoje.

Najpierw odnalazła namiastkę przyjemności w prowadzeniu ksiąg podatkowych. Każda operacja miała swoje miejsce w konkretnej rubryce, a każda rubryka wiodła przez labirynt podporządkowania i współzależności z inną, prowadząc do jedyne go możliwego wyniku.

- Czy w tym kraju zlikwidowali wreszcie urząd skarbowy? - krzyczała co drugi dzień Lewicka, dziwiąc się, że przestali ją nękać upomnieniami i karami za nieterminowe rozliczanie się z działalnością.

Matylda ze stoickim spokojem odpowiadała, że wszystko jest, jak było.

- Szkoda - mamrotała pod nosem stara. - Przestaliby wreszcie wyciągać łapy po moje pieniądze. Wszyscy naokoło oglądają się na moje pieniądze. Pilnuj ludzi, bo nie przychodzą tu kupować, tylko kraść.

Ludzie jednak od czasu do czasu coś kupowali. Niektórzy przychodzili tu wręcz regularnie, raz w tygodniu przynajmniej, i za każdym razem w tym dziwnym sklepie coś zna-

leżli. Matylda uśmiechała się kątem ust, wkładając pieniądze do kasy i wydając resztę, ale nie zagadywała nigdy ani nie nadskakiwała zbyt. Klientom to odpowiadało. Jeśli chcieli się wygadać, szli do fryzjera. Kiedy zrobiła w sklepie porządki, tak że igieł nie trzeba było znajdować w pudełkach z reprodukcjami obrazów impresjonistów, i przyjęła sporą dostawę wiklinowych koszy, które sprzedawały się całkiem dobrze, handel dawał jej spore zadowolenie. Lubiała, kiedy coś od niej zależało. W pierwszym roku, kiedy jeszcze Lewicka jako tako poruszała się po sklepie, Matyldzie udało się skończyć szkołę i zrobić maturę. Stara w tej sprawie wykazała wyjątkową wyrozumiałość. Ani razu nie dała Matyldzie odczuć, że przez to jej ślęczenie po nocach i egzaminy sama musi robić wiele rzeczy, jak robiła dotąd.

O dalszej nauce nie mogło być już mowy. Matylda była zadowolona i z tego. Potem, gdy Lewicka dawała jej od czasu do czasu jakieś pieniądze, mamrocząc przy tym pod nosem, że nie powinna nic dostać, bo i tak ją pewnie okrada, a Matylda nie bardzo wiedziała, co z nimi zrobić, ktoś przylepił na drzwiach sklepu ogłoszenie o kursie na prawo jazdy. Zapisła się więc, nie zastanawiając zbyt, czy jej się to kiedykolwiek w życiu przyda. Może się przyda, może nie - nic innego w dziedzinie swej edukacji nie mogła zrobić. Lewicka coraz rzadziej schodziła do sklepu, coraz mniej interesowała się jego prowadzeniem. Matyldzie czasem brakowało jej zrzędzenia, ale świadomość, że cały sklep jest na jej głowie, dodawała jakiejś otuchy, a tym samym pewności, że skoro jest dobrze, to tak już będzie.

Wkrótce jednak los znowu zainterweniował, sprowadzając rzeczywistość Matyldy do tej, w jakiej się znalazła kilka dni po urodzeniu i wiele razy później: samotnej i bezpańskiej istoty, czekającej, aż ktoś zadecyduje o jej przyszłości.



Pod koniec piątego roku sensownego istnienia Matyldy z właścicielką sklepu gospodarczego zaczęło być coraz gorzej. Jeśli do tej pory miewała tylko chwile niedyspozycji umysłowej, teraz zaczęła całkiem tracić kontakt ze światem. Nim ostatecznie pograżyła się w ciszy, jednym z pierwszych objawów nadchodzącej choroby był paniczny strach przed pieniędzmi, których przez całe życie z taką determinacją skąpiła innym, dbając, by jak najmniejsza ich część wróciła do ogólnego obrotu.

- Zabierz to ode mnie! - wrzeszczała na Matyldę, kiedy przynosiła jej codzienny utarg. - Zabierz jak najdalej i nie wpuszczaj ludzi do sklepu!

- Dlaczego? - dziwiła się Matylda.

- Chcą wszystko wykupić. Wszystko!

Matylda nie zamknęła sklepu, ale przestała dręczyć starą widokiem równiutko złożonych banknotów.

Przyjechały dzieci Lewickiej: dwóch synów i córka. Ta ostatnia w towarzystwie dorosłego syna; chodziła po mieszkaniu, zaglądała do szafek i podejrzliwie przyglądała się Matyldzie. Chłopak natomiast podskakiwał za nią nerwowo i ściskając w ręku kluczyki od samochodu, powtarzał bezustannie:

- Mamo, pamiętaj, że ja nie mogę się spóźnić. Nie mogę się spóźnić.

Ani razu nie spojrzął na umierającą babkę. Niewiele uwagi poświęcali jej też jego matka i wujkowie, skupiając ją głównie na przetrząsaniu kątów i podejrzliwym obserwowaniu Matyldy, która bezustannie wycierała skroplone potem czoło chorej albo wsuwała do jej spierzchniętych ust łyżeczkę z przegotowaną wodą.

Kiedy na moment dzieci Lewickiej wyszły do sąsiedniego pokoju, prawdopodobnie na szybką naradę rodzinną, Matylda nagle usłyszała głos Lewickiej:

- Ile pieniędzy odłożyłaś?

Matylda podskoczyła na krześle i wlepiła wzrok w starą, która patrzyła na nią przenikliwie. Dawno nie słyszała tyle przytomności w jej głosie.

- Dużo! - wyrzuciła z siebie bez tchu.

- Weź wszystko.

- Nie mogę...

- Zabierz sobie pensję za pięć lat.

- Jadłam i mieszkałam tu...

- Weź te pieniądze, głupia dziewczyno! - przerwała jej gwałtownie

Lewicka. - Jeśli oddasz im choć złotówkę, nie dam ci spokoju po śmierci.

Matylda nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo wróciły dzieci starej i jeszcze podejrzliwiej jej się przyglądały, a wnuk dostawał już prawdziwego szału.

- Mamo, wiesz dobrze, że jeśli się spóźnię...

Szarpnął nerwowo odklejony kawałek tapety na ścianie i po raz pierwszy, odkąd tu wszedł, znieruchomiał na chwilę. Spod tapety wystawał banknot. Konsternacja obecnych w pokoju trwała tylko chwilę. Zaraz po niej jeden z mężczyzn rzucił się do ściany i zerwał do końca płat tapety, odsłaniając dziesiątki banknotów, ułożonych równo jeden obok drugiego i przyklejonych lekko do ściany. Drugi z mężczyzn oderwał tapetę w innym miejscu i ukazał się taki sam widok. Kobieta zaczęła odrywać banknoty i oglądać je z takim samym zdumieniem, jak wściekłością.

- Co to jest?! - krzyczała. - Co to, cholera, jest?!

Były to stare banknoty, dawno wycofane z obiegu, nie znaczyły nic. To nieprawdopodobne, w jak szybkim tempie -w czasie gdy ich matka wydawała ostatnie tchnienie - pokój został odarty z tapety. Ale wszędzie było to samo, czyli nic.

Matylda zaczęła się nagle głośno śmiać, ale zamilkła szybko, bo zdumiał ją ten śmiech. Podeszła do starej, spojrzała na nią ze smutkiem i zamknęła jej oczy. Potem wzięła swoje pie-

niądze z pokoju na zapleczu sklepu gospodarczego, założyła płaszcz i wyszła na ulicę w chwili, gdy pod sklep podjeżdżał ze swą dostawą wikliniarz. Zmartwił się, że przyjechał na darmo, nadkładając niepotrzebnie czterdzieści osiem kilometrów, i zawołał za odchodzącą w górę ulicy Matyldą, dokąd idzie. Powiedziała, że nie ma pojęcia, wtedy on zaproponował, że jak chce, to może z nim jechać, bo właśnie zdechł mu stary pies i nie ma kto pilnować domu, kiedy on jeździ z towarem. Dwie godziny później Matylda zobaczyła Wzgórze. W pierwszej chwili odniosła wrażenie, że widziała je już setki, a może i tysiące razy: w snach lub na jakimś obrazku - było jej tak bliskie i tak znajome. Objęła je wzrokiem w całości, a potem kawałek po kawałku, starając się każdy fragment zapamiętać, jakby miała go już więcej nie zobaczyć. Ale widziała je następnego dnia i następnego... Mimo to każdego ranka przez długi czas budziła się ze strachem, że to tylko piękny sen. Teraz wstanie i przekona się, że piękne sny są nie dla niej. Ale Wzgórze było każdego ranka: niezmiennie, stałe, cudowne i pewne, tak że w końcu w nie uwierzyła i wtedy po raz pierwszy w życiu poczuła się szczęśliwa. Na samym środku Wzgórza stał drewniany, niewielki dom z werandą, a wokół niego rozpościerały się łąki, rosło trochę drzew i krzewów. Z północnego stoku widać było w dali kilka gospodarstw wiejskich, z południowego pięć kilometrów od szosy, do której od Wzgórza prowadziła polna dróżka, małe miasteczko o nazwie Kamień. Dostatecznie blisko, żeby je widzieć, i na tyle daleko, żeby nie słyszeć. Nic nie mąciło intymności i spokoju Wzgórza. Matylda pokochała je od pierwszego wejrzenia i z dnia na dzień kochała coraz bardziej. Widok zapuszczonego, leżącego odłogiem na jego południowym stoku pola wprowadził Matyldę w prawdziwą ekstazę. Starając się wszelkimi siłami zapanować nad drzeniem głosu, spytała tylko dla porządku Mateusza, co ma robić cały dzień,

jak jego nie będzie, wtedy powiedział, że nic go to nie obchodzi, niech robi, co chce, więc za zarobione u starej pieniądze kupiła zwierzęta: krowę, dwie kozy i kilka kur. Kozy po jakimś czasie znikły bez śladu (Matylda nie chciała uwierzyć Mateuszowi, że to sprawka wilków z pobliskich lasów), ale zostawiły małą kózkę, którą Matylda na tę noc wzięła do domu, bo maleństwo ledwo trzymało się na nogach. Jej małym ciałkiem wstrząsały do samego rana dreszcze, więc doglądała ją co jakiś czas, tracąc o świcie nadzieję, że coś z tego będzie. Dokładała mimo to do pieca i okrywała zwierzę starym kocem. Kózka wyzdrowiała, ale długo jeszcze była cieniutka jak patyk, więc Matylda zaczęła wołać na nią Kreska, a maleństwo zaczęło bardzo szybko na to imię reagować. Przez długi czas bała się poprosić Mateusza o psa, sądząc, że do starego był bardzo przywiązany, ale wkrótce przekonała się, że nic poza wyplataniem koszy go nie obchodzi. Skoro nic go nie obchodzi, to niczego nie lubi, a jeśli niczego nie lubi, nie może być do niczego przywiązany. Kupiła więc psa i okazało się, że miała rację: Mateusz zauważył go dopiero, kiedy pies podrosł i musiał go omijać, gdy ten kładł się przy drzwiach na werandzie.

- Myślałem, że nie mamy już psa - mruknął tylko do siebie i więcej nie powiedział nic na ten temat.

Białą Damę przyniosła Matyldzie Róża Lorenc. Ona jedna od początku interesowała się najbliższą sąsiadką, zamieszkałą nagle na Wzgórzu, i od początku nie miała o niej najlepszego zdania.

Róży przygoda z gęśmi trwała tylko rok i była wynikiem pewnej sugestii lekarza psychiatry, do którego udawała się dość regularnie ze swoimi licznymi fobiami.

- Pani Lorenc - powiedział jej kiedyś w końcu z lekkim zniecierpliwieniem - pani wzięłaby sobie jakieś zwierzaki. One dobrze robią na nerwy.

-Mam kota! - wpadła mu natychmiast w słowo, ale on skrzywił się z lekkim niesmakiem. Zdaje się, że po prostu sam nie przepadał za kotami.  
- No wie pani... Kot to jest tylko kot. Mam na myśli zwierzęta, które wymagają więcej uwagi.

Otóż to! W tym momencie przyznał się po prostu do swej antypatii w stosunku do miękkiego kociego futerka, które w końcu można przecież głaskać w nieskończoność. Róża znienawidziła go za to, ale wzięła jego słowa poważnie. Nikt nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego u licha Róża Lorenc wpadła na pomysł, by akurat zająć się gęśmi. Ona sama też nie potrafiła tego wytłumaczyć.

- Zaraz wielkie halo! - gderwała pod nosem, idąc ulicami Kamienia i rozsiewając dookoła nieprzyjazne spojrzenia. -Niech każdy pilnuje swojego nosa. Chciałam mieć gęsi, to mam gęsi, i tyle!

A jedną z nich przyniosła Matyldzie tylko dlatego, że ta żyła w wielkiej niezgodzie z innymi i by mieć pretekst do odwiedzin po tym, jak ostatnim razem nieopatrznie nazwała Matyldę wielką dziwaczką.

- Nie gniewaj się moja droga - przepraszała, ściskając pod pachą wrzeszczącego ptaka - że tak mi się ostatnim razem wyrwało, ale jak inaczej nazwać kogoś, kto tłumaczy kurze, dlaczego musi ją zarżnąć, nim ją zarżnie. Sama powiedz, czy to nie dziwaczne?

Matylda podziękowała za gęś, nadała jej imię i z miejsca polubiła, mimo że Biała Dama i na jej podwórku żyła ze wszystkimi w wielkiej niezgodzie. Czuła jednak wielki respekt dla Matyldy i Matylda potrafiła to docenić, biorąc ją czasem na kolana i siadając z nią na schodach werandy. Nigdy jednak nie robiła podobnych rzeczy w obecności Mateusza, dla którego zwierzęta znaczyły tylko tyle, ile było z nich pożytku, a z Białej Damy pożytku nie było żadnego. Mimo to długi żywot za-

wdzięczała tylko i wyłącznie swemu paskudnemu charakterowi, bo Róża po roku miała dość gęsi i sprzedała wszystkie jak leci handlarzowi, który je zarznął, nafaszerował i sprzedał w dobrej cenie na Boże Ciało, wprowadzając odtąd w Kamieniu zwyczaj kupowania faszerowanych gęsi na Boże Ciało, jak w odległej Ameryce indyków na Święto Dziękczynienia.

Matylda ocknęła się nagle na pieńku, rozejrzała wokół i nie mogła sobie przypomnieć, jak długo tak siedzi. Przed chwilą była w sklepiku Lewickiej, jeszcze wcześniej na krętych schodach, gdzie wygłodniałe koty łąsiły się do jej kolan.

Tenor poruszył się koło jej nogi i spojrzał tak, jak zawsze patrzył, gdy był głodny. Poszła więc do domu i wyniosła mu kawał chleba. Łamała go i dawała psu po kawałku, a on delikatnie odbierał je z jej ręki. W pewnym momencie ułamany kawałek chleba wsunęła sobie do ust, a potem jeszcze jeden i jeszcze jeden. Tenor spojrzał na nią ze zdziwieniem, a ona nie mogła sobie przypomnieć, kiedy taka naprawdę jadła. Nagle poczuła ogromny głód.

W kuchni znalazła tylko mleko i resztkę chleba. Wzięła to i usiadła na schodach werandy. Podzieliła się z Tenorem, sama pochłonęła resztę łąpczywie, ale wciąż była głodna. Łakomym wzrokiem obrzuciła grządkę wczesnej rzodkiewki. Wyrwała kilkanaście i obcierając je tylko z ziemi o spodnie, zjadła szybko. W kurniku dwa gniazda były zasłane jajkami, których nie zbierała przez ostatnie dni. Wbiła kilka na patelnię i ledwie lekko się ścięły, pochłonęła bez chleba, bo chleba już nie było. Wtedy poczuła ogromną senność. Uniosła głowę znad stołu, żeby nie uderzyć nią o kant, tak bardzo chciało jej się spać. Przecież dopiero co spałam - usiłowała się bronić przed czymś, czego nie robiła nigdy w życiu, ale kiedy spojrzała na zegar nad drzwiami, okazało się, że w sklepiku Lewickiej i na

schodach w kamienicy ciotki była o wiele dłużej, niż jej się zdawało. Nie opierała się już, tylko obrzuciła tęsknym wzrokiem miękką kanapę i wstała od stołu. Przechodząc koło okna, spojrzała w nie - Mateusz siedział pod szopą i wyplatał kosz, ale tym razem spojrzał na Matyldę i zdawało jej się, że spojrzał na nią z wyrzutem. To tylko zmęczenie - pomyślała jak za pierwszym razem i natychmiast zapadła się w miękkość kanapy i pomyślała, że nie ma nic przyjemniejszego od układania się do snu, kiedy bardzo chce się spać.

Następnego dnia uprała pościel, wykrochmaliała ją i rozwiesiła na sznurkach, a kiedy wyschła, założyła na kołdrę i poduszki i położyła się spać. Nigdy dotąd nie czuła takiego komfortu, jak w chwili, kiedy kładła strudzone siedmiomiesięcznym czuwaniem ciało w świeżutkiej pościeli. Odtąd spała tylko, a kiedy się budziła, zjadała, co znalazła w domu albo na warzywniku, karmiła zwierzęta i znowu kładła się spać.

Róża Lorenc, która zaszła pewnego razu na to odludzie i zobaczyła w kuchni stosy naczyń wystające ze zlewu i resztki jedzenia walające się wszędzie, a Matyldę śpiącą mocnym snem w środku białego dnia, pokiwała tylko głową i mruknęła pod nosem:

- No tak, przecież niczego innego nie można się było po tej dziwaczce spodziewać.

Jeszcze tego samego dnia podzieliła się tym odkryciem z całym miasteczkiem, ubarwiając mocno pewne szczegóły, a o innych w ogóle nie wspominając. Jeśli więc do tej pory ktoś z Kamienia miał jakiegokolwiek wyrzuty w stosunku do Matyldy -a zwłaszcza ci, co brali udział w pogrzebie i widzieli ją umęczoną nieludzko, a mimo to zdolną do przygotowania ceremonii tak jak trzeba - że nie zajrzeli do niej dotąd, nie zapytali, jak radzi sobie ze zwierzętami i z własną samotnością, teraz odetchnęli z ulgą. Jeśli tę dziwaczkę stać na mocny sen w środku

upalnego dnia, nie jest z nią tak źle. Jednak wiadomość o jej niezmaconym niczym, a według relacji Róży Lorenc wręcz wilczym apetycie, odebrali z lekkim niesmakiem. Ładnie oplakuje śmierć Mateusza! Je, śpi, a zwierzęta może głodują. - Na pewno głodują. Róża Lorenc nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Wypytywana przez innych, nagle przypomniała sobie, że przeraźliwie ryczącą krowę usłyszała już z szosy. Pies leżał pod werandą jak nieżywy, a kury, zdaje się, wydarły każdego robaka z podwórka. No, kury jakoś sobie poradzą, ale krowa albo pies...

Michał Duszny, jedyny weterynarz w miasteczku, bardzo czuły na niedolę zwierząt, wyprowadził z garażu swojego starego dżipa i pognął na Wzgórze.

Kiedy wjechał na podwórko, Tenor powitał go złowrogim warczeniem. Dopiero po chwili poznał w nim przyjaciela zwierząt i pozwolił się pogłaskać, ale zlekceważył podany przez doktora kawałek pasztetowej. Wielka, spasiona gęś taplała się w misce z wodą, która zdawała się być tu postawiona specjalnie dla niej, a kury leniwie grzebały w garnku z ziarnem. Nic nie wskazywało na katastrofę, jakiej się spodziewał. Rozejrzał się po podwórku i dojrzał otwarte drzwi do obory. Poszedł tam i zajrzał do środka. Krowa odwróciła w jego stronę łeb, popatrzyła na niego z prawdziwie krowią obojętnością, po czym czule liznęła głowę opartej o jej bok Matyldy. Matylda siedziała na stołku, trzymając między nogami wiaderko i spała. Michał powstrzymał się, żeby nie parsknąć śmiechem. Usiadł na progu i patrzył przez chwilę na jej mocne plecy i pomyślał, jak to możliwe, że przy tym swoim wzroście i budowie wydaje się tak delikatna i bezbronna. I zawsze mu się taka wydawała, od pierwszej chwili, w której ją zobaczył. Poruszyła głową i wyciągnęła dłonie do wymiona krowy, co ta przyjęła pełnym zadowolenia mruknięciem. Odgłos kropel



mleka uderzających o brzegi wiadra był przyjemny jak wspomnienie z dzieciństwa. Weterynarz wstał i opuścił W/.górze, niezauważony przez Matyldę. Jeśli coś tu mogło być nie w porządku, to tylko nieujarzmiony język Róży Lorenc.

Nikt mu nie uwierzył, że wszystko gra i prawdę mówiąc, wcale się tego nie spodziewał. Był z natury człowiekiem nieśmiałym i jeśli wypadło mu komukolwiek tłumaczyć swoje racje, robił to zwięźle i bez przekonania. O niebo lepiej dogadywał się ze zwierzętami i z nimi wołał przebywać. W głębi duszy ani na moment nie uwierzył, że Matylda mogłaby zaniebysować swoje zwierzęta - poznał ją, kiedy przyszła zaszczepić Tenora i poradzić się, jak go wychowywać, żeby był dobrym psem. Spodobało mu się to ogromnie. Nie spytała, jak go wytresować, nauczyć takich czy innych sztuczek, tylko zwyczajnie: „Jak go wychować, żeby był dobrym psem”. Odpowiedział jej wtedy, że zwierzęta wymagają tylko mądrej miłości i to wszystko. Kiedy wychodziła, szczeniak pobiegł za nią. Odwracała się co chwila i patrzyła, czy za nią nadaża. Michał patrzył za nią długo: coś go w całej jej postaci, w sposobie poruszania się i mówienia z miejsca urzekło. Zdawał sobie sprawę, że nie było w ani jednym jej geście odrobiny kokieterii, żadnej, nawet podświadomej, próby zwrócenia na siebie uwagi. Była w niej czysta, zwierzęca naturalność. Nie był w stanie słowami tego określić. Mógł to tylko odczuwać, jak odczuwał przy pierwszym kontakcie wszystkie nastroje zwierząt. Pomyślał, że ten pies ma szczęście.

Tamtego dnia wiele razy przywoływał w pamięci obraz Matyldy odchodzącej sprzed jego domu ze szczeniakiem, jakby cofał film. Za każdym razem, gdy oddaliła się na tyle, że nie mógł jej już widzieć, przewijał taśmę swej pamięci i za każdym razem budziła się w nim ogromna tkliwość. Taka sama, jaką dotąd czuł tylko w stosunku do drobnych, delikatnych kobiet. Bo tylko takie mu się podobały. Sam był ogromnej postury i nim zdecydował się zostać weterynarzem, wielokrotnie

słyszał głosy odradzające mu ten zawód. Że jest za duży, zbyt niezdarny, że zwierzęta będą się go bały. Zwierzęta nigdy się go nie bały. Wręcz przeciwnie - im były mniejsze i większa między nimi dysproporcja, tym bardziej do niego lgnęły. Pośród zwierząt czuł się pewnie i swobodnie. Drobne, delikatne kobiety natomiast, które zawsze mu się podobały, wprawiały go, prócz tkliwości i zachwytu, w wielką nieśmiałość. Bał się, że ich delikatne ciała nie wytrzymają siły jego uczuć i mocnych ramion, że się kiedyś zapomni, zbyt mocno wyrazi swoją miłość i potem nie będzie już odwrotu.

To dlatego wszystkie jego uczucia przez tyle lat były zarezerwowane dla zwierząt. Aż do dnia, kiedy Matylda przyszła do niego ze szczeniakiem. Ani przez chwilę nie uwierzył, że świadomie zaniedbuje zwierzęta. Przestraszył się natomiast, że to na nią, po tym wszystkim, co przeszła, spadła jakaś niemoc. Dlatego też z bijącym sercem jechał na Wzgórze. Jednak widok jej głowy opartej o brzuch krowy uspokoił go na tyle, że bez obaw wrócił do domu.

Kiedy Matylda wychodziła z wiaderkiem mleka z obory, zaczął kropić deszcz. Nim dotarła do werandy, lunął z nieba strumieniami. Nigdy dotąd nie wyczekiwała tak deszczu i nie przyjęła go z taką ulgą. Uniosła twarz ku górze i modliła się, żeby tylko nie przestał zaraz padać. Ale nie przestał. Kiedy kładła się spać, ciągle było słyhać, jak krople deszczu uderzają o dach.

Nazajutrz czuła się jak nowo narodzona. Przestała spać gdzie popadło i objadać się dziesięć razy na dzień. Po raz pierwszy od wielu dni uczesała porządnie włosy i włożyła czyste ubranie, a potem wysprzątała mieszkanie i podrzuciła krowie świeżej słomy w oborze, a Tenorowi w budzie. W południe

usiadła na chwilę przed domem. Obrzuciła wzrokiem całe swoje gospodarstwo: zwierzęta były najedzone, wokół panował porządek i spokój. Spokój? Uczepiła się nagle tej jednej myśli i nie mogła pozbyć się jej przez cały dzień, zachodząc w głowę, dlaczego spokój i skąd on się wziął nagle ni stąd, ni zowąd. Przez cały czas przerywała różne zajęcia i próbowała się skupić nad tym, co czuje, i dopiero wieczorem, kiedy wracała z cmentarza, gdzie położyła na grobie zerwane po drodze kwiatki i zostawiła je tak samo martwe jak ciało Mateusza pod nimi, stanęła nagle na środku drogi i z ust jej wyrwał się krótki okrzyk, bo już wiedziała: to nie spokój. To wolność. Rozejrzała się zawstydzona dookoła, jakby obawiając się, że ktoś podsłuchuje jej myśli. Czy w sytuacji, w jakiej się znalazła w parę dni po pochowaniu Mateusza, który dał jej jedyny, prawdziwy jak dotąd dom, wypada myśleć o wolności? A dlaczego nie, skoro tak właśnie jest, odpowiadało jej drugie ja beztrąsko.

Jest wolna. Wolna! Nikt nie może jej niczego zabronić ani nakazać i nie musi się odtąd przejmować, że zrobiła coś nie tak, bo kogo to obchodzi, co ona robi. Nigdy więcej nie zachoruje nikt przy niej i ona nie będzie musiała nikogo pielęgnować, dopóki nie umrze... To jedno właśnie było w tym wszystkim takie niesamowite, że nikt od tej pory nie będzie przy niej umierał... Jest wolna...

- Co tam mrużysz pod nosem Matyldo? - Róża Lorenc wyrosła na drodze nagle jak spod ziemi. Miała na głowie kapelusz z dużym rondem, chroniącym ją od słońca (bo Róża Lorenc nienawidziła słońca) i patrzyła na Matyldę spod przymrużonych powiek. - A więc mrużysz coś czy nie?

- Tak... To znaczy nie. Nie, nie... - Matyldzie dech odjęło na myśl, że to właśnie Róża Lorenc mogła usłyszeć jej myśli. Myśli o wolności! Mój Boże, tego słowa Róża nienawidziła równie mocno jak słońca i skinów. - Tylko byłam na cmentarzu.

- Na cmentarzu... No tak, już dawno powinnaś była tam

pójść. Od tygodnia zachodzę w głowę, czemu ta kobieta nie była dotąd na grobie Mateusza...

- Wystarczy, że dziś poszłam - przerwała twardo Matyllda i popatrzyła Róży prosto w oczy.

Sąsiadka nie dała po sobie nic poznać, tylko gwałtownie wyminęła Matylldę i mamrocząc pod nosem, że to w końcu nie jej sprawa, kto chodzi na cmentarz, kto nie. Ale czego to się spodziewać, jak każdemu teraz wszystko wolno, nie to, co kiedyś. Na każdym kroku jeden wielki chaos i bezprawie. Co kto chce, to robi, na nic już na tym świecie nie ma kary. Kiedyś była kara na wszystko. I jeszcze ci skini rozpanoszyli się w miasteczku jak średniowieczna zaraza. Na każdym rogu przynajmniej dwóch!

Matyllda dogoniła ją i dalej poszły ramię przy ramieniu, choć z zaciśniętymi ustami, do rozwidlenia dróg, gdzie Matyllda ruszyła w swoją stronę, a Róża w swoją.

Pod wieczór jeszcze trochę pokropiło i Matyllda ostatecznie doszła do siebie; nawet spotkanie z Różą Lorenc nie zdołało jej zepsuć humoru. Zważywszy okoliczności, była dość pogodna, miała jasny umysł i serce przepełnione dobrym niepokojem, więc kiedy o zmierzchu wyglądając oknem w kuchni zobaczyła Mateusza siedzącego pod szopą i wyplatającego kosz, przetarła najpierw oczy, zamknęła je i otworzyła na nowo: Mateusz ciągle tam był.

- A więc to nie zmęczenie... - szepnęła cicho i usiadła na taborecie przy oknie.

Patrzyła na Mateusza, jak tam siedzi z pochyloną głową i sprawnie przeciąga wiklinę między prętami szkieletu kosza. I choć przeplatał i przeplatał, nic mu nie przybywało. Matylldzie zrobiło się go żal. Wtedy on uniósł głowę i spojrzał jej z wyrzutem w oczy. Matyllda aż odsunęła się pod tym spojrzeniem i zachwiała na stołku, ale opanowała się szybko i odpowiedziała mu odważnym spojrzeniem.

Czego chcesz? - zapytała w myślach, ale nie odpowiedział. A więc to tak, nawet po śmierci nie może na nią patrzeć. Ciekawe dlaczego, przecież nikt go nie zmusza, żeby ciągle lu hyl i patrzył, a jeśli już musi, to trudno, ona przecież nie będzie się chować po kątach i nie zakopie się pod ziemią,

bo jeszcze nie umarła. Trudno, jedni odchodzą, a inni zostają, takie jest życie. A jej dopiero teraz chciało się naprawdę żyć. Wstawała skoro świt, bo szkoda jej było dnia. To dziwne, że kiedy żył Mateusz, zawsze było jej mało snu. Zwlekała się rano na siłę i z obowiązku. I o którejkolwiek wstała, on już siedział pod szopą i wyplatał kosze. Jeśli zamarudziła, posyłał jej na powitanie pełne wyrzutu spojrzenie, jak teraz. Zawsze chciało jej się jeszcze trochę pospać, więc kiedy wyjeżdżał, pozwalała sobie poleżeć dziesięć lub piętnaście minut dłużej, ale w strachu, że może czegoś zapomniał albo wróci wcześniej. On jednak nigdy wcześniej nie wracał. Przeważnie później, niż obiecywał. Nieraz zastanawiała się, ile czasu potrzeba, żeby sprzedać pół forda koszy i jakim cudem -przebywając tyle dni poza domem - jeszcze na tym zarobić. A przecież zarabiał. Niewiele, ale jakieś pieniądze do domu zawsze przywoził. Doszła do wniosku, że oszczędza na jedzeniu podczas tych wyjazdów i śpi w samochodzie, więc za którymś razem naszykowała mu kosz prowiantu, a do forda włożyła koc i poduszkę. Spojrzał na nią chłodno, może chłodniej niż zwykle, choć z lekkim zdumieniem, ale wziął to wszystko i odjechał jak zawsze, bez słowa. Potem już bez zdziwienia patrzył, jak Matylda ładuje mu do samochodu koszyk z jedzeniem i zmienia powłoczkę na poduszce za każdym razem. W pewnym momencie prosta z początku czynność wyposażania Mateusza na drogę urosła do rangi prawdziwego rytuału. Matylda uczestniczyła w nim z dumą i przejęciem. Na koniec, kiedy wszystko było już przygotowane i zapakowane osobno, zastanawiała się głośno, czy by może nie dorzucić

jeszcze ze dwóch pomidorów - takie w tym roku soczyste i słodkie - on z kamienną twarzą wyrywał jej to wszystko i bez ceremonii rzucał do samochodu. To nic, myślała, taki już jest. Stała chwilę na werandzie i patrzyła za nim, a kiedy dojeżdżał do szosy, odważała się pomachać mu na pożegnanie ręką.

Całe ich życie na Wzgórzu tak się przez te lata doskonale obok siebie ułożyło, nabrało tak dobrego rytmu i sensu. Wychodząc tamtego pamiętnego popołudnia ze sklepu Lewickiej z niewielkim bagażem rzeczy własnych, ani przez chwilę nie pomyślała, że gdzieś czeka na nią przyjazne Wzgórze. On jej je ofiarował: bez zbędnych słów, żadnych zapewnień; po prostu. Nic ich wcześniej, prócz pewnych gestów przy przyjmowaniu koszy z wikliny, nie łączyło. Nawet słowa.

Matylda na samym początku pracy w sklepie zauważyła obojętnie, że słowa go drażnią. Lewicka przy każdej okazji wypuszczała z siebie cały ich potok, złorzecząc na wszystkie możliwe urzędy, ludzi, co przychodzą ją okraść, i kosze, które nie są warte tyle, ile ona za nie płaci. Potrząsał ze zniecierpliwieniem głową, jakby chciał odgonić od siebie jej słowa. Matylda nie miała powodu się do niego odzywać. Raz czy dwa przemknęło jej przez myśl, że patrzy na nią przez to jeśli nie przychylnie, to przynajmniej bez złości. Ale to nie miało żadnego znaczenia, dopóki nie podzielił się z nią Wzgórzem. I rzeczywiście, już żyjąc z nim dzień po dniu, bardzo szybko zorientowała się, jak ceni sobie ciszę. Potrafiła się dostosować, bo sama nigdy nie była gadułą.

Doskonale dostosowali się do siebie. Przez tyle lat nie było między nimi żadnego naprawdę wielkiego zgrzytu. W którymś momencie po prostu pojęła, jak żyć obok niego i nie zwracać na siebie uwagi. To nie było takie trudne, kiedy się wreszcie nauczyła odgadywać grymasy na jego twarzy. Wstawała po prostu jak najwcześniej i prawie od razu schodziła mu z drogi. Zajmowała się zwierzętami i uprawiała niewielkie po-

le. Kiedy przyszła pora sianokosów, skosiła łąkę i wysuszyła siano. Pierwszego roku trochę jej pomógł, ale widziała, jak bardzo był niezadowolony z tego powodu. Patrzył na krowę tak, jakby pokrzyżowała mu część życiowych planów. Rzeczywiście, nie zdążył wyrobić dostatecznej liczby koszy przed wyjazdem (Matylda nie odważyła się zapytać, dlaczego po prostu nie pojedzie później) i przywiózł z tej wyprawy jakieś marne pieniądze, które - zauważyła - rzucił jej na stół w kuchni ze złośliwą satysfakcją, jakby chciał powiedzieć: Proszę bardzo, to wszystko przez twoją cholerną krowę: Następnego lata nie prosiła go już o pomoc. Sama wysuszyła siano, a potem na wózku do drewna zwoziła je do stodoły. Mateusz przez cały czas siedział pod szopą i udawał, że nic nie widzi, ale od tamtej pory przestał wspominać, że ta krowa niewarta jest pracy, jaką trzeba w nią włożyć. Matylda nie chciała nawet myśleć, że mogliby się jej pozbyć; przywiązała się do niej jak do przyjaciela, za którym zawsze tęskniła.

Nigdy nie miała Mateuszowi za złe, że nie podziela jej miłości do zwierząt i nie chce się nimi zajmować. Każdy powinien robić to, co najbardziej lubi i na czym się zna najlepiej. Oboje mieli to szczęście i na tym polegała tajemnica ich udanego związku - Matylda była z tego najbardziej dumna.

Po kilku ulewnych deszczach trawa na łące znowu się zazieleniła i Matyldzie kamień spadł z serca - będzie siano na zimę. Od świtu do nocy zachłystywała się niezmaconą już niczym swobodą. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak wiele przyjemności można czerpać z codziennego, zwykłego życia. Wzgórze budziło się z nią każdego ranka i trwali razem do samego zmierzchu; wtedy pojawiał się pod szopą Mateusz. Miała ochotę zwierzyć się z tego Róży Lorenc i zapytać, czy nie ma na te jego wizyty jakiej rady, ale odkładała to z dnia na dzień,

aż w końcu przyzwyczaiła się do jego obecności i przestała wzdygać na jego widok.

- Skoro tak być musi, niech już będzie - powiedziała do Tenora, a on ogonem dał znać, że też nie ma nic przeciwko temu.

.Zwierzęta potrafią być wspaniałomyślne; dobrze wiedziała, jak Tenor bał się Mateusza. Choć nie był tchórzliwym psem, nigdy nie oddychał swobodnie w jego obecności. Teraz, odkąd nie ma Mateusza, nawet sierść mu się wyraźnie poprawiła.

Przywykła więc do Mateusza siedzącego o zmierzchu pod szopą. Nigdy wcześniej nie uwierzyłaby, że do czegoś podobnego można przywyknąć. Tylko jego wzrok nie dawał jej spokoju. W końcu robiła wszystko jak trzeba. Zajmowała się jego gospodarstwem i chodziła na cmentarz dwa razy w tygodniu.

Któregoś dnia przyszło jej na myśl, że Mateusz czegoś chce. Przez kilka dni zastanawiała się, czego też mógłby chcieć od niej w trzy tygodnie po śmierci, aż pewnego wieczora, patrząc oknem w kuchni, jak wyplata ten kosz i wyplata i nic mu nie przybywa, doznała nagle olśnienia.

- Wiem! - krzyknęła, aż Tenor podniósł na nią wzrok ze zdziwieniem, bo nigdy dotąd nie podnosiła głosu. - Chodzi o kosz! On chce, żebym mu pomogła go skończyć!

Nie miała odwagi zrobić tego o zmierzchu, kiedy siedział tam, niepewna, na ile materialny by się okazał z bliska, ale nazajutrz wstała jeszcze wcześniej niż zwykle, obrządziła zwierzęta i usiadła pod szopą przy nieskończonym koszu.

Po dwóch godzinach niesłychanego skupienia i wysiłku, wstała i z niesmakiem spojrzała na swoje dzieło. Przybyło wprawdzie kilka centymetrów ścianki, ale nie wiadomo dlaczego zwęziła obwód, zamiast go u góry rozszerzać, by kosz nabrał właściwego kształtu, a nawet i to było tak nieprzyzwoicie nierówne, że Matyldzie zachciało się płakać. Mateusz miał rację: jest wielką niezdarą z łapami, które nadają się tylko do prostej fizycznej roboty.

O zmierzchu Mateusz, tak jak się spodziewała, popatrzył na nią z pogardą. Nie miała mu tego za złe. Zasunęła brankę i włączyła radio, żeby nie słyszeć własnych myśli.



Od tego dnia starała się nie patrzeć w okno o zmierzchu. Przez kilka dni jej się to udawało. Wtedy przyszło jej do głowy, że Mateusz istnieje pod szopą tylko wtedy, kiedy na niego patrzy. Ponieważ umarł wiele tygodni temu, materialnie go nie ma. Stół w kuchni, kiedy stoi odwrócony do niego tyłem, jest mimo to stołem. Mateusz jednak jest tylko obrazem w jej oczach w danym miejscu o danej porze, bo tak go zapamiętała w ostatniej chwili, nim na dobre położył się do łóżka. Wstał po prostu któregoś wieczora od niedokończonego kosza i powiedział, że dokończy jutro. Wiedziała, że dzieje się coś niedobrego, bo nigdy nie zostawiał roboty na drugi dzień. Jesh było trzeba, palił żarówkę pod dachem i dotąd dębował w wiklinie, aż kosz był gotowy.

Zadowolona z odkrycia, a głównie z tego, jak prosto i łatwo można wytłumaczyć każdą rzecz na tym świecie - wystarczy się odrobinę zastanowić - wytrwała w nieugiętym postanowieniu niepatrzenia w okno o zmierzchu przez wiele dni. Az do tego wieczoru, kiedy wycierając stół kuchenny po kolacji (ten stół który istniał nawet wtedy, gdy odwróciła się do niego tyłem) usłyszała nagle przeraźliwe gdańskie kur w kurniku. Kury w miarę regularnie wpadały w panikę z byle jakiego powodu. Mógł je spłoszyć krążący nad Wzgórzem jastrząb lub coś równie błędnego. Matylda odruchowo spojrzała w okno i wtedy zobaczyła go. Nie patrzył na nią, jak zawsze, lecz z pochyloną pokornie głową bardzo powoli prowadził pręt wikliny po okręgu. Matylda położyła ręce na twarzy i zaskomlała żałośnie: - Mój Boże, Mateusz... Przepraszam... Przepraszam... Odtąd przestała się zastanawiać, jak i dlaczego Mateusz istnieje pod szopą o określonej godzinie dnia, ani jaki jest sens czy cel jego istnienia-nieistnienia, tylko każdego wieczora za-

siadała ze szklanką mocnej herbaty przy oknie w kuchni i odsuwała firankę. Był już - albo jeszcze go nie było; wtedy wstawiała od okna i odkrawała sobie plasterki cytryny i kiedy znowu siadała, on także już siedział pod szopą i, dałaby głowę, czasem nawet spoglądał na nią z wdzięcznością. Zrozumiała, że z jakichś nieznanych jej powodów Mateusz bardzo tych chwilowych powrotów do jej świata potrzebuje i wtedy ostatecznie pogodziła się z jego śmiercią.

Oprócz Róży Lorenc i czasem listonosza nikt nie odwiedzał Wzgórza. Przez siedem lat pojawił się tu tylko jeden człowiek. Właściwie nawet nie wszedł za bramę - Mateusz wyszedł do niego aż do drogi. Matylda rozwieszała pranie na sznurkach i obserwowała ich zza prześcieradeł. Był to chudy, niski człowiek w za dużym garniturze. Ciągłe się poruszał: to odchodził parę kroków, to wracał, podrygiwał albo chwycił niecierpliwym gestem własny podbródek. Matylda jeszcze nigdy nie widziała tak nerwowego, spiętego człowieka. Stali tak pięć, góra dziesięć minut, po czym tamten odwrócił się nagle i szybkim krokiem odszedł do samochodu stojącego w dole przy szosie. Mateusz stał jeszcze chwilę i patrzył za nim, a potem wrócił na podwórze i idąc z zachmurzonym czołem do domu, nawet nie spojrzął na Matyldę. Zignorował też jej ciekawość, kiedy zaraz po tym weszła za nim do domu z pustym koszem na bieliznę i nieopatrznie zapytała, czego chciał ten mężczyzna. Zrobił tylko gest podobny do jednego z tych w wykonaniu małego człowieczka i zapalił papierosa. Mateusz bardzo rzadko palił papierosy. Matylda wzruszyła wtedy ramionami i nigdy więcej nie myślała o tamtej wizycie. Pewnej soboty, kiedy kończyła sprzątać mieszkanie, a sprzątała je każdej soboty bez względu na to, czy było brudno, czy nie, usłyszała ujadanie Tenora. Wyszła przed dom i zobaczyła

za bramą męczyzną. Od razu wiedziała, że to ten sam człowiek. Było w nim tyle samo nerwowości, co wtedy, a może nawet więcej, i ten garnitur na nim - choć z pewnością już zupełnie inny - był tak samo za duży.

Matyldzie przemknęło przez myśl, że nie ma na całym świecie garnituru, który by na tego człowieka pasował. Przywołała Tenora, wtedy tamten niepewnie wszedł na podwórze.

Z miejsca zapytał o Mateusza, wtedy ona zapytała, o co chodzi.

- Nieważne - mruknął, ale po chwili zreflektował się, widząc niechęć w oczach Matyldy. - Ma coś do zrobienia...

- Do zrobienia? Ale to niemożliwe. Mateusz już nie robi koszyków.

- Koszyków?

- Umarł.

- Co takiego?

- Kilka tygodni temu.

Męczyzna wbił w Matyldę przenikliwy wzrok i zapytał rzeczowo: -Jak?

- Co jak?

- Jak, cholera, umarł?

- Normalnie.... To znaczy na raka.

Nigdy tego nie zrozumie, ale ten męczyzna zaczął się nagle śmiać.

Piskliwie i nienaturalnie. Szybko urwał śmiech. Parsknął jeszcze dwa razy, co Matyldzie już wyjątkowo się me spodobało, i grzecznie zapytał, czy mógłby się rozejrzeć w rzeczach Mateusza, bo zdaje się, że jest w nich coś, co należy do niego.

- Nie ma żadnych rzeczy Mateusza - ucięła krótko.

- Papiery, dokumenty..

- Dowód oddałam w urzędzie.

- Jakieś notatki...

- Notatki? Nie widziałam, żeby Mateusz kiedy coś pisał... - Nagle usiadła na schodach i dodała cicho w zamyśleniu: -Jakie to dziwne... dopiero teraz o tym pomyślałam... Nic po człowieku nie zostaje. Nic. Nawet jego ubrania już spaliłam. Róża Lorenc powiedziała, że dopiero po sześciu tygodniach można. Wczoraj właśnie minęło... To wzięłam i spaliłam. Chociaż może niepotrzebnie? Jak pan...

- Och, do diabła! - przerwał ze zniecierpliwieniem. - Nie mam, cholera, pojęcia. - I znowu, teraz jakby z jakąś nadzieją, wbił w nią wzrok. - Miał jakiś inny dom?

- Inny dom? A po co? Nawet jak wyjeżdżał, to spał w samochodzie... Tak mi się wydaje, bo... bo bardzo oszczędzał.

Popatrzył na nią jak na jakieś dziwadło - wcale się nie zdziwiła - i chwycił nerwowym gestem własny podbródek.

- A więc wszystko pani spaliła... - mruknął pod nosem, a Matylda przytknęła. - Na pewno? Do ostatniego świstka? Wszystko?

Matylda nie miała zielonego pojęcia, dlaczego tak się uczepił papierów, kiedy akurat tego było tyle co nic, ale przytaknęła jeszcze skwapliwiej niż poprzednio i to go w jakiś sposób uspokoiło. Popatrzył jeszcze na nią świdrującym wzrokiem, jakby chciał na czymś przyłapać, po czym odwrócił się i bez słowa odszedł. W pewnej chwili chciała zawołać za nim, że tak naprawdę, to zostały po Mateuszu dwie, z premedytacją zresztą zostawione, rzeczy: stary płaszcz i notesik z adresami odbiorców koszy, ale zreflektowała się szybko. Właściwie z jakiej racji ma obcemu człowiekowi o takich rzeczach mówić. Żadna z nich na pewno nie należała do niego. Płaszcz, odkąd pojawiła się na Wzgórzu, wisiał na haku w przedsionku i wisi tam do tej pory. Jedną z pierwszych i niewielu spraw, na jakie na wstępie zwrócił jej uwagę, dotyczyła właśnie jego.

„- To jest płaszcz - powiedział, a kiedy posłała mu zdziwione spojrzenie, bo przecież widziała, co to było, dodał: - Pamiątkowy, po dziadku. Ma tu wisieć i nie wolno go ruszać”.

Matylda nie ruszyła go nigdy. Potrafiła uszanować pewne rzeczy. Widziała, jak zakładał go czasem na ramiona i obchodził w nim Wzgórze, potem wracał i wieszał na haku. Pojęła, że ten stary łańch wiele dla niego znaczy i rozumiała to. Chętnie poznałaby związaną z nim historię, bo jakąś historię musiał mieć, skoro był tak ważny, ale nie miała odwagi zapytać. Kiedy paliła jego rzeczy, nawet nie pomyślała o tym płaszczu. Rzadko go w ogóle dostrzegała. Był czymś tak naturalnym w tym miejscu jak wiadro na wodę przy studni. Kto dostrzega wiadro przy studni, jeśli nie zamierza nabrać nim wody?

Zdziwiła ją ta wizyta - bądź co bądź w ciągu siedmiu lat ten człowieczek pojawił się tu po raz drugi - i nie spodziewała się nikogo więcej prócz Róży Lorenc, bo już nawet nie listonosza.

Tymczasem sześć tygodni po śmierci Mateusza, kiedy pogodziła się już z jego widokiem pod szopą o zmierzchu i tuż po tym, jak ochłonęła po wizycie małego człowieczka w za dużym garniturze, w jej domu pojawiła się Lora.

Matylda w pierwszej chwili westchnęła na jej widok. Na widok Lory można było tylko westchnąć. Mogła być w jej wieku (potem okazało się, że jest o całe pięć lat starsza) i choć trochę wyzywająco, jak na gust Matyldy, ubrana, była z całą pewnością najbardziej uroczym stworzeniem, jakie kiedykolwiek w życiu widziała. W dodatku pachniała jak jedna klientka, która od czasu do czasu odwiedzała sklep Lewickiej w poszukiwaniu osobliwości i o której Lewicka mówiła, że to jedyna kobieta z klasą w tym miasteczku. Lora, w swych nieprawdopodobnie obcisłych dżinsach i błyszczącej bluzeczce zaczynającej się powyżej pępka, a kończącej w połowie piersi i żująca bezceremonialnie gumę, nie wyglądała z całą pewnością na kobietę z klasą. Miała w sobie jednak wiele uroku i ten zapach sprawił, że Matylda uśmiechnęła się do niej ciepło.

Potem wiele razy zastanawiała się nad pierwszym wrażeniem, jakie ta kobieta na niej wywarła i uczciwie musiała przyznać - nawet wtedy, gdy już chciała ją zabić - że to wrażenie było bardzo pozytywne. I nie mogła wyjść z podziwu, jak to się stało. Zresztą sama Lora się dziwiła, mówiąc, że ludzie z miejsca mylnie ją oceniają i potem, żeby nawet stawała na głowie, trudno swój wizerunek poprawić. Matylda twierdziła, że pewnych rzeczy nie da się poprawić.

W tamtej jednak chwili poczuła do niej głęboką sympatię. Lora, miętosząc gumę między zębami, zmierzyła Matyldę wzrokiem i powiedziała:

- Jestem żoną Mateusza. Gdzie ten sukinsyn się podziewa? Matylda, ciągle jeszcze pełna niezrozumiałej sympatii dla nieznajomej, zaprotestowała nieśmiało:

- Ja... ja jestem żoną Mateusza.

Guma w ustach Lory zamarła na moment w bezruchu, po czym Lora parsknęła krótkim śmiechem i po raz drugi - teraz już z pobłażliwym uśmiechem - zmierzyła Matyldę wzrokiem.

- Ty? Dobre sobie! Wołaj go, pora porozmawiać o forsie. Czar prysł. W jednej chwili słodko pachnąca nieznajoma stała się realną kobietą, która przybyła tu w jakimś konkretnym, choć na razie bardzo niezrozumiałym, celu. Matylda przestała się uśmiechać, zacisnęła usta.

- On... śpi - powiedziała.

- To go obudź!

Teraz Matylda parsknęła śmiechem, choć zaraz zrobiło jej się głupio z tego powodu i zastawiła sobą drzwi, kiedy Lora chciała wejść do domu. Pokazując ręką w stronę szosy, powiedziała:

- Tam!

- Co tam?

- Jakies dwa kilometry w prawo i ze trzysta metrów w bok od szosy... Sama go obudź.

O ile Lora dobrze pamiętała, do samego miasteczka, lej zapyziałej dziury, nic prócz cmentarza nie ma. Matyllda spojrzała jej bez wyrazu w oczy.

- Tylko mi nie mów, że sukinsyn kopnął w kalendarz...

- Tak właśnie zrobił.

- A to drań.

Matyldzie nigdy nie przyszło do głowy nazywać Mateusza lub kogokolwiek innego w ten sposób, więc teraz już otwarcie patrzyła na Lore z niechęcią i nie zamierzała tej niechęci ukrywać. Mimo wszystko jednak była ciekawa, jakie podstawy ma ta kobieta, żeby opowiadać takie rzeczy o Mateuszu, który całe życie wyplatał kosze i nic nikomu nie był winien, więc pokazała jej krzesło na werandzie i wtedy zorientowała się, że Tenor w ogóle nie czekał na Lore. Wręcz przeciwnie, patrzył na nią, głupi pies, przyjaźnie. Czy Michał Duszny nie mówił jej, że psy, jak nikt, znajdują się na ludziach?

- Napiałabym się czegoś - przerwała jej medytacje na temat psiej psychiki Lora.

Matyllda przyniosła dzbanek osłodzonej wody z cytryną, usiadła na drugim krześle i z zachmurzonym czołem popatrzyła przed siebie.

- A nie masz coli?

Matyllda zmierzyła ją wzrokiem.

- Jakiej coli?

-Normalnej. Dobrze, dobrze... Po co się zaraz złościć... -Wypiła jednym tchem dwie szklanki i zamruczała: - Żona Mateusza! Gdybym go nie знаła i nie mieszkała z nim na tym odludziu, to może bym uwierzyła...

- Mieszkałaś tu? - W głosie Matyldy zadźwięczała lekka nutka strachu.

Dopiero teraz tak naprawdę zdała sobie sprawę z obecności Lory na Wzgórzu. Do tej pory była czymś tak nierealnym, że wystarczyło zamknąć oczy, by znikła. Matyllda zamknęła oczy, ale z innego powodu. - Naprawdę tu mieszkałaś...

- Sama czasem zachodzę w głowę, jak to się stało. Zdaje się, że byłam w sukinsynu - niech mu ziemia lekka będzie -naprawdę zakochana. Potrafił zbajerować tym swoim martwym spojrzeniem...

- Martwym spojrzeniem?

- ... i cholernie olewającym stosunkiem do wszystkiego. Wtedy oczywiście nie wiedziałam, że to po prostu zimny sukinsyn...

- Mateusz nie był taki...

- Nie bądź głupia! Kiedy braliśmy ślub, nie było nikogo. Wtedy myślałam, że to takie oryginalne. Drań zwyczajnie nie miał przyjaciół, nikogo, kto by widział potrzebę uczestniczenia w tej jedynej w życiu uroczystości... Co ci jest?

Matylda pobladła i skuliła się na krześle. Lora łyknęła jeszcze dwie szklanki wody z cytryną, zerkając na nią kątem oka.

- Chodzi ci o ten ślub? Myślałaś, że przyjechałam stroić tu sobie żarty? - To mówiąc, pogrzebała chwilę w torebce i wyciągnęła z niej dokumenty w małym etui. Rzuciła je w stronę Matyldy. - Masz, zobacz sobie. Mówi ci coś to nazwisko? Ciągle jeszcze jestem jego żoną... Raczej może wdową... O kurna, to całkiem wszystko zmienia. No co, nie chcesz zobaczyć? Nie patrz. O co ci chodzi? Kim ty właściwie byłaś dla niego?

- Żoną...

- Żoną? - Lora chwyciła dokumenty, przewertowała i podsunęła Matyldzie pod nos. - Jeśli byłaś jego żoną, musisz nosić jego nazwisko. To nazwisko! Jeśli tak, to oznacza, że drań dopuścił się bigamii. Więc jak to z tobą jest?

Matylda pokręciła głową.

- Właściwie to jakoś tak się złożyło... - Nie kończąc, podniosła nagle wzrok na Lorę i rzuciła wrogo: - Ale jakie to ma znaczenie, jeśli przez siedem lat żyliśmy jak mąż z żoną...

- Jak mąż z żoną? - podchwyciła Lora.

- To znaczy nie w tym sensie... - Matylda spłonęła rumień-



cem. - Ale razem to wszystko ciągnęliśmy i każdy w okolicy może poświadczyć, że tak było.

- Chciałabym to widzieć - prychnęła z pogardą Lora. Jakbym nie знаła tych ludzi. Zresztą, kto wie... - dodała po błyskawicznym namyśle. - Żeby mi zrobić na złość, być może są gotowi poświadczyć wszystko. Tylko co mnie to obchodzi. Myłam jego żoną i tego nic nie zmieni.

-Ale ja... Ja przez tyle lat... - zaczęła Matylda bezradnie i nagle spuściła głowę, nie wiedząc, jak skończyć. Lora pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Słuchaj, dajmy temu spokój. Guzik mnie obchodzi, kim byłaś lub nie byłaś dla tego sukinsyna, liczy się i tak to, co na papierze. Wiem tak naprawdę tylko to, że jesteś pierwszej wody ofiarą losu. A ja nie przyjechałam tu, żeby się nad ofiarami losu użalać.

Zapaliła papierosa i ze zniecierpliwieniem obejrzała telefon komórkowy, po czym położyła go na stoliku. Matylda milczała bardzo długo, oglądając jakby od niechcienia dokumenty Lory. W pewnej chwili wypadło z nich małe zdjęcie. Wpatrując się w nie, zapytała sucho:

- Co to za dziewczynka?

- Julia? A jak ci się zdaje?

- Mateusz nigdy nie mówił, że ma córkę...

- Najpierw musiałyby wyznać, że ma żonę - parsknęła i ze zniecierpliwieniem trąciła telefon. - Cholera, tak ciężko zadzwonić?!

Która godzina?

- Może koło drugiej. Albo trzeciej. Ja nie patrzę na zegarek.

- Jeśli nie zadzwoni do piątej, szlag mnie trafi. To widać.

- Co widać?

- Że nie patrzysz na zegarek. - W głosie Lory słychać było coraz większe zdenerwowanie. - Powiedziałam: Jeśli nie zadzwonisz do piątej, to znaczy, że masz mnie w nosie. Cholera, po co tak mówiłam, przecież może nie mieć czasu albo coś ta-

kiego, niezła ze mnie idiotka. - Po błyskawicznym namyśle dodała: - Zresztą, po co się oszukiwać, kolejny facet wystawia mnie do wiatru, a ja jeszcze powinnam powiedzieć, że to nie jego wina.

- Po co tu przyjechałaś?

Matylda rzuciła to pytanie znienacka, po czym nagle przeraziła się jego rzeczowością. Wstała i oparłszy się o balustradę, powiodła wzrokiem, jak daleko mogła sięgnąć: wszystko było tak do szpiku kości swoje. Dobre i przyjazne jak nigdy dotąd. Jej siedmioletni azyl. Jeśli ta kobieta nie była tylko wytworem jej wyobraźni, lecz namacalną istotą - co łatwo mogła sprawdzić - wszystko od tej chwili może się zmienić. Tylko na ile dla niej niekorzystnie? A właściwie dlaczego niekorzystnie? W końcu to gdzie była ta kobieta, kiedy trzeba było pochować Mateusza (Bóg jej świadkiem i wszyscy potwierdzą, że zrobiła to jak należy), nie mówiąc o wielu miesiącach choroby, kiedy nie spała, nie jadła, tylko siedziała dzień i noc przy jego łóżku, karmiła go, myła, smarowała odleżyny i wynosiła za szopę jego wyplute wnętrzności. Dlaczego nie zjawiała się pół roku temu, żeby nie spać, nie jeść, tylko pielęgnować go jak ona i nie doczekać się słowa wdzięczności? Od nikogo.

Odwróciła się i chciała ją o to wszystko zapytać, wtedy dostrzegła, że Lora mierzy wzrokiem jej sylwetkę z pobłażliwym uśmiechem.

- Daj mi adres krawca, u którego się ubierasz, co? - zakpiła i kręcąc głową, dodała po chwili: - Chryste, dziewczyno, dlaczego wszystko na tobie takie luźne i nijakie?

Matylda nie miała pojęcia, o co jej chodzi. Nigdy nie zastanawiała się nad tym, co ma na siebie włożyć, tylko wkładała to, co było akurat czyste, wyprasowane i pod ręką. A pod ręką były zawsze wygodne, luźne spodnie i bawełniane albo flanelowe koszule. A co, miała do obory albo w pole wciskać się w o dwa numery za małe poszarpane dzinsy i kolorowy stanik zamiast bluzki? Róża Lorenc już by miała swoje zdanie na ten temat.

- Idę przewiązać krowę - powiedziała, zamiast zapytać tę kobietę o to wszystko, o co chciała zapytać, i zbiegła z werandy.

Kreska podreptała za nią do samej łąki, a kiedy wracała, Biała Dama zastąpiła jej przy studni drogę i zaczęła się uzalać swoim zwyczajem na kury albo ogólnie na swój gęsi los i tym razem Matylda dała się nabrać:

pogłaskała ją po szyi i mruknęła cicho, żeby tamta na werandzie nie słyszała:

- Myślisz, że mnie jest łatwo?

A tamta z werandy, zapalając papierosa i wytrzeszczając oczy na widok Matyldy obejmującej szyję wyrosniętej gęsi, zawołała głośno:

- Przyjechałam po to, co mi się należy.

Matylda nie miała pojęcia, co się należy żonie na papierze, a co tej, która żyła z mężczyzną przez siedem lat, gotowała mu i prała jego koszule, a w chorobie siedziała przy nim przez niekończące się dni i noce, myła go, karmiła i wносиła jego wyplute wnętrzności za szopę.

Pole, które wydarła łące i na którym sadziła kartofle, warzywa i siała zboże dla kur, było jej, bo ona je stworzyła. Kto odważyłby się je jej odebrać, wiedząc, ile ciężkiej pracy w nie włożyła i pokazała wszystkim tym, którzy stukali się w czoło, kiedy stary Kulesza ze Stawisk przyjechał traktorem i zaorał szmat odłogu na południowym stoku Wzgórza. Zgodził się, żeby Matylda mu odrobiła w polu jesienią przy zbieraniu kartofli. Potem poszło na to dziesięć wywrotek żyznej ziemi, za którą Matylda niestety musiała zapłacić. Nie miała pojęcia, że tak droga jest ziemia. Kiedy usłyszała cenę, złapała się za głowę i pół dnia siedziała na werandzie, bijąc się z myślami. W końcu, nie mając innego wyjścia, postanowiła poprosić o pomoc

Mateusza, choć wiedziała, że Mateusz takiej kwoty nie ma. Nigdy nie zrozumie, dlaczego odważyła się wtedy zapytać go, czy nie wie, skąd wziąć pieniądze na opłacenie człowieka, który przywiózł ziemię. Sądziła, że to będą jakieś grosze, a tymczasem... Mateusz popatrzył tym swoim - jak to teraz nazwała ta kobieta - martwym wzrokiem, może jeszcze bardziej martwym niż zwykle, pewnie dlatego, że jeszcze nigdy nie powiedziała na raz tak wiele. Wtedy odważyła się jeszcze dodać, że będą mieć wszystkie warzywa na zimę, z których będzie gotować zupy, robić surówki i przede wszystkim ziemniaki, nie mówiąc już o kapuście. Zapyta Róży Lorenc, jak się kisi kapustę i w ogóle o wszystko inne... Co wtedy więcej trzeba? Tylko jej pracy, a przecież ona lubi pracować, nie może się już doczekać, kiedy będzie mogła obsadzić całe pole, plewić i patrzeć, jak rośnie... Och, skąd mogła wiedzieć, że ziemia jest taka droga? Gdyby wiedziała...

Nim dokończyła, włożył płaszcz po dziadku i wyszedł. Wtedy przestraszyła się jeszcze bardziej. Po co mu w ogóle o tym mówiła, skoro wie, że z tych jego koszyków wystarcza tylko na chleb, światło, jakieś ubranie od czasu do czasu i coś do domu jeszcze rzadziej. Chodził w tym płaszczu po łące, a ona wyglądała i nasłuchiwała, czy nie wsiada do forda i nie odjeżdża. Zrobiło jej się go strasznie żal. Chciała pobiec za nim na łąkę i odwołać wszystko. Każe zabrać tę ziemię z powrotem, nawet sama ją załaduje na ciężarówkę, choćby miała to robić dzień i noc bez wytchnienia, mogą się obyć bez tego wszystkiego, jak dotąd się obywali... Wyszła na werandę, żeby mu to wszystko powiedzieć, wtedy Mateusz stanął na chwilę, popatrzył w dal, odwrócił się nagle i zaczął iść w jej stronę. Znieruchomiała, nie mając pojęcia, co teraz zrobić, co powiedzieć. Popatrzył na nią, wszedł do domu i wieczorem, kiedy ciągle siedziała na werandzie, kuląc w ramionach głowę, stanął koło niej, sięgnął do kieszeni spodni i powiedział: „Masz”.

Cała kwota, dokładnie tyle, ile potrzebowała, żeby zapłacić za tę nieszczęsną ziemię. Nie wierzyła własnym oczom. Chwyciła go z wdzięcznością za rękę, ale on wyrwał ją ze złością i dodał jeszcze, że nie chce więcej o niczym słyszeć. Przytaknęła i o mało nie zaczęła tańczyć ze szczęścia, choć przecież nigdy dotąd nie tańczyła.

Nigdy więcej nie wspominała Mateuszowi o polu, choć potem zastanawiało ją, skąd wziął takie pieniądze, ale tylko do czasu kiedy Róża Lorenc powiedziała jej, że mężowie mają zawsze swoje zaskórniaki.

Wszyscy mężowie? Wszyscy, z wyjątkiem jej męża, który nie wychodzi nigdy z domu, bo ciągle coś dłubie na strychu, więc na diabła mu jakieś zaskórniaki, zresztą jej mąż to zupełnie co innego.

Matylda zapłaciła za ziemię, potem Kulesza nawiózł obornika, jeszcze raz zaorał i powiedział, że teraz może się zabierać do roboty.

Odpracowała mu wszystko, a on, zadowolony, obiecał, że za każdym razem przyjedzie i przygotuje jej pole do uprawy. Nawet łaskę zaoferował się skosić kosiarką („Co pani, jakaś niezyciowa, żeby się tak mordować kosą”), ale się nie zgodziła. Chwyciła kosę i przez dwie godziny delectowała się zapachem odkładających się z rosą pokosów, ale po dwóch godzinach miała dość. Zawołała przejeżdżającego drogą Kuleszę, a on roześmiał się z satysfakcją.

- No i co, nie mówiłem?! Przyjdzie pani na to konto, jak będę zwoził swoje, bo nigdy nie ma mi kto podać i będziemy kwita.

Tak też i było. Każdy pokos trawy, każdą skibę zaoranego pola odpracowała z nawiązką. Kulesza cenił sobie jej pomoc, zawsze brakowało mu rąk do pracy. Ona bez niego nie zrobiłaby nic. Mateusz widział czasem obcego mężczyznę na swoim polu, ale tylko raz zapytał, kto i w jakim celu, a kiedy mu wyjaśniła, nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Nie obchodziło go też, czemu Matylda wsiada czasem na rower i jeździ do wsi.

Napracowała się na tym polu, ale jakie to było pole! Od pierwszych plonów nikt już nie kręcił głową, a Mateusz łagodnym spojrzeniem pochwalił ją, kiedy załadowała całą piwnicę na zimę. Uwielbiała siać, sadzić, spulchniać ziemię i plewić. Plewić lubiła najbardziej. Tenor leżał na skraju pola i albo spał, albo obserwował, jak pracuje, Kreska usiłowała przegryźć ogrodzenie z wierzbiny, by dostać się do warzyw i obskubać wszystko do gołej ziemi. Matylda dotąd ją wiązała na gołej ziemi przy drodze, aż Kreska zrozumiała i przestała zbliżać się do pola.

Każda pora roku na Wzgórzu była piękna, ale lato, kiedy mogła plewić i patrzeć, jak wszystko rośnie, kochała najbardziej. „Jedni lubią to, inni tamto” - odpowiadała niezmiennie, kiedy Róża Lorenc stała nad nią, nie mogąc wyjść z podziwu, po co to się tak mordować, kiedy można wszystko kupić. Ona wszystko kupuje; kto by jej kazał grzebać się w ziemi od rana do nocy. Jednak byli ludzie, którzy z tego powodu zaczęli darzyć Matyldę namiastką szacunku i przestali patrzeć na nią jak na dziwolągę, gdy od czasu do czasu pojawiała się w sklepie Tarnawskiej. Tarnawska nie patrzyła na nią z szacunkiem, bo Matylda kupowała tylko podstawowe produkty. Nigdy nie kupiła nic, co nie byłoby niezbędne do przeżycia. Raz usiłowała namówić Matyldę na ciastka kokosowe polewane czekoladą - usłyszała, że nie po to Mateusz zgina kark nad wikliną, żeby ona kupowała sobie ciastka kokosowe. Ma przecież w ogrodzie owoców pod dostatkiem, a zimą dzemy i kompoty, niczego jej nie brakuje.

Wszystko było proste i dobre. I dalej mogło takie być, mimo śmierci Mateusza. Umarł, to umarł. Dobrzy ludzie często odchodzą za młodu, ale poza jego nieobecnością nic nie musiało się zmieniać. Ale zmieni się, jeśli otworzy oczy, a ta kobieta będzie tu nadal.

Była. Chodziła z papierosem w ręku po werandzie i rozmawiała przez telefon. Z tonu, jakim krzyczała do maleńkiego pudełeczka - Matylda słyszała o telefonach komórkowych, ale nie sądziła, że mogą być tak małe - zorientowała się, że Lora ma problem. Matylda nie chciała podsłuchiwać, ale mimo to usłyszała:

- Cholera, przecież ci mówiłam, że zdobędę kasę i uruchomimy ten interes, jeśli tak bardzo ci na tym zależy, dobrze wiesz, że zrobię dla ciebie wszystko, ale czy to moja wina, że mój były przeprowadził się na tamten świat odrobinę za wcześnie? Teraz to trochę potrwa, ale za to forsa będzie większa... Bo wiem. Widzę, ile to wszystko może być warte. Ale co ci szkodzi poczekać?! Czy kiedyś cię zawiodłam?! Zawiodłam cię... Cholera, cholera, cholera!

Matylda zbiegła z werandy i poszła przewiązać krowę. Nie miała ochoty patrzeć, jak tamta się złości. Jednego była teraz już pewna: to jest zła kobieta (pierwsze wrażenie ją zwiodło) i nic dobrego z jej obecności nie wyniknie. Widziała na jej twarzy strach i zawziętość i intuicyjnie zrozumiała, że to nie jest dobre połączenie. Nie miała pojęcia, czego się spodziewać, ale to wiedziała: na pewno nie tego, że kiedy wróci z łąki, tamtej nie będzie.

Lora tymczasem wyniosła z samochodu laptopa (potem pięć razy na dzień sprawdzała w tym laptopie pocztę, tłumacząc zdumionej Matyldzie, że czeka na pewne materiały, które mogą przyjść lada moment) i podręczną torbę, w której była zaledwie jedna zmiana ubrania i kosmetyki. Gdyby wiedziała, że nie załatwi sprawy od ręki, zabrałaby więcej, ale chrzanić to, wszystko teraz można kupić, nawet w tym zapyziałym miasteczku powinien być jakiś porządny butik, w byle co się nie ubierze. Kiedy więc po kąpieli Matylda zaproponowała jej swoją ulubioną bawełnianą koszulkę (dojąc krowę pogodziła się z tym, że Lora zostanie tu na noc, a może jeszcze i cały następny dzień), prychnęła pogardliwie i pokręciła głową.

- Chcesz, żebym wyglądała jak jakieś dziwadło? Daj mi lepiej jaką koszulkę Mateusza.

- Wszystko spaliłam... parę dni temu.
- Spaliłaś?! A po jakiego diabła?
- Po sześciu tygodniach można wszystko spalić po... po nieboszczykach.

Lora chwyciła się za głowę.

- Można, ale chyba nie trzeba? Kto ci to do pioruna powiedział?
- Róża Lorenc...

Lora znowu chwyciła się za głowę.

- To ta wiedźma jeszcze żyje?!
- Wygląda całkiem zdrowo i chyba nie jest jeszcze stara...
- Bo takie wiedźmy się nie starzeją. Chryste panie, ile ta suka mi naszarpała nerwów, zawsze jej się coś we mnie nie podobało i obrabiała mi tyłek W całym miasteczku. Czy ona w dalszym ciągu nienawidzi samochodów? Zawsze jakiś ją chciał, kretynekę, przejechać...
- Nie, teraz nienawidzi skinów.

Lora wytrzeszczyła oczy. Matylda opowiedziała jej, jak to parę lat temu (tę historię znało na pamięć całe miasteczko) na łące pod lasem, obok posesji Lorenców, rozłożyła się z namiotami grupka młodych ludzi. Wszyscy mieli dziwaczne fryzury i jeszcze dziwniejsze ubrania. Parę dni wcześniej Róża Lorenc oglądała w telewizji program o jakichś subkulturach i była nim wstrząśnięta. Natychmiast weszła na strych, gdzie jej mąż Edward ciągle buduje miniaturowe miasto marzeń - na przemian z doskonaleniem różnych przedmiotów codziennego użytku - i kategorycznie zażądała, żeby wziął udoskonaloną przez siebie wiatrówkę i powystrzelał wszystkich skinów spod lasu, bo jeśli nie, to oni opanują całe miasteczko łącznie z peryferiami, obrabują wszystkie sklepy, podpalą je i zgwałcą kobiety. Tego ostatniego, rzecz jasna, Róża Lorenc obawiała się najbardziej. Edward powiedział, że ludzie mają prawo przebywać tam, gdzie im się podoba, jeśli tylko przestrzegają podsta-



wowych zasad współżycia (Edward Lorenc potrafił się bardzo ładnie wysławiać; Matyllda zawsze rozumiała, o czym mówi i uwielbiała go słuchać, jeśli tylko miała okazję) i wygląd nie może świadczyć o człowieku ani go dyskryminować. Wtedy Róża Lorenc, wyzywając wpierw męża od nieudaczników i aspołecznych nudziarzy - Bóg jej świadkiem, że pierwszy raz w życiu użyła podobnego wyrażenia - udała się na policję. Policjanci, którzy znali wcześniejszą, samochodową fobię Róży Lorenc, powiedzieli, że skini czy nie skini, nic złego do tej pory nie zrobili i oni nie mogą interweniować. Tak więc Róża Lorenc, osamotniona w swej beznadziejnej walce o czystą atmosferę Kamienia, dniem i nocą nie spuszczała oczu z bandy skinów, uprawiających o pomstę do nieba wołające praktyki.

- O! nieraz widziałam, co oni tam wyprawiają! - powtarzała wszem wobec, choć mało kogo to interesowało.

Służyła jej do tego udoskonalona przez Edwarda lornetka. Widziała ze swego okna w sypialni wszystko jak na dłoni i dziesięć razy na minutę żegnała się pobożnie, ale mimo to patrzyła dalej, pewna, że w końcu da policji dowód uprawniający ją do interwencji. W tym celu trzymała zawsze pod ręką aparat fotograficzny. I stało się - Róża Lorenc, jak opowiadała potem, czuła cały czas, że stanie się to najgorsze. Pewnego wieczora dojrzała, że skini opiekają na rożnie jakieś zwierzę. Nieduże, właściwie całkiem małe, jeśli wziąć pod uwagę liczbę osób, które ewentualnie mogły przystąpić do konsumpcji. Towarzyszyły temu dziwne, jakby rytualne tańce i budzące krew w żyłach okrzyki. Choć Róży Lorenc w ogóle się to nie podobało, zdjęcia, jakie zrobiła, nie stanowiły żadnego punktu zaczepienia dla policji. Następnego dnia zawołała swojego ukochanego kota Bazyla na poranne, podgrzane do odpowiedniej temperatury mleko. Mało, że Bazyl w ogóle nie zareagował, to jeszcze wcale się nie zjawił. Tknięta złym przecuciem Róża Lorenc obeszła wszystkie zabudowania i kąty na przestrzeni

kilku co najmniej kilometrów, ale nigdzie nie trafiła na ślad swego ulubieńca. I wtedy nagle przeszył ją lodowaty dreszcz: w jednej chwili zrozumiała, co banda skinów opiekała po-przedniego wieczora na rożnie. Przez długi czas nie mogła wydobyć z siebie głosu, a kiedy go wreszcie wydobyła, udała się na komisariat (na swego męża Edwarda nie mogła w żadnym razie liczyć) i przedstawiła policjantom zdjęcie zwierzęcia pieczonego na rożnie, po czym zaznajomiła ich z faktem zaginięcia Bazyla. Kiedy jeden z policjantów oświadczył, że to zwierzę na rożnie bardziej przypomina kurczaka niż kota (różnice w anatomii tych dwóch gatunków są widoczne na pierwszy rzut oka), Róża Lorenc zabrała swoje zdjęcia i wyszła z komisariatu z kamienną twarzą, przekonana o spisku, jaki całe miasteczko wraz z bandą krwiożerczych skinów uknuło, aby jej dokuczyć. Przez miesiąc nie wychodziła z domu, nie gotowała i nie sprzątała, a na pytanie męża, co jej się właściwie stało, odpowiadała niezmiennie, że to, czego wszyscy przeklećci ludzie chcieli, a on niczym się od tej całej zgrai nie różni. Bazyl był czymś więcej niż kotem. Był kochanym kotem i żeby chociaż zginął jak kochany kot - ze starości. No, w ostateczności w walce z zapalczywymi szczurami, którymi gardził do tego stopnia, że nie zwracał na nie najmniejszej uwagi, jeśli nawet przemykały koło niego w odległości pół metra, bo to był szlachetny kot. Jakoś by to przeżyła, bo taka śmierć byłaby naturalna. Dla kota rzecz jasna. Ale żeby na rożnie!? Przeklęte skiny!

- Skini - sprostował mąż, który na punkcie języka był bardzo wrażliwy. - Mówi się skini, i jeśli już, to przeklećci.

Tego Róży było już za wiele. Żeby własnego męża nie mieć w takiej chwili po swojej stronie! Schudła siedem kilo i nie odzywała się do nikogo przez pół roku. Te dwie rzeczy zresztą w całej tej aferze - jedna dla niej, druga dla Kamienia - były najkorzystniejsze. Po jakimś czasie, niestety, zarówno pod jednym, jak i drugim względem, wróciła do poprzedniego stanu.

Lora pokiwała ze zrozumieniem, kiedy Matylda skończyła opowieść o dziwactwach Róży Lorenc i zażądała (nie poprosiła, tylko zażądała) jedzenia. Matylda popatrzyła na nią przeciągle, po czym postawiła na stole talerz z białym serem i kawałek wczorajszego chleba.

- A co ten chleb taki suchy? - mruknęła Lora.

- Chłopak z pieczywem jeździ co drugi dzień. - Matylda starała się wszelkimi siłami zapanować nad sobą.

- I co? To już niby wszystko? Chleb i ser, żartujesz?

- Nie lubisz sera?

- Nie lubię sera, Chryste panie! Ale jak to podane!

Matylda nie miała pojęcia, o co tej kobiecie chodzi. Popatrzyła więc na nią tak samo przeciągle jak ostatnim razem i usiadła przy oknie, tyłem do Lory. Lora pokręciła głową, po czym przyniosła z ogródka (nawet się nie pytając) trochę szczypiorku, rzodkiewki, pokroiła to wszystko, wymieszała z serem, rozłożyła na dwa talerzyki, formując w jakiś kwiatowy kształt, i mruknęła w stronę Matyldy, że sama wszystkiego nie zje. Matylda nie była głodna, ale wiedziała, co to dobre wychowanie, usiadła więc przy stole, chcąc tej kobiecie dotrzymać jedynie towarzystwa, ale kiedy spojrzała na talerzyk, wytrzeszczyła najpierw oczy, bo jeszcze nigdy nie widziała sera w takiej postaci, potem dziubnęła widelcem raz, potem jeszcze raz i nim sobie uświadomiła, że nie powinna tak jawnie okazywać apetytu, na talerzyku nie zostało nic. Lora uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- No i co, smakowało?

Matylda ledwie skinęła głową. Nie miała pojęcia, że ser z mleka jej poczciwej Beli może tak smakować, nie zamierzała jednak rzucać się na szyję tej kobiecie z tego powodu. Ciągle przyglądała się jej podejrzliwie, jeśli nie z niechęcią, aż w końcu zapytała Lorę otwarcie, o co właściwie jej chodzi i jak długo ma zamiar tu zostać.

Lora zapaliła papierosa, usiadła naprzeciw Matyldy i spojrzała jej w oczy. Jadąc tu, nie zamierzała w ogóle zostawać -na jakkolwiek długo. Chciała tylko wziąć, co jej się należy, odwrócić się i odjechać, ale sytuacja się skomplikowała i teraz to nie wie, jak długo tu zostanie, w każdym razie tyle, ile będzie trzeba, to już nie od niej zależy.

Dziesięć lat temu urodziła Mateuszowi córkę i kiedy zaraz potem się rozstali, bo życie na tym odludziu nijak nie dało się pogodzić z minimum jej oczekiwań, a jeszcze będąc w ciąży przekonała się, że Mateusz to egocentryk i zadufany w sobie, nienadający się do życia między ludźmi sukinsyn, powiedział, że zadba o dziecko. Do tej pory łaski nie potrzebowała, bo zawsze znalazł się facet, który się o nią zatroszczył, ale ostatnio coraz trudniej związać się z kimś na poważnie. I to wcale nie chodzi o jej wiek, bo niejedna dwudziestolatka może jej pozazdrościć figury i innych rzeczy, tylko że na świecie zostali już chyba sami dranie. Właśnie z jednym z nich zerwała, ale chrzanić drania, przekonała się, o co tak naprawdę mu chodzi. Podejrzany typ, ciągle tylko jakieś ciemne interesy. A ona co, może ma mu jeszcze pomagać? Nie jest taka głupia, na szczęście w porę się zorientowała, w czym rzecz. Życie nie jest niestety łatwe, o nie! Przyjechała więc po to, co jej się należy. Niczego więcej nie chce. Julia ma już dziesięć lat i ona nie pozwoli, by jej jedyne dziecko skończyło jak mamusia, błakając się bezpiecznie po świecie, od jednego drania do drugiego, tylko dlatego, że tatuś nie wywiązał się z obowiązków, a kiedy przyjechała mu o pewnych sprawach przypomnieć, zabrał się w najlepsze na tamten świat. Poza tym sama przede wszystkim potrzebuje pieniędzy. Najwyższa pora pomyśleć poważnie o przyszłości, a bez kasy to można sobie myśleć! Może Matylda nazywać siebie jego żoną, razem z tym zapyziałym miasteczkiem, ale prawo jest po jej stronie. Zgasiła papierosa i rozejrzała się na wszystkie strony.

- Co, nie ma tu telewizora?

- Nie ma - burknęła Matylda.

- No trudno, jakoś będę musiała tych parę dni wytrzymać. Matylda otworzyła w zdumieniu usta. Lora rzuciła jej krótkie spojrzenie i gasząc papierosa, kontynuowała:

- Dopóki nie dostanę tego, co mi się, jako żonie, należy. A należy mi się dużo, właściwie wszystko. Pełno jest na świecie dziwaków, którzy za to,

bądź co bądź piękne, choć dla mnie zupełnie nienadające się do życia miejsce zapłacą kupę forsy.

- Ale za co? - Matylda już całkiem straciła orientację.

- Ale ty jesteś tupa. Za Wzgórze! A jak myślisz. Przecież twojej krowy nie sprzedam, nie jestem taka.

Matylda nagle wstała od stołu.

- Pójdę się położyć - powiedziała - bo chyba czegoś tu nie rozumiem.

- Idź, idź, niech ci się to wszystko poukłada. Wybacz, ale to nie moja wina, że Mateusz w sumie potraktował cię jak służącą. Bo chyba tylko tak to można nazwać. Gotowałaś mu i prałaś przez siedem lat i nie wydaje mi się, żebyś coś z tego miała.

- Wiedziałam, na co się godzę - uniosła się Matylda. - Mateusz postawił sprawę jasno.

- Mateusz i jasne sprawy! - zakpiła Lora.

- Powiedział, że zdechł mu pies, a nie lubi zostawiać domu bez żadnej opieki, kiedy wyjeżdża...

- I kto by się na taki układ zgodził?

- Ja się zgodziłam. Wszystko było uczciwe. Odwróciła się na pięcie i poszła na górę. Lora prychnęła za

nią pogardliwie: - Wyobrażam sobie - ale Matylda nawet się nie odwróciła. Nie miała ochoty patrzeć na Lorę i słuchać tego, co mówi, choć już idąc po schodach, zaczynała rozumieć, o co tak naprawdę jej chodzi.

Poczucie wolności, którego doznała w kilka tygodni po śmierci Mateusza, pierwsze od początku swego istnienia, ulot-

niło się w jednej chwili, w tej właśnie chwili, w której zrozumiała, czego chce Lora. Wpierw jeszcze miała w sobie gdzieś na dnie świadomości jakąś pewność, że nikt na poważnie nie weźmie śmiesznych roszczeń Lory, bo Lora nie była z Mateuszem przez ostatnich siedem lat, a w każdym razie nie wtedy, gdy umierał. Ta pewność rozwiąła się równie szybko jak poczucie wolności, którą tak krótko się cieszyła.

Najpierw na Wzgórzu pojawił się adwokat. Matylda nigdy nie domyśliłaby się jego profesji, wyglądał raczej na bandziora, ale Lora od razu, jakby zgadując myśli Matyldy, zapoznała ją z tym faktem.

- To jest adwokat, rozumiesz...

- Adwokat? - jęknęła Matylda. - Przeciw mnie?

- Przeciw tobie? Chyba żartujesz! On ma mi pomóc formalnie przejąć to, co mi się należy. Ty się tu w ogóle nie liczysz. Na razie sobie tu mieszkaj, nie przeszkadza mi to... Zrobiłaś już te pierogi?

Potem Lora zjednała sobie jakimś cudem przychylność ludzi z miasteczka. Matylda rzadko tam się wybierała, ale zauważyła to od razu. Ludzie jeszcze bardziej ją lekceważyli i patrzyli na nią tak, jakby była jeszcze większym dziwadłem niż dotąd. Któregoś dnia wybrały się samochodem Lory po mąkę, olej i środki chemiczne. W sklepie Tarnawskiej było sporo ludzi, a drugie tyle jeszcze tam doszło z ciekawości. Lora uśmiechała się do nich, pytała o to i tamto, a oni tak samo pytali o różne rzeczy i uśmiechali się do niej. Lora Borys (ciągle nosiła nazwisko Mateusza) nie była już obiektem plotek i drwin, jak dziesięć lat temu. Była teraz wdową po Mateuszu, szanowanym wyplataczu koszyków, na którego nigdy nie mogli powiedzieć nic złego. Przede wszystkim była jednak matką jego dziecka. A Matylda była niczym. Wystarczyło, że pojawi-

ła się ta uśmiechnięta i pytająca wszystkich o zdrowie kobieta, a w jednej chwili zapomnieli, jak Matylda przez siedem miesięcy nie spała i nie jadła, tylko opiekowała się Mateuszem. Sama Lora była tym wszystkim zdziwiona. Niemniej jednak dzięki temu nabrała jeszcze większej pewności siebie i już otwarcie zaczęła się czuć właścicielką Wzgórza.

- Dom nie jest taki zły - mówiła, przechadzając się po nim.

- Nawet może lepiej się trzyma niż dawniej.

- Remontowałam wszystko na bieżąco - wtrącała Matylda

- jak nie miałam co robić.

- Takie domy są teraz w modzie. Trzeba by zawołać kogoś, żeby to wszystko wycenił. Ludzie tylko patrzą, jak cię oszukać, ale chrzanić ich. Ostatnią nadzieję na to, żeby chociaż poczuć się lepiej, bo już na nic więcej nie liczyła, miała Matylda w Róży Lorenc. Wiedziała od Lory, jak nienawidziły się dawniej, czemu nie dziwiła się, znając wrogi stosunek Róży do wszystkiego, co nie było chodzącą świętością. Róży Lorenc bali się wszyscy: jej ciętego języka i jej fobii. Była jedyną osobą, która nie tylko rozmawiała z Matyldą, ale także składała jej wizyty i która otwarcie, nie za plecami, nazywała ją dziwaczką. Jej aprobata lub dezaprobata mogły zdziałać cuda. Matylda chciała tylko uwierzyć, że nie była rzeczą w domu Mateusza, nawet jeśli zgodziła się na to, żeby nią być. Miała tu jakieś swoje życie, coś zrobiła - rzeczy nie robią nic.

Kiedy więc pewnego dnia Róża Lorenc stanęła na werandzie, na której one obie jadły pierogi z jagodami, Matylda z pewną satysfakcją zerknęła na Loreę, która miała na sobie tylko majtki i bardzo skąpy stanik, bo tak było jej gorąco, po czym poszła po pierogi dla gościa. Nałożyła ich dużo i polala słodką śmietaną. Wracając, usłyszała głos Róży:

- Oczywiście, moja droga, że to wszystko tobie się należy, a nie tej dziwaczce.

Sama Lora otworzyła usta ze zdumienia: teraz już nie tylko prawo, ale i opinię publiczną miała po swojej stronie. Nigdy nie zwracała uwagi na takie rzeczy jak opinia publiczna, ale zawsze to inaczej, kiedy ludzie są za tobą.

Matylda wróciła do kuchni i wyrzuciła pierogi do kosza. Nie знаła dotąd takiego uczucia jak nienawiść, ale od tej chwili znienawidziła Lorę.

Wieczorem powiedziała jej, że nie zamierza więcej robić pierogów. Jak chce, niech sama sobie je robi, pod warunkiem, że pojedzie wpierw po mąkę, bo ledwo co kupiły, a już jej nie ma. I pieniędzy też nie ma, chyba że nagle spadną z nieba, ale nie sądzi.

Lora do niczego nie była tak przyzwyczajona jak do braku pieniędzy, więc nie przejęła się słowami Matyldy. Jeśli pracowała, zwykle całą pensję przeznaczala na długi. Gdy ich chwilowo zabrakło, znowu pożyczala taką czy inną kwotę i jakoś to wszystko się kręciło. Nauczyła się zresztą wytrzymywać bez pieniędzy, byle tylko było na papierosy. Zawsze znalazł się facet, który zapłacił za kolację i dorzucił się do czynszu. A kiedy było już całkiem źle, w jeden wieczór machnęła wyciskającą łązy historyjkę do jednego z pism kobiecych - parę dni można było za to przeżyć.

Matyldzie nie mieściło się w głowie, jak można tak żyć, z dnia na dzień, z godziny na godzinę, licząc na jakiś uśmiech losu albo faceta, który dołoży się do czynszu. Zawsze miała w piwnicy dość kartofli i warzyw, a w spiżarni pod dostatkiem mąki i cukru. Nigdy niepewność jutra ani jej, ani Mateuszowi nie zajrzała w oczy.

- Och, ten twój Mateusz! - straciła cierpliwość Lora. - Myślałby kto, że taki chodzący ideał, a nie zwyczajny sukinsyn.

- Dlaczego tak o nim mówisz?

- Bo schrzanił mi życie!

- On tobie!

- A żebyś wiedziała.

- Powiedz mi, w jaki sposób?



- Cały swój świat przewróciłam dla niego do góry nogami - warknęła Lora, zła, że musi mówić takie rzeczy.

- Jeśli tak było trzeba...

- On w swoim nie zmienił nic. Nawet się nie starał. Cholerny drań! Matylda nie chciała więcej słuchać epitetów pod adresem Mateusza. Zakręciła się na pięcie i odeszła. Nigdy nie słyszała podobnych bzdur i nie wiedziała, jak na nie zareagować. Poszła więc w pole i narwała fasolki szparagowej, która jeszcze spokojnie mogła tydzień dojrzewać (coś jednak trzeba było jeść), usiadła z nią w kuchni przy oknie i zaczęła obrywać końcówki. Nie chciała patrzeć na Lore ani słuchać, co mówi. Ale Lora nie powiedziała jeszcze wszystkiego, a jak już coś zaczęła, musiała dokończyć. Poszła za Matyldą do kuchni, zobaczyła, że zlew jest pełen brudnych naczyń (doskonale!), więc stanęła przy nim, myła wszystko bardzo dokładnie i bardzo dokładnie wycierała, a buzia nie zamknęła jej się nawet na chwilę.

Poznała Mateusza na imprezie redakcyjnej, jakie często robili w tamtych czasach gdzie się dało i z byle jakiej okazji. Tak, był czas, że pracowała w redakcji. I to dość poważnego dziennika, nie ma co robić takich oczu. On przyszedł z dziewczyną z działu ogłoszeń, patrzył na wszystkich z góry i cały czas milczał (wtedy wydawało jej się to takie oryginalne), a ona miała dość roześmianych, pewnych siebie, mówiących cały czas o sobie - nawet jeśli mówili o niej - facetów. Właśnie była po kłótni ze swoim szefem, który ochrzaniał ją za każdy materiał, jaki ostatnio przyniosła, a z którym parę tygodni wcześniej wylądowała w łóżku i z tej przyczyny zaczęła mu mówić „ty”, nawet w redakcji. Wszyscy spoglądali na siebie znacząco, a facet bladł za każdym razem, zwłaszcza kiedy żona wpadała zapytać, jak się czuje jej misiaczek, bo akurat była na zakupach w pobliżu, kretynka. Coś jej mówiło, że odrzucając te materiały, chce się jej drań pozbyć, dając okrężną drogą do zrozumie-

nia, że kariery w tej redakcji już nie zrobi. Była wściekła na siebie i na wszystkich facetów, z którymi ostatnimi czasy wylądowała w łóżku i z których żaden nie zasługiwał na to, by zjeść z nim dwa razy obiad (cóż! takie miała szczęście), więc w dwa dni straciła głowę dla Mateusza, czemu trudno się dziwić. Nie wiedziała o nim nic. Nawet w jaki sposób znalazł się na tej imprezie. Dziewczyna z działu ogłoszeń wzruszyła ramionami -ona także nic o nim nie wiedziała. Zaprzeczyła, że przyszedł z nią; jak mógł, skoro zawsze chodzi wszędzie sama... Coś jej się obilo o uszy, że Mirek z działu sportowego poznał go poprzedniego wieczora w barze, gdzie poszedł na kielicha... Co mnie to obchodzi, pomyślała Lora, z kim i skąd przyszedł, najważniejsze, że jest, taki męski w tej oszczędności wyrażania emocji i czegokolwiek, inny niż' wszyscy na tym cholernym świecie. Jeśli nawet spadł z nieba, to spadł z nieba dla niej. A kiedy przywiózł ją na Wzgórze i usiadł pod szopą do wyplatania koszy, mówiąc, że jego dziadek to robił, i jego ojciec, i on sam chyba nie znajdzie nic lepszego, klasnęła w ręce. Jakie to było romantyczne! On wyplata kosze, a ona gotuje dla niego obiad. W najśmielszych fantazjach nie wyobrażała sobie siebie w takiej roli. Chłoneła każdy dzień, każdą chwilę całą powierzchnią skóry, jakby nie wystarczały wszystkie inne zmysły. Mało jej było dnia, żeby się tym wszystkim nacieszyć. W nocy wtulała się w swojego mężczyznę i po raz pierwszy od wielu lat zasypiała bez proszków nasennych. Nie musiała myśleć, co przyniesie kolejny dzień, ile niepotrzebnych zdarzeń, banalnych zapewnień i obojętnych mężczyzn. Kolejny dzień zapowiadał urok prostego życia. To wszystko. Tylko że już po tygodniu nie było co do gara włożyć. Nawet przy jej wyjątkowym talencie do robienia czegoś z niczego. Ale wtedy i to miało swój urok. Wolałaby ugotować na obiad korzonki i okrasić je trawą, niż zrzedzić Mateuszowi, który od rana do nocy siedział pochylony pod tą szopą, że

przydałyby się jakieś pieniądze. Cierpliwie czekała, aż wreszcie się pojawią i zaczną jakoś normalnie żyć. Pojawiły się, ale nie takie, jakich się spodziewała. Rzuciła palenie, żeby nie drażnić Mateusza - była pewna, widząc jego ponurą twarz, że się gryzie tym tak samo jak ona. Nauczyła się wypłatać kosze, żeby mu trochę ulżyć, ucieszył się. Kiedy jechał je sprzedać, siadała pod szopą i wypłatała, dopóki kark nie zaczynał boleć. „To dobrze”, powiedział, „że masz jakieś zajęcie”. W którymś momencie zorientowała się, że nawet gdyby oboje dzień i noc wypłacali te cholerne kosze, nie wystarczy na to, żeby przeżyć. I wtedy po raz pierwszy poczuła strach: co z nimi będzie? I dlaczego Mateusz, który przecież nie był głupim facetem, nie potrafił w porę wyliczyć, jakie korzyści da jego praca?

Mimo wszystko - teraz wspomina o tym ze zgrozą - nigdy nie była tak szczęśliwa jak w tamtym okresie, w pierwszych miesiącach małżeństwa, bezkrytycznie i głęboko zakochana w Mateuszu. Cierpliwie czekała. Na co? Na jakąś zmianę, rzecz jasna. Ale poza wszystkim było jej dobrze. Sprzątała dom, gotowała Mateuszowi obiad, wyglądała oknem w kuchni i patrzyła z uśmiechem, jak pracuje. Obejmowała go, kiedy wracał do domu, albo sama po prostu wychodziła do niego i zarzucała mu ręce na szyję. Odsuwał ją, a wtedy jeszcze bardziej chciało jej się go tulić - uwielbiała tę jego powściągliwość w okazywaniu uczuć (ale była naiwna!). Przede wszystkim jednak odpoczywała od swojego dawnego, bezsensownego życia: niejasnych sytuacji, wiecznego stresu związanego z wykonywaniem zawodu, od żonatych mężczyzn i w ogóle od ludzi. Ale po jakimś czasie zaczęło jej ich brakować. Mateusz był jednak zdeklarowanym odludkiem. Co robił na imprezie, na której go poznała, pozostało dla niej wieczną tajemnicą. Teraz, po tylu latach, jest skłonna raczej uwierzyć, że znalazł się tam po prostu przypadkiem. Może podszedł zwyczajnie zapytać o godzinę, a któryś z podchmielonych kumpli poczęstował go drinkiem.

Ona nie była odludkiem. Tęsknota za ludźmi była niesamowita. W miasteczku tylko o niej plotkowali, a Róża Lorenc ze zgorzowaną miną pobiegła do księdza, kiedy pojawiła się zaraz pierwszej niedzieli na mszy ubrana tak, jak się zawsze ubierała. Co to kogo obchodzi? Ksiądz też był chyba zły, bo ilekroć przychodziła do kościoła, nikt nie słuchał kazania, tylko się wszyscy na nią gapili. W ogóle nie było z kim rozmawiać.

Wieszano na niej psy ile się dało. W końcu nie mogła już wytrzymać i pod pretekstem zabrania pewnych rzeczy z domu pojechała tam. Mateusz dał jej na bilet. Była tak podekscytowana wyjazdem, że nie zastanowiła się, skąd nagle wziął pieniądze, skoro poprzedniego dnia kazał jej ugotować zupy szczawiowej, bo na nic innego nie było.

Matka, kiedy ją zobaczyła, powiedziała: „- Wiedziałam, że tak będzie”. Na nią Lora mogła zawsze liczyć, jeśli tylko chciała poczuć się podłej, niż się czuła. Znajomi przyglądali jej się jakoś dziwnie. Przez ostatnie miesiące ucichła, spokorniała i nie odzywała się prawie wcale. Właściwie to nie wiedziała, jak się odezwać, o co zapytać. Nikt nie znał takiej Lory. Ona też źle się z nimi czuła. W dodatku ktoś jej powiedział, że skrytość jej męża jest co najmniej podejrzana i czy na pewno wie, z kim mieszka. Obraziła się na wszystkich za to, co mówili o jej mężu. Zaraz po tym zrobiło jej się niedobrze i natychmiast zorientowała się, jaka jest tego przyczyna. Wróciła do Mateusza, by oznajmić mu radosną nowinę. Nie spodziewała się, że będzie aż tak zaskoczony. Przyglądał się jej, jakby mu powiedziała, że urodzi słońca. Coś tam mamrotał pod nosem i jeszcze tego dnia pojechał z koszykami.

Nigdy nie pytał, jak się czuje i czy nie ma na coś ochoty. Zdawał się w ogóle nie dostrzegać jej rosnącego brzucha. Z dnia na dzień stawał się coraz bardziej obcy. Kiedyś, widząc, co się dzieje, zaproponowała, żeby na jakiś czas pojechali

gdzieś. Gdzie? Między ludzi. Wpadł w szal. Jemu ludzie nie są do niczego potrzebni, jak jej się podoba, to może sobie jechać do wszystkich diabłów albo zamknąć się i nie działać mu na nerwy na każdym kroku. Było jej bardzo źle, ale ciągle żyła nadzieją, że kiedy urodzi się dziecko, Mateusz zmięknie. Myliła się. Ledwie zerknął na dziecko, załadował ciężarówkę koszykami i nie było go miesiąc. Nikt nie wie, co ona wtedy przeżyła. Sama na tym odludziu, bez niczyjej pomocy i wsparcia.

Zapowiedział, żeby nie próbowała ściągać tu matki, choć właśnie wtedy potrzebowała jej najbardziej.

Dwa miesiące po porodzie, robiąc wreszcie wielkie pranie, znalazła w spodniach Mateusza rachunek hotelowy opiewający na sumę, jakiej nigdy nie zarobił na koszykach przez cały miesiąc. Wtedy wreszcie przejrzała na oczy i zrozumiała, że Mateusz prowadzi podwójne życie. Coś tam mamrotał pod nosem, że ktoś mu na tym rachunku zapisał swój telefon. Rzeczywiście, był tam jakiś numer, nagryzmołony ołówkiem, ale dla Lory nie miało to już żadnego znaczenia.

Nie zareagował, kiedy zaczęła się pakować. Dopiero gdy wyszła na werandę z torbą w jednej ręce i dzieckiem na drugiej, oderwał się na chwilę od pieprzonego koszyka i powiedział, że zadba o dziecko. Tylko tyle. Nawet nie próbował jej zatrzymać. Kiedy wyszła za bramę, chyba odetchnął z ulgą, tak jej się wtedy wydawało, kiedy na moment odwróciła głowę w jego stronę.

W taki oto sposób skończyła się jej przygoda z Mateuszem. A potem...

Potem popłynęła z innymi facetami. Każdy z nich był lepszy od Mateusza, ale z żadnym nie było lepiej, chrzanić to.

Matylda postawiła na stole garnek z ugotowaną fasolką i mruknęła pod nosem, że kto chce, niech je. Lora wytrzeszczyła oczy na ten widok.

- Chryste, ale ty masz talent do gotowania! Jakim cudem Mateusz znosił to przez tyle lat?

Zakreśliła się koło kuchni, szybko wyjęła patelnię, rozgrzała na niej ostatni kawałek masła z bułką, potem poliała tym fasolkę i rozłożyła na dwa talerze. Zabrała się do jedzenia i jadła z wielkim apetytem. Matylda stała i patrzyła na nią, i nagle nie wytrzymała. Zrzuciła talerz z fasolką, którą z takim apetytem pochłaniała Lora, na podłogę i powiedziała spokojnie:

- No właśnie. Tyle lat ze mną wytrzymał i jednym gestem nie dał do zrozumienia, że jestem mu ciężarem albo że nie smakuje mu to czy tamto...

- Pod względem kulinarnym nie był zbyt...

- Nigdy... - przerwała jej Matylda - nigdy nie grymasił i zjadał wszystko w takiej postaci, w jakiej mu podałam! I jeśli chcesz wiedzieć, najbardziej lubił fasolkę właśnie taką, prosto z wody, bez niczego. Zmarnowałaś ostatni kawałek masła.

Lora popatrzyła na Matyldę, potem na fasolkę leżącą na podłodze i wstała od stołu.

- Jesteś nienormalna - powiedziała bez emocji i wyszła z domu.

Sprzątając z podłogi fasolkę, usłyszała, że Lora odjeżdża swoim gratem, ale nawet przez chwilę nie łudziła się, że odjeżdża na zawsze. Poznała Lorę na tyle, by wiedzieć, że nie zniknie, póki nie otrzyma tego, co jej się należy, a należy jej się - dotarło to do Matyldy w jednej chwili - wszystko. Lora, ze swą determinacją w poszukiwaniu jakiegoś oparcia w swym poplątanym życiu, objawiła jej się jako zachłanne, nienasycone monstrum, które przyszło na świat tylko po to, by zniszczyć jej, po wielu latach wreszcie jakoś ułożone, życie. Ode-szłyby w tej samej chwili, w której to wszystko sobie uświadomiła, oddałyby wszystko bez walki, bo jak walczyć z monstrum, ale zwierzęta... Jej zwierzęta, z których każde ma swoje imię i charakter i jest przywiązane do niej równie mocno, jak ona do nich. Co zrobić ze zwierzętami?

Wyszła na werandę i objęła je wszystkie wzrokiem. Tenor natychmiast położył się koło jej stóp. Tenora może zabrać ze sobą... Dokąd? Wszystko jedno. Weźmie psa na smycz i będą żyć sobie gdziekolwiek, jeśli tylko Tenor nie zdechnie na drugi dzień z tęsknoty za Kreską albo Białą Damą, a one za nią. A krowa? Jej kochana, poczciwa Bela o długich rzęsach i zniewalającym spojrzeniu.

Przez chwilę uwierzyła, że jest jakieś miejsce, w którym uda jej się jeszcze żyć, ale kiedy otworzyła oczy i rozejrzała się po Wzgórzu, natychmiast przestała w to wierzyć.

- Zabiję ją! - postanowiła w jednej chwili, czule drapiąc za uchem Tenora.

- Zabiję ją, jak tylko wróci, wtedy wszystko będzie jak dawniej.

Lora wróciła późną nocą, pijana do nieprzytomności. Zdążyła tylko powiedzieć stojącej w drzwiach Matyldzie, której nocna koszula była tak samo luźna i bez wyrazu, jak wszystko inne, w co się ubierała, że miała udaną randkę w miasteczku z takim facetem! a co! i spadła z werandy. Potłukła się boleśnie o beton i drobne kamyki, ale alkohol działał jak znieczulenie. Jęknęła tylko i ułożyła głowę do snu na wyrastającej za betonem trawie.

Matylda pomyślała, że teraz najłatwiej byłoby ją zabić. Wystarczy tylko uderzyć głową o beton i nikomu do głowy nie przyjdzie, że nie jest to dzieło przypadku. W miasteczku jest tylko jedna knajpa, o ile sobie przypomina (Róża Lorenc nieraz pomstowała na to miejsce) i pewnie wielu ludzi widziało, w jakim stanie Lora stamtąd wyszła. Cud, że dojechała do domu samochodem. O ile prościej by było, gdyby rozbiła się na jakimś drzewie...

Lora zajęczała przez sen. Matylda popatrzyła na jej drobne ciało z góry. Schodząc z werandy, pomyślała, jak łatwo takie ciało zabić. Pochyliła się, wzięła ją na ręce i zaniósła na kanapę do saloniku.

Następnego dnia już od świtu Lora chodziła po kuchni, szukając czegoś do picia. Uszła kawałek i siadała, mówiąc: „O matko, moja głowa”. Dopiero kiedy wypila pół wiaderka wody, bo nic innego nie znalazła, dostrzegła w lustrze swoje siniaki na kości policzkowej i skroni, wtedy zawołała:

- Matyllda! Matyllda, chodź tu zaraz! Zobacz, co mi się stało.

- A cóż ci się miało stać - powiedziała ospale Matyllda, leniwie schodząc ze swego pokoju na górze. - Upiłaś się po prostu i tyle.

Znalazła w szafce nad zlewem kawałek gazy i bandaż. Zrobiła okład z octem i przyłożyła go do twarzy Lory, która pokornie przyjęła te zabiegi, układając swoje ciało wygodnie na kanapie.

- Myślisz, że do wieczora zejdzie mi to paskudztwo?

- To zależy do którego wieczora - mruknęła Matyllda oschle. - Bo na pewno nie do dzisiejszego.

- Nie chrzań. Umówiłam się na wieczór z Bogdanem w Piekiełku, nie mam zamiaru pokazywać się w takim stanie...

- A więc to się nazywa Piekiełko... Teraz rozumiem, dlaczego Róża Lorenc nazywała to gniazdem szatana...

- Ale mówię ci, jaki facet! - Lora jeszcze raz zerknęła na swoje siniaki w lustrze i na jej twarzy pojawił się wyraz beznadziejnej rozpacz. Ze złością burknęła: - Co Róża Lorenc może, cholera, wiedzieć o przyzwoitej knajpie, swoją drogą jedynym niezapyziałym miejscu w tej zapyziałej dziurze! Nie gniewaj mi już tego guza, dobrze? Ekspertka mi się znalazła od lokali rozrywkowych, powinna się zatrudnić w Pascalu...

Gdybym miała wierzyć jej chorej wyobraźni, nigdy bym tam nie trafiła. I nie poznała Bogusia. Nie masz pojęcia, jaki facet! Trochę młodszy ode mnie co prawda, ale bez zahamowań...

- Rzeczywiście, skoro puścił cię samą do samochodu w takim stanie.

- Chrzanisz? Dojechałam tu sama? - Roześmiała się beztrąsko i natychmiast chwyciła za głowę, dla której taki śmiech



to było za wiele. - No widzisz, prowincja ma swoje zalety. W Warszawie nigdy by mi się to nie udało.

- Szkoda - mruknęła pod nosem Matyllda, a Lora przyjrzała jej się podejrzliwie, nie mając pojęcia, o co jej chodzi.

Ale nie miała zamiaru nabijać sobie głowy niezrozumiałymi pomrukami Matylldy, kiedy miała głowę nabitą czym innym. Podczas kiedy Matyllda zmieniała jej kompresy i przynosiła wodę do picia, Lora rozpływała się nad fizycznymi i, kto wie, może nawet duchowymi zaletami Bogdana. Zdaje się -przypomniała sobie nagle - że przez chwilę rozmawiali o przeznaczeniu.

- Rozmawiałś o przeznaczeniu z dopiero co poznanym mężczyzną? - Matyllda nie mogła ukryć bezgranicznego zdumienia.

- Rozmawiałam! I co z tego! To nie jakiś tam zwykły facet... Na litość boską! - przerwała w pewnym momencie swoje pienia. - Daj mi coś słodkiego do picia.

- Ale co?

- Cokolwiek. Woda na kacu nie smakuje.

- To ją posłodzę...

- Posłodź. I dodaj cytryny. Jest jakaś cytryna? Nie ma nawet cytryny? Co z ciebie za gospodyni, bo zdaje się, że masz wielkie pretensje do tego tytułu... Maziowata fasolka prosto z wody i nic do picia prócz wody. Ja się zabiję.

„Zabiję ją” - powtarzała każdego ranka Matyllda i każdego wieczora ratowała ją z opresji z kolejnym facetem, który miał być inny niż wszyscy przed nim. Nie mogła wyjść z podziwu, jak kobieta w jej wieku może mieć tak naiwne wyobrażenie o każdym mężczyźnie, który stawał na jej drodze. Przeważnie zresztą na bardzo krótko. Tym łatwiej jej było potępiać, że sama wyobrażenia o mężczyznach nie miała żadnego. Znała tyl-

ko Mateusza, ale Mateusz to było co innego. To on z miejsca ustanowił relacje między nimi. Ona tylko się dostosowała.

Za każdym razem, kiedy Lora sama lub z jakimś mężczyzną wracała późną nocą i Matylda widziała z werandy, jak ją obmacywał i zaśmiewali się oboje nie wiadomo z czego, a potem zwała się na kanapie w saloniku, jeśli udało jej się aż tak daleko na chwiejnych nogach dotrzeć, Matylda czuła dla niej pogardę i litość. Zła była na siebie, że lituje się nad swoim największym wrogiem, bo gdyby nie ta litość, dawno by ją zabiła i wszystko byłoby jak przedtem.

W pewnym momencie organizm miał dość alkoholu, a umysł mężczyzn, z których ani jeden w rezultacie nie okazał się kimś wyjątkowym, chociażby lepszym od poprzedniego. Wtedy się uspokoiła.

- Myślałby kto, że ja muszę się uganiać za pierwszym lepszym sukinsynem takim czy innym, teraz, kiedy mam Wzgórze i nie muszę być na łasce żadnego drania - mówiła, robiąc kolację „z niczego”. - Kiedyś znajdę sobie faceta na dłużej...

- Niż na jedną noc? - wpadła jej w słowo Matylda.

- Przekonasz się.

Matylda przekonała się tylko tyle, ile już wiedziała. Lora nie potrafiła żyć bez mężczyzn. Już nie co dzień, ale raz w tygodniu wsiadała do swojego grata i jeśli udało jej się go uruchomić, jechała do miasteczka.

- O co ci chodzi - odpowiadała na pogardliwy wzrok Matyldy, kiedy wsiadała do samochodu. - Chcę się trochę rozerwać. Chyba mi wolno i mam do tego prawo. Poza tym może jakiś frajer postawi mi prawdziwą kolację, bo już nie pamiętam, kiedy coś takiego jadłam.

- Nie musisz przede mną udawać, że kolacja jest dla ciebie na drugim miejscu - powiedziała kiedyś Matylda. - Zaraz po facetach. To dla mnie nie ma znaczenia.

- Powiem ci coś...

- Chrzanisz mnie.

- Zgadłaś.

- Udanej zabawy.

Nie było co do tego wątpliwości. Lora wróciła o świcie i kiedy szła od samochodu, Matylda wiedziała, że coś się z nią dzieje. Niech zdycha, pomyślała, niech ją wreszcie szlag trafi. Matylda dawno temu nauczyła

się prowadzić ciężarówkę Mateusza i teraz była pewna, że jej nie udałoby się w takim stanie przejechać tyle kilometrów od miasteczka, pokonać krętą drogę pod Wzgórze, a potem jeszcze zmieścić się w bramę. Lorze się to udało. Upadła dopiero kilka kroków od werandy. Matyllda zaklęła, potem jeszcze raz zaklęła, zła, że musi kłać, i bardzo szybko znalazła się na dole.

Kiedy wlokła Lorę za sobą, jak worek z kartoflami, ta wydała z siebie jakieś bełkotliwe dźwięki. Z tego wszystkiego Matyllda zrozumiała tylko jedno:

- Nie myśl sobie, że daję się tym frajerom obracać...
- Sama jesteś frajerka - warknęła Matyllda dokładnie w momencie, kiedy Lora straciła przytomność.

W domu przez dobrą godzinę cuciała ją i stawiała na nogi -po twarzy Lory widać było, że jest z nią całkiem źle - po czym posadziła ją na podłodze, stanęła obok i wymierzyła w nią zaciśniętą pięść.

- Tym razem jeszcze cię uratowałam, ale kiedyś cię zabiję. Przez kilka dni Lora nie nadawała się do niczego. Matyllda chodziła koło niej jak koło niedorozwiniętego dziecka, bo nie tylko ciało, ale i umysł Lory nie nadawał się do niczego. Czwartego dnia, kiedy Lora o własnych siłach wstała z łóżka i o własnych siłach usiadła przy stole, na którym już naprawdę nie było co postawić, Matyllda wyciągnęła z szopy kilka koszy, załadowała je na forda i pojechała do miasta. W rynku był sklep z wikliną. Właściciel ucieszył się z dostawy. Nawet miał jechać na Wzgórze i zapytać, czy co nie zostało, ale wziął tylko kilka

sztuk. To i tak, powiedział, na parę tygodni wystarczy. Nie było tego wiele, ale wypłacił od razu. Widok czystej, choć niewielkiej gotówki w rękę sprawił Matyldę w stan chwilowego oszołomienia. Kiedy to minęło, poszła prosto do sklepu Tarnawskiej i nie zwracając uwagi na wścibskie spojrzenia i docinki, wydała wszystkie pieniądze, ale było co zawieźć do domu.

Po drodze spotkała Różę Lorenc, która wypytała ją skrupulatnie, czy w rynku nie ma czasem skórów, bo jeśli są, to ona nie ma po co tam iść. Kiedy Matylda zapewniła ją, że nie widziała nikogo, kto nie byłby mieszkańcem miasteczka, Róża uspokoiła się trochę, choć i tak nie uwierzyła. Matylda była pewna, że teraz z ust sąsiadki spłynie potok niewybrednych epitetów pod adresem Lory. Była pewna, że wszyscy już wiedzą o jej nocnych wyczynach. Róża jednak kazała pozdrowić Loreę i ucałować, i powiedzieć, że jakby nie miała co robić, niech wpadnie do niej na herbatkę.

- Ona nigdy nie ma co robić - ponuro mruknęła Matylda.

- Depresja, moja droga - zawyrokowała Róża.

- Co takiego? - Matylda nie dowierzała własnym uszom.

- Zwykła depresja po śmierci męża, powinnaś ją zrozumieć. Matylda parsknęła śmiechem i chciała coś powiedzieć, ale zaraz pomyślała, że nie warto. Nacisnęła więc pedał gazu, a że nie miała wprawy w prowadzeniu samochodu, o mało nie przejechała Róży, u której już i tak nie miała ostatnio dobrej opinii. Wszystko to jednak spłynęło po niej jak woda po kaczce. Najważniejszy był teraz koszyk stojący na siedzeniu pasażera, wypełniony po brzegi jedzeniem.

Nakarmiła Loreę, starając się podać wszystko jak najładniej, nie wiadomo dlaczego, bo ciągle życzyła jej tylko śmierci. Może się zadławi, myślała, na pewno jej nie pomogę. Zresztą nie miała pojęcia, jak się takie rzeczy robi. Kiedyś czytała w jakiejś książce, że trzeba mocno ścisnąć, ale w jaki sposób i gdzie, nie pamiętała.

Lora nie zadławiła się jedzeniem, ale wyraźnie poprawił jej się humor. Na tyle, że od razu zadzwoniła do adwokata, żeby tu przyjechał, bo ona nie ma pojęcia, jak się do czego zabrać.

- Może byś się zabrała do sprzątnia - poradziła Matyllda, gdy Lora odłożyła słuchawkę.

- A po co? Jutro sobota, od rana będziesz sprzątać. Skąd wzięłaś pieniądze?

- Z szopy, a jak ci się zdaje. Mnie nikt niczego nie stawia.

- Bo jesteś głupia. - Lora wykręciła uśmiechniętą twarz do Matylldy, po czym opuszkami palców zaczęła zbierać okruszki z talerza. - Do tego naiwna męczennica. Nie do wytrzymania.

- Nie najadłaś się? To się najedz, bo jutro cię zabiję.

- Codziennie obiecujesz to samo. Już mi się nie chce słuchać. - Lora wstała od stołu i zachwiała się, idąc do kanapy. - Dzięki - powiedziała słabym głosem, ale Matyllda nie wiedziała za co.

Sama zjadła co nieco, po czym poszła do kurnika. Kury, jak tylko ją zobaczyły, obstały ze wszystkich stron. Wybrała tę, która nie znosiła już jajek. Wzięła ją na ręce, pogłaskała i wytłumaczyła to, co jej musiała wytłumaczyć, po czym położyła jej łeb na pieńku i raz uderzyła siekierą. Lora w oknie kuchni postukała się w czoło, po czym jej ciało bezładnie zwisło za parapet.

Matyllda rzuciła kurę koło pieńka i zakląła. Przez chwilę stała, nie wiedząc, co robić: czy sparzyć kurę i oskubać, czy ratować Lorę. Lora wygrała. Matyllda ocuciła ją i posadziła na kanapie. Ta ledwie odzyskała siły, wylała z siebie potok słów, które wprawiły Matylldę w zdumienie.

- Cholera, ktoś mi dokumentnie spaprał życie. Ciekawa jestem kto!

Wystarczyło, że zjawiłam się w tym cholernym domu, a wszystko dopadło mnie na nowo. To samo było, jak odjechałam stąd z Julią. Za nic nie mogłam się pozbierać.

- Tylko wtedy pewnie tyle nie piłaś - wtrąciła Matyllda.

- Zamknij się, co ty możesz wiedzieć! Ludzie piją więcej i nic. Ty akurat masz pojęcie, co mi jest.

-Nie mam, dlatego zadzwonię po lekarza.

- Dzwon sobie. Ciekawa jestem tylko, z czego mu zapłacisz. Wsadziła głowę pod poduszkę i zaczęła zawodzić, potem płakać, potem trząść się na całym ciele. Matylda wzięła telefon komórkowy Lory i zadzwoniła do Michała Dusznego.

- Czy możesz przyjechać na Wzgórze? - zapytała łagodnym głosem. Był po dwudziestu minutach. Skierował się z podręczną torbą do obory, ale Matylda dała mu delikatnie znać z werandy. Zdziwił się, kiedy zobaczył na kanapie Lorę w spazmach, a ona zdziwiła się jeszcze bardziej, kiedy zobaczyła jego.

- Rozum ci odjęło?! - wrzasnęła do Matyldy i zaczęła się znowu trząść.

- Chyba znasz się trochę na rzeczy... - Matylda zignorowała całkiem pretensje Lory.

- O tyle, o ile... - szepnął, nie chcąc jeszcze bardziej denerwować Lory. - Na moje oko to czysta nerwica. - Wyjął z torby strzykawkę, fiolkę z zastrzykiem i zaczął go przygotowywać.

- Chyba nie pozwolisz mu tego zrobić?! - Lora wbiła przerażony wzrok w Matyldę, ale ta pozostała niewzruszona.

Przytrzymała ją, kiedy Michał Duszny wbijał jej igłę w ramię. Potem wyszła z Michałem na werandę i spojrzała na niego kilka razy niepewnie. Wtedy wziął ją za ramię (przez moment zdawało się, że całą ją otuli) i uspokoił.

- Nie obawiaj się. Wziąłem dawkę jak dla dużego psa.

- O, to w sam raz dla niej - ucieszyła się Matylda i znowu zerknęła na niego niepewnie. - Zapłacę ci... zapłacę, jak sprzedam parę koszyków.

- Chyba żartujesz. Zrobiłem to z czystej przyjaźni. Matyldzie zakręciło się w głowie od tych słów. Jeszcze nikt

nie użył takiego wyrażenia w stosunku do niej. Ale zaraz przyszło jej do głowy, że to nie dotyczyło jej, lecz Lory, więc podała mu rękę i podziękowała, a on zaraz odjechał.

Przez kilka dni karmiła Lorę rosołem, a ona za każdym razem nim zjadła, wyrzucała z siebie swoją wściekłość.

- Cholerne Wzgórze! Matylda nie mogła tego słuchać.

- Co chcesz od Wzgórza?

- I cholerna miścina! - kontynuowała Lora. - Żeby w dzisiejszych czasach wołać weterynarza do człowieka, jak w pieprzonym średniowieczu! Dobrze, że mi krwi nie puścił.

- Może i dobrze by było - mruknęła Matylda pod nosem, wlewając do ust Lory łyżkę tłustego rosołu.

- A ty jesteś najgorsza. Nikomu innemu by coś takiego do głowy nie wpadło. Na jakim ty w ogóle świecie żyjesz?

- Nie wziął pieniędzy.

Lora parsknęła rosołem na ramię Matyldy.

- A za co miał wziąć te pieniądze?! Może mi powiesz za co?

- Może ci nie pomógł, co?

- Jak cholera. Ledwo się trzymam na nogach.

- Na pewno nie za jego sprawą. Gdybym tyle wypła co ty ostatnio i miała tak rozchwianą osobowość...

- Co ty chrzaniś?!

- Michał tak powiedział.

- Ten weterynarz?! O! on jest na pewno ekspertem w sprawach ludzkiej psychiki. Wiesz co, powinni cię zamknąć. I nie lej we mnie tak tej tłustej wody, sama się mogę nakarmić.

- Spróbuj.

Spróbowała, ale nie mogła utrzymać łyżki, więc Matylda z satysfakcją wlała w nią rosół, po którym Lora nabierała sił i rozumu.

Czwartego dnia obudziła się całkiem zdrowa i całkiem spokojna.

Matyldzie przemknęło przez myśl, czy Michałowi Dusznemu przez przypadek nie pomyliły się dawki. Cały czas wyglądała nowego ataku hysterii Lory, ale rozczarowała się mile, kiedy ta zaczęła jej pomagać w sprzątanii. Uwinęły się

szybko, a że dzień był nieprawdopodobnie gorący, poszły się wykapać do rzeki. Matyllda nie miała kostiumu, w ogóle nie przyszło jej nigdy do głowy, żeby coś takiego mieć, więc weszła do wody tak jak ją Pan Bóg stworzył. Lora zerkała na nią co raz z pewnym zdumieniem, w końcu odezwała się:

- Wiesz, że bez ubrania wyglądasz całkiem do rzeczy. Kto by pomyślał! Nawet nie jesteś taka duża.

Matyllda nie przywykła do komplementów i jak dotąd nigdy nie usłyszała dobrego słowa na swój temat ze strony Lory, więc nie powiedziała nic.

Dopiero potem, kiedy płynęły do drugiego brzegu, rzuciła od niechcienia:

- Ty też wyglądasz bardzo dobrze.

- Ale ja o tym wiem.

W chwili, gdy wychodziły z wody, obie jak je Pan Bóg stworzył (a natura swoje dołożyła) dojrzały na drodze za Wzgórzem Różę Lorenc, pedałużającą na swym nieskazitelnie czystym rowerze. Róża Lorenc także je dostrzegła - zjechała z drogi i wywróciła się z rowerem do rowu. Lora i Matyllda spojrzwały na siebie, parsknęły śmiechem i nagie pobiegły łąką do domu.

- Teraz może wreszcie nie będzie cię traktować jak świętego obrazka - powiedziała Matyllda, ale Lora wyśmiała ją.

- Przez tyle lat nie poznałaś Róży Lorenc? Jak się na kogoś uweźmie, nic nie zmieni jej nastawienia. I to samo, jak kogoś polubi.

Lora miała rację. Tego samego wieczora przyjechał Michał Duszny i choć nie był człowiekiem powtarzającym plotki, jednak coś go tak zbulwersowało, że żeby nie wiem co, musi powiedzieć. Był w południe w sklepie po jakieś drobiazgi i papierosy (choć, jeśli chodzi o to drugie, to nie powinien, ze względu na serce) i usłyszał, jak Róża Lorenc powiedziała, co następuje: „Ta dziwaczka ze Wzgórza zaraziła swym dziwactwem żonę po Mateuszu, pierwszą i jedyną, Lorę Borys, która znajduje się w głębokiej depresji, bo jak wytłumaczyć fakt, że



w dwa miesiące po jego śmierci co noc baluje w tej spelunie za miastem, gdzie nawet skini boją się zajrzeć".

- A więc mam depresję - zdziwiła się lekko Lora. - Proszę bardzo, sami psycholodzy w tej dziurze. Najpierw wete... Bez urazy, panie Duszny, tak mi się jakoś...

Nie wiedząc, co dalej powiedzieć, poszła do domu po papierosy. Wtedy Michał Duszny utkwił głębokie spojrzenie w twarzy Matyldy i powiedział:

- Nie powinnaś się w ogóle przejmować takimi rzeczami...

- Nie przejmuję się.

- Ja zazwyczaj unikam ludzi, są nieobliczalni, ale dziś... To znaczy...

Grają w kinie bardzo dobry film i... To znaczy... Nie chciałbym go sam oglądać...

- Lora! - wrzasnęła w stronę domu Matylda. - Michał chce cię zabrać...

- Ale ja chciałbym... - uciszył ją szybko weterynarz - ciebie chciałbym zaprosić.

- Mnie?!

- Jeśli oczywiście... To znaczy... Och, Matylda, idziesz czy nie?

Matylda spojrzała mu w oczy, potem pochyliła się nad Tenorem, zaczęła mu przeglądać sierść w poszukiwaniu pcheł, których nigdy nie miał.

- Dawno nie byłam w kinie - powiedziała w końcu cicho i zaczęła iść powoli do domu, ale już na werandzie przyśpieszyła i dosłownie wbiegła do domu. - Lora! - wrzasnęła. - Lora! Weterynarz chce mnie zabrać do kina. Co mam zrobić?!

Lora popatrzyła na nią przeciągle, wbijając zęby w jabłko, i gryząc je, powiedziała:

- Ubierz się, głupia, i po prostu z nim idź.

- Ubrać się? - Matylda wytrzeszczyła oczy.

- To się rozbierz, jak wolisz.

- Mam z nim iść?

- A dlaczego nie?

- Niecałe trzy miesiące po śmierci Mateusza? Lora wzniosła oczy ku sufitowi.

- Załóż coś na siebie, ty ciężka idiotko - wycedziła przez zęby. - Coś, co nie przypomina worka na kartofle, i idź do kina z jedynym facetem, który cię o to poprosił.

Matylda ubrała się w pięć minut i minutę później odjeżdżała z Michałem Dusznym w stronę miasta. Była bardzo przejęta. Tak bardzo, że nie pamiętała nic z przeszło dwugodzinnego filmu. Czytała w książkach, że młodzi ludzie chodzą do kina po to, żeby się trzymać za rękę i przytulać i cały czas myślała, jak się zachować, kiedy Michał zrobi którąkolwiek z tych rzeczy. Ale on rzeczywiście przyszedł obejrzeć ten film, bo z zapartym tchem cały czas patrzył w ekran. Poza tym, pomyślała, ani on, ani ja nie jesteśmy już tacy młodzi, więc o czym tu mówić. Potem odwiózł ją do domu i trzymając pod werandą jej rękę, powiedział, że jeśli będzie miała jakiś problem, to on zawsze, zawsze... I odjechał.

Przez kilka dni między Matyldą i Lorą trwało nieustalone zawieszenie broni. Odnosiły się do siebie bez złości, chwilami nawet ciepło, i nie sprzeczały o drobiazgi. Przez ten wypadek do kina z weterynarzem Matylda jakby urosła w oczach Lory - przestała ją na każdym kroku wyzywać od ciężkich idiotek, a zaczęła opowiadać różne rzeczy ze swego życia.

Każda z tych opowieści wracała niezmiennie do pierwszego okresu życia z Mateuszem. Nigdy nikogo tak nie kochała i nie zawiodła się na nikim tak bardzo. Faceci, którzy obiecywali jej złote góry, a potem wracali do żon, nie zostawiali w jej psychice żadnego śladu; nie była naiwna.

Mateusz, który nie obiecywał nic, w ciągu paru miesięcy złamał jej psychikę i wywrócił całe życie do góry nogami, bo mu wierzyła. Niech jej ktoś teraz powie, że wiara czyni cuda, kiedy do samego końca, do dnia, w którym spakowała się, wzięła na rękę małą Julię i odeszła,

miała nadzieję, że pewnego ranka ocknie się ze złego snu i zobaczy przy sobie Mateusza takiego, jakiego pokochała.

I kto by pomyślał, że tak głupio skończy. Przecież była dzieckiem szczęścia. Na każdym kroku, przez wiele lat to słyszała. I nigdy, aż do pewnego momentu, nie miała powodu, by w to nie wierzyć.

Jej dzieciństwo w rodzinie, w której ojciec był dyplomata, a matka kobietą, dla której mąż świętością, to niezapomniana bajka. Matka zajmowała się tylko domem, dzieckiem i uszczęśliwianiem swego mężczyzny. Ten mężczyzna miał zawsze w domu porządek, trzydaniowe obiady i święty spokój.

Większą część swego dzieciństwa Lora spędziła z rodzicami w Anglii. To były czasy! Baśniowe święta, piękne mieszkanie w dobrej dzielnicy i cudowne przyjęcia, które od czasu do czasu rodzice wydawali w domu. Ojciec pozwalał jej obserwować je ze schodów. Ukryta za filarem, patrzyła na eleganckich panów i piękne kobiety. Godzinami mogła się wsłuchiwać w gwar rozmów i nastrojową muzykę ze starannie dobranej kolekcji taty. Wszystko było szykowne i w dobrym guście. Wtedy nie mogła zrozumieć ojca, który po każdym takim przyjęciu mówił o matki: „No, moja droga, mamy to z głowy. Dawno tak się nie wynudziłem, a ty?”. Dobrze wiedziała, że matka nigdy się nie nudziła, bo dla matki to było wszystko. Zdawało się, że po to tylko żyła, żeby ojciec miał w domu porządek, trzydaniowe obiady, święty spokój i przyjęcia, na które czasem wychodzili, a czasem urządzali w domu. Po to się urodziła.

Pewnego razu ojciec nie wrócił po pracy do domu. Matka z kamiennym wyrazem twarzy stała przy oknie przez wiele dni. Potem, nic nie wyjaśniając Lorze, spakowała się i wróciły do kraju. Lora nie chciała opuszczać wspaniałego świata i szkoły, w której była najlepsza z angielskiego, ale matka była nieugięta.

W porównaniu z tamtym światem w kraju żyły jak zakonnice. Skromnie i szaro. Od czasu do czasu ktoś je odwiedzał

i wtedy Lora słyszała, jak matka tajemniczym szeptem oznajmia: „Przez cały ten czas był w wywiadzie, rozumiesz? Nie zobaczymy go już więcej, tu jest spalony”.

Żałowano bardzo matki i podziwiano jednocześnie. Rola żony agenta obcego wywiadu była ledwie namiastką tej, jaką odgrywała u boku swego mężczyzny w Anglii. Lorze brakowało przez jakiś czas tamtej wystawności i przedziwnej atmosfery, ale po jakimś czasie odnalazła się w nowym świecie, natomiast matkę coraz rzadziej ktoś odwiedzał, coraz mniej ją podziwiano, a ona coraz częściej stawiała z kamienną twarzą przy oknie.

Smutne, prawda?

Matylda skinęła głową i chcąc się zrewanżować za tak intymne zwierzenia, po głębokim namyśle powiedziała:

- On ciągle tu jest... -Kto?

- Mateusz. Siedzi każdego dnia o zmierzchu pod szopą.

- Chrzanisz!

-1 wypłata kosz.

- Porąbało cię?! Mateusz leży półtora metra pod ziemią, więc powiedz mi, jakim cudem może siedzieć pod szopą i wypłacać kosz?

- Każdego wieczora.

Lora otwarła usta ze zdumienia. Wyglądało na to, że ta dziwaczka naprawdę wierzy w to, co mówi. Spojrzała na nietoperze, wirującym ruchem wylatujące znad dachu, jak każdego zmierzchu. Nieraz zastanawiała się, jakim cudem te małe, ohydne ssaki zagnieździły się na strychu człowieka, który nienawidził każdej żywej istoty.

- Widziałaś złote nietoperze? - odezwała się nagle. -Nie.

- Bo nie ma złotych nietoperzy. Nie istnieją! Tak jak nie istnieje człowiek, który umarł, jeśli nawet stało się to trzy miesiące temu.

- To zależy - zaczęła powoli i z rozwagą Matylda - jak się na co patrzy. Lorze opadły ręce; spojrzała na Matyldę z niedowierzaniem, a ta kontynuowała:

- I czy ma się dar widzenia pewnych rzeczy.

- Powiedzmy, że mam dar widzenia pewnych rzeczy, ale za cholerę nie zobaczę czegoś, czego nie ma.

- Chodź - powiedziała Matylda i wzięła ją za rękę. - Powinien już być. Lora była tak zdumiona, że dała się poprowadzić do kuchni i posadzić na krześle przy oknie, ale - kiedy Matylda dziwiła się, o co mu chodzi, że odwrócił głowę, myślałby kto, wielka tajemnica, ostatecznie nie przyprowadziła tu byle kogo, tylko jego żonę, więc nie ma się co odwracać - nie widziała go.

- Jesteś nienormalna - powiedziała nie wiadomo już który raz do Matyldy i odeszła od okna.

Następnego dnia przyjechał adwokat i jeszcze raz utwierdził Lorę w przekonaniu, że sprawa jest nieprzyzwoicie wprost prosta. Jako że nie było żadnej sprawy majątkowej między nią a Mateuszem, zresztą dlaczego miałyby być, skoro nie było nawet rozwodu, wszystko, co zostało po Mateuszu, należy w równych częściach do niej i do ich dziecka.

-Nie musiałam kończyć studiów prawniczych, żeby to wiedzieć - warknęła Lora. - Interesuje mnie finał całej sprawy... Papier! A nie jej poszczególne etapy. Nienawidzę takich spraw załatwiać, mdło mi się robi...

- Załatwi się. Parę podpisików i zostanie pani uroczą właścicielką uroczej posiadłości...

- Niech pan sobie daruje.

- I jeśli ciągle chce to pani sprzedać - ciągnął niezrażony - należy przeprowadzić tylko drobną sprawę, zatwierdzającą formalnie stan faktyczny; w dzisiejszych czasach nikt nie ku-

pi nieruchomości, jeśli wszystkiego co trzeba nie zobaczy na papierze - opłacić to tamto, no i już.

- Mam tylko nadzieję, że do tej chwili nie zdążę się zestarzeć - wtrąciła Lora posępnie.

- Mój kuzyn w Warszawie - dodał adwokat, zadzierając głowę i nie wiadomo dlaczego spoglądając na dach domu - prowadzi stosowną firmę. Nieprzyzwoicie szybko może to pani sprzedać.

- Pan niech mi tylko załatwi to, co teraz potrzeba. Potem będziemy sprzedawać - rzuciła od niechcienia, ale rzeczowo Lora i odprowadziła adwokata do samochodu.

Nazajutrz Matylda wyciągnęła z szopy tyle koszy, ile się dało załadować na forda. Wcześniej znalazła w szufladce kuchennego stołu jedną z dwu rzeczy, jakie ocalały po Mateuszu: cienki notes, w którym miał zapisane adresy sklepów, które brały kosze, a przy nich krótkie zapiski zawierające całą historię handlu z tymi punktami. Wpierw skreśliła te oddalone o więcej niż pięćdziesiąt kilometrów, następnie te, które - jak wywnioskowała z zapisków - nie płaciły od razu. Było kilka adresów z nazwiskami (policzyła szybko: trzy, pięć, osiem), przekreślonych mocnym ołówkiem z adnotacjami z boku: *zoi.*, *II rata*. Zdziwiła się trochę, ale nie znalazła powodu, dla którego miałaby się dłużej nad tym zastanawiać.

- Interesuje mnie tylko gotówka - mruknęła z niezadowoleniem, bo tych niepłacących od razu było o wiele za dużo.

Ale i tak zostało kilkanaście sklepów, w tym jedna hurtownia. Wyjęła ze schowka w samochodzie zniszczoną, poprzecie-raną w wielu miejscach mapę, zlokalizowała wszystkie miejsca, do których chciała dotrzeć, i wyznaczyła sobie trasę, jaką powinna jechać, by nie nadkładać za wiele kilometrów. W baku było tylko trochę benzyny, nie miała pojęcia, na ile wystarczy. Liczyła na to, że do pierwszego miejsca uda jej się dojechać. Obejrzała cały samochód, by sprawdzić, czy wszystko jest w po-

rządku, choć nie miała pojęcia, czy rozpozna, gdyby nie było. Gdy oglądała i obstukiwała opony, Lora wyszła z domu.

- Wybierasz się gdzieś? - zapytała.

- Wybieram - warknęła Matyllda, rzucając Lorze wrogie spojrzenie.

- Gdzie?

- Sprzedać kosze - wyjaśniła krótko i wyprzedając kolejne pytanie, dodała: - Żeby mieć parę groszy w razie czego.

Czekała, aż Lora zapyta, co ma na myśli, wtedy by jej powiedziała odpowiednio, ale Lora wzruszyła tylko ramionami i wróciła do domu.

Wtedy Matyllda przeżegnała się i wsiadła do samochodu.

Jeździła trochę od czasu do czasu, ale nigdy nie dojechała dalej niż do miasteczka. I to też tylko wtedy, gdy Mateusz pozwolił podwieźć się kawałek drogi, jeśli go uprosiła. Czasem, kiedy był w dobrym humorze i nie śpieszył się bardzo, pozwalał. Matyllda czym prędzej ładowała Tenora i drobny bagaż Mateusza do szoferki, potem oboje zajmowali swoje miejsca: on na miejscu pasażera, ona - kierowcy i ruszała, starając się ukryć wielkie zadowolenie, bo Mateusz nie lubił, kiedy była zadowolona. Zamieniali się miejscami na rozwidleniu dróg za miastem. To znaczy Matyllda z Tenorem wracała do domu, a Mateusz siadał za kierownicą i jechał dalej.

Teraz, kiedy dojechała do miejsca, z którego zawsze wracała pieszo do domu, zatrzymała samochód i z przerażeniem spojrzała w dal. W pierwszym odruchu chciała zawrócić, ale powrót nie wchodził w rachubę. Miała dość warzyw, przyrządzanych przez Lorę na różne sposoby. Trzeba coś wreszcie zjeść, zapłacić za światło i odłożyć pieniądze na bilet dokądkolwiek, kiedy trzeba będzie opuścić Wzgórze. Zwolniła sprzęgło i nacisnęła na gaz, włączając się w potok samochodów jadących nie wiadomo dokąd. Rzeczywistość okazała się bardziej przerażająca, niż myślała.

Lora do południa leżała na werandzie i odpoczywała, choć -jak by powiedziała Matylda - nie wiadomo po czym. Kątem oka zerknęła na wypisane na skrawku gazety miejsca, które ten dziwoląg miał odwiedzić, więc spodziewała się jej najdalej koło pierwszej. Minęła tymczasem druga i trzecia, a Matyldy nie było. Pałac z głodu jednego papierosa za drugim i chodząc w kółko po podwórku, bo już nie mogła leżeć na werandzie, dostrzegła, że kury mają pusto w miskach, a Bela na łące, nieprzewiązywana od rana, ryczy od czasu do czasu żałośnie. Jeszcze tego brakowało, żeby musiała zajmować się bydłem i drobiem, jakby nie miała nic innego do roboty, a tamta będzie sobie jeździć nie wiadomo za czym, bo dawno powinna sprzedać te koszyki i wrócić, a jeśli ich nie sprzedała, to też najwyższa pora... W końcu jednak nasypała kurom ziarna i z wielkim ociąganiem poszła na łąkę. Bela wyżarła trawę do suchej ziemi, wyrwała więc kołek i poprowadziła ją dalej. Tu uznała, że nie, trawa jest jakaś mizerna, więc pociągnęła krowę daleko pod ogrodzenie. Wbiła kołek w ziemię kamieniem podniesionym spod płotu i wróciła do domu.

Nie było zupełnie co robić ani dokąd iść, a od papierosów, które wypaliła od rana, było jej niedobrze. Usiadła na schodach werandy i skuliła się. Matyldy wciąż nie było.

Wróciła koło piątej. Wysiadła z samochodu, wyrzuciła na trawę jakieś toboły i zatrzęsła się.

Lora, która od razu zamierzała wyskoczyć na nią z pretensjami, widząc to, spytała:

- Co ci jest? -Nic.

- To co się tak trzęsiesz?

Matylda zapanowała nad drgawkami, objęła się rękoma i powiedziała skamlącym głosem:

- Więcej nigdzie nie pojedę...

- A kto ci kazał?



- Tyle ludzi, samochodów... Gdzie się obejrzyysz, same samochody... Nie pojedę! Już nigdy nie pojedę.

- Jeśli ma ci to zajmować tyle czasu, to rzeczywiście...

- Nie mogłam nic znaleźć! - wrzasnęła Matylda, kiedy na dobre ją już odpuściło. - Ta mapa jest do niczego. Ciągle musiałam stawać i się pytać...

- Gapa. Sprzedałaś chociaż coś...? - Lora zajrzała na ciężarówkę. - Wszystko?! Wszystko sprzedałaś, czy cię okradli?

Matylda kiwnęła głową.

- Okradli cię!

- Sprzedałam! Daj mi już święty spokój i zanieś zakupy do domu, bo ja niczego nie utrzymam.

Lora rzuciła się do toreb z zakupami, pozbierała je i obładowana poszła do domu. Matylda weszła za nią, usiadła na chwilę przy stole, potem wstała i schowała cienki zwitek banknotów do puszki po kawie, stojącej na szafce. Lora zerknęła na nią, wypakowując zakupy z toreb.

- To nieźle ci zapłacili - zauważyła przymilnie. - Tyle na-kupiłaś, zatankowałaś i jeszcze ci zostało...

- Mateuszowi płacili więcej - odpowiedziała ponurym tonem Matylda. - Co jakiś CKas musiał dokupić wiklinę.

- Ale ile on pakował na samochód...

- Mimo wszystko... Starczało nam na cały miesiąc. Mateusz nie wydawał na bzdury, ale nigdy nam nie brakowało. Chociażby wtedy te pieniądze na ziemię! Albo jak zachorował, ile poszło... Jak to możliwe?

- Niemożliwe - Lora z niedowierzaniem pokręciła głową. Matylda nagle zakryła dramatycznym gestem twarz dłońmi i zawyla:

- O Boże! On cały czas spał w samochodzie i głodował. Albo wystawał z tymi koszykami i sprzedawał je bezpośrednio ludziom, żeby było drożej...

- Nie chrzań, i tak guzik miał.

- Dlatego tak długo go nie było...
  - Bo latał za panienkami - parsknęła śmiechem Lora. Matylda dalej jej nie słuchała.
  - Ale ja byłam niewdzięczna.
  - Byłaś co najwyżej głupia. I jesteś nadal, skoro tak mówisz... - Lora nagle znieruchomiała. - Szynka! Kupiłaś szynkę?!
- Następnego dnia Matylda od rana pakowała na forda koszyki. Poprzedniego dnia nie zdążyła objechać wszystkich miejsc, zresztą nie miała z czym. W trzech pierwszych wzięli wszystko - od dawna nie mieli towaru Mateusza, a tak dobrze się sprzedawał. Solidna robota, nikt już nie robi takich koszy.
- Lora wracała z ogródka z pękiem warzyw; wreszcie było co do nich dorzucić. Zdziwiła się, widząc Matyldę przy samochodzie.
- Miałaś już nie jechać...
  - Żebyśmy w przyszłym tygodniu znowu nie miały co jeść?
  - Tylko wracaj szybko. Nie przyjechałam na to odludzie, żeby babrać się z kurami i użerać z kopniętą gęsią.
  - Rzeczywiście - mruknęła Matylda. - Strasznie się napracowałam.
  - Usiłowałam coś napisać, a ta twoja walnięta Biała Dama, czy jak jej tam, łąziła pod werandą i biadoliła, jakby jej się jakaś krzywda działa.
  - Kłamiesz! - Matylda odwróciła się szybko w jej stronę.
  - Nie słyszałaś nigdy, jak biadoli?
  - Kłamiesz, mówiąc, że pisałaś. Laptop leży na szafce z butami tak, jak go tam parę dni temu położyłaś.
  - Ale myślałam.
  - Ciekawe o czym - mruknęła Matylda i wsiadając do auta, dodała: - Bełę przewiąż dwa razy, a nie raz jak wczoraj. I za koleją.
  - A nie można jej po prostu puścić, niech sobie łązi?
  - Nie można! Zdepcze wszystko i nie naje się jak trzeba.
  - No pięknie! Znowu mam się cały dzień użerać... - Matylda zmroziła ją wzrokiem, więc zmieniła ton: - Kup mi papierosy, dobrze?
- Tym razem poszło Matyldzie łatwiej i szybciej, a potem już za każdym

razem było coraz lepiej. W kilka dni objechała wyznaczone sklepy i na koniec odłożyła w puszcze po kawie dość pieniędzy na to, by w razie czego mieć na bilet dokądkolwiek i przeżycie miesiąca bez niczyjej łaski. I za każdym razem odnajdywała coraz większą przyjemność w sprzedawaniu koszy, jak dawniej w sklepie gospodarczym w prowadzeniu ksiąg podatkowych. Wszystko było proste i jasne. Matylda bała się wszystkiego, czego nie można było w jednej chwili zrozumieć.

Nie rozumiała Lory. Czego właściwie chce ta kobieta? Dlaczego ciągle jest niezadowolona i czegoś jej brakuje? Jak ślepej kurze ziarno trafiło się jej to Wzgórze. Może z nim uczynić, co zechce, a Matylda nie może zrobić nic, tylko czekać, co jej znowu przyniesie los. Najpewniej nic dobrego. Nie tym razem. Za bardzo przywiązała się przez te lata do Wzgórza, kochała je. Wzgórze było jak dobry sen. Nic już nie będzie takie dobre. Nie może być, skoro wszystko zależy teraz od Lory. A Lora ma zmienne nastroje. Czasem wstanie, weźmie się za coś albo odezwie ludzkim głosem, tak że Matylda na chwilę zapomina o swym przegranym życiu, a czasem wszystko jej się nie podoba, warczy jak pies i idzie na herbatę do Róży Lorenc.

- A co mam tu robić? - odpowiada na pogardliwe spojrzenie Matyldy. - Nawet telewizora nie ma, żeby na czymś oko zacześcić.

W takie dni, kiedy Lora przesiadywała na herbacie u Róży Lorenc, Matylda czuła się szczególnie podle. Naprawdę nic już teraz nie było jej. Nawet herbata z Różą Lorenc, kiedy to pozwalała Róży obrażać się dowolnie. Znosiła to, bo ta kobieta nie miała żadnego wpływu na jej życie. Łatwiej znieść razy od kogoś, komu można w każdej chwili kazać wyjść.

Po jakimś czasie Matylda znowu wyciągnęła trochę koszy z szopy i wyruszyła w trasę. Samo to poprawiło jej humor na tyle, że nie zwracała uwagi na Lore, która znowu była w podłym humorze i nie miała pojęcia, co będzie robić cały dzień.

- Rób, co chcesz - warknęła Matylda i odjechała. Wróciła po dwóch godzinach i z wszystkimi kosztami.

- Żartuje pani? - usłyszała już w pierwszym sklepie. - Może za parę miesięcy.

Za parę miesięcy? Kto wie, co będzie za parę miesięcy. Trudno. Nic, co dobre, nie może trwać długo - powinna to wiedzieć i nie łudzić się, że nagle z jakichś powodów zmienią się prawa rządzące jej istnieniem. Wróciła bez grosza, trochę zła na siebie, że nie zapytała za pierwszym razem, kiedy może znowu przyjechać.

Lory nie było. W kuchni na stole leżały resztki ze śniadania. Jak wróci, powie jej, żeby sprzątała chociaż po sobie, jak już nie obchodzi ją nic innego.

Wróciła zaraz. Wsiadła z samochodu z tajemniczym uśmiechem i otwierając bagażnik, zawołała:

- No chodź mi pomóż! Nie stój jak madonna.

Matylda powoli poszła do Lory i już wtedy, jak później wiele razy powtarzała, coś ją tknęło. W bagażniku stało pudło z telewizorem. Lora usiłowała je stamtąd wytaskać.

- Co to jest? - zapytała Matylda, starając się opanować drżenie głosu.

- Telewizor. Chyba wiesz, jak wygląda telewizor? Matylda kiwnęła głową.

- O matko, Matylda, pomożesz mi, czy będziesz tak stać? Razem szarpnęły pudło i wyjęły je z bagażnika, po czym, uginając się pod niewygodnym ciężarem, zaniósły do domu. Tu Lora odarła szybko telewizor z tektury i styropianu, potem stanęła przed nim ze złożonymi rękoma, szczęśliwa.

- Kochane pudełko! - zawołała z radością. - Razem nie będziemy się już nudzić.

Matylda nie mogła pojąć radości Lory. Tyle lat ona i Mateusz obywali się bez telewizora i nigdy za nim nie tęsknili. Ale Lora najwyraźniej nie mogła bez tego żyć. No dobrze, pomyślała Matylda, niech go sobie ma, niech siedzi przed nim i nie zawraca mi głowy. I wtedy spojrzała na szafkę, gdzie stała puszka po kawie. Nie musiała mierzyć, by wiedzieć, że jest odsunięta przynajmniej o dwa centymetry w lewo.

-Lora.... - zaczęła, starając się złapać oddech. - Skąd wzięłaś ten... ten telewizor?

Lora była przygotowana na to pytanie.

- Kupiłam, chyba normalne, nie? Za darmo nikt ci nic nie da.

- Wiem, że za darmo nikt nic nie da - odezwała się bardzo łagodnie Matylda i nagle wrzasnęła: - A skąd wzięłaś pieniądze?!

- Wiedziałam, że o to zapytasz - zachnęła się Lora.

- Wiedziałaś... Tak, jak skąd wziąć pieniądze?

- Ale z ciebie piła! Pieniądze są do wydawania. Nic mnie tak nie denerwuje jak ludzie, którzy ściskają forszę i nic z niej nie mają... Nic. Matylda usiadła przy stole i oparła głowę na dłoniach.

- Były przeznaczone na coś ważnego...

- Niby na co?

- Na przykład na paszę dla zwierząt na zimę, gdyby...

- Do zimy i ciebie, i twoich zwierząt tu nie będzie. Telewizor był mi potrzebny.

- Do czego?

- A co mam niby robić cały dzień na tym odludziu, może mi powiesz?

- Wiem, co będziesz robić jutro: karmić zwierzęta i pilnować ich cały dzień, dopóki nie sprzedam koszyków i nie wrócę. A jak wrócę, to cię zabiję.

Wstała gwałtownie od stołu - Lora zasłoniła telewizor w obawie, że go zrzuci - i poszła na górę. Lora, zadowolona, że już po wszystkim, pokazała jej język. Potem w mig uporała się z ustawieniem telewizora, zuchwale rzucając w górę:

- Matyllda, mogłabyś mi pomóc umocować antenę...? Bez odpowiedzi.

- Nie, to nie, bez łaski. Jeszcze będziesz chciała na coś popatrzeć.

Matyllda następnego dnia skoro świt pojechała z koszykami tam, gdzie nie dotarła ani za pierwszym, ani za drugim razem. Tam, gdzie ze względu na odległość bała się wyruszyć. Przed drogą przeżegnała się, jak pierwszym razem, i pomodliła, prosząc Boga, by nie pozwolił stracić jej rozumu.

Lora, jak tylko samochód zniknął za Wzgórzem, rozłożyła się na kanapie i włączyła telewizor.

Gdyby nie konieczność doglądania zwierząt, przeleżałaby tak cały dzień, nadrabiając zaległości. Strach przed tym, co ta wariatka może zrobić, jak się naprawdę zdenerwuje, podniósł ją po jakimś czasie z kanapy i wypędził na podwórze, gdzie stado zwierząt domagało się bezustannie jedzenia. Sama objadała się zresztą nie mniej, leżąc na kanapie, na wprost której stał telewizor. To śmiała się, to wzruszała do łez; świat mógł nie istnieć. Dopiero przed wieczorem wstała i zła, że musi wstać, zrobiła dziwolągowi kolację. Przesunęła telewizor do części kuchennej i krojąc warzywa na sałatki, oglądała, co było do obejrzenia.

Kiedy Matyllda wróciła, postawiła przed nią pięknie przygotowaną kolację i spytała, jak poszło. Matyllda była ciągle zła na Lore, więc nie odpowiedziała, ale zjadła ze smakiem, wypila herbatę i dopiero wtedy warknęła:

- Nie waż się więcej ruszać moich pieniędzy.

- Twoich pieniędzy! - parsknęła Lora. - A co tu jest w ogóle twoje?!

- Nie wąż się - powtórzyła Matylda i poszła do siebie ukryć pieniądze, choć wiedziała, że jeśli Lora zechce, i tak je znajdzie.

Tego wieczora, siedząc przy kuchennym oknie o zmierzchu, powiedziała do Mateusza z wyrzutem, że ładną sobie wziął żonę, złodziejkę i w ogóle, a Mateusz jakby się skulił nad wyplatany koszem, więc zrobiło jej się go żal i dodała zaraz, że to nie jego wina.

- Szkoda tylko - zakończyła - że nie zostawiłeś więcej koszy. Te już się kończą i teraz to już nie wiem, co będzie dalej.

- Pół szopy zawalone koszami, a ta się martwi, co będzie dalej - wtrąciła Lora z kanapy, przyzwyczajona już do monologów Matyldy każdego wieczora o zmierzchu. - Tylko je sprzedaj.

- Mateusz nigdy ich nie chciał sprzedawać. Są wybrakowane.

- Wystarczy je poprawić.

- To je popraw. -Ja?

- Podobno nauczyłaś się wyplatać kosze zaraz po ślubie z Mateuszem, aż mi się wierzyć nie chce...

- Nauczyłam się i robiłam to lepiej od niego.

Matylda jeszcze spała, kiedy następnego dnia skoro świt Lora weszła do szopy i zaczęła z niej wyrzucać kosze. Niektóre dały się poprawić, inne były tak pokrzywione, że mogły tylko leżeć, jak leżały dotąd. Jakim cudem wyszły spod ręki kogoś, kto zajmował się ich wyplataniem od dziecka? Najprawdopodobniej zrobiła je Matylda, a teraz wstydzi się do tego przyznać. Nie, Mateusz nie pozwoliłby jej zmarnować tyle wikliny. Matylda wzruszyła ramionami, gdy ją o to zapytała.

- Ja zrobiłam tylko jeden i był jeszcze gorszy od tych, odczep się.

- W takim razie zrobił je po pijanemu.

- Widziałaś kiedyś Mateusza pijanego? Bo ja nie.

- Nie pił, sukinsyn, nigdy - przytaknęła Lora, a potem machnęła ręką. Co to w końcu za różnica, zrobił je i koniec. Teraz mogą je co najwyżej wrzucić zimą do pieca, jak nie będzie czym palić.

- Popraw lepiej te, które się da, i nie myśl o zimie. Myślałby kto, że taka jesteś przewidująca - mruknęła Matyllda, idąc do obory.

Lora zniszczyła wszystkie paznokcie, poprawiając kosze, i przegapiła wiele godzin telewizyjnej emisji. Była zła i zmęczona, więc kiedy skończyła, przez dwa dni leżała przed telewizorem, doprowadzając paznokcie do porządku, zdziwiona odrobinę, że Matyllda nic nie mówi. Widać uznała, że należy jej się trochę odpoczynku, więc następne dwa dni także przeleżała przed telewizorem, a kiedy jej się to w końcu znudziło, poszła do Róży Lorenc na herbatę.

Róży nie było w domu. Edward Lorenc po kilkunastu minutach szukania jej po wszystkich pokojach, w końcu przypomniał sobie, że pojechała do starszej siostry, która nagle zaniemogła czy coś w tym rodzaju. Mimo to Lora poszła tam następnego dnia i następnego i za każdym razem wracała z wypiekami na twarzy, aż w końcu Matyllda zaniepokoiła się na dobre.

- Na pewno zaszkodziło ci to pudło, przed którym całe dni leżysz, wiedziałam, że tak w końcu będzie.

- Co? A nie... Nie... Jestem zupełnie zdrowa - rzuciła jakimś nieobecny tonem Lora i zanuciła coś pod nosem. - Będę ci potrzebna wieczorem? - zapytała grzecznie.

Matyllda wytrzeszczyła oczy.

- Wieczorem? Potrzebna?

- No właśnie.

- A od kiedy to mnie się pytasz, czy będziesz potrzebna, czy nie?

- To przejdę się do szosy... albo trochę dalej... Matyllda nie wiedziała, co się dzieje.



- A ten serial o siódmej, który co dzień oglądasz i nic cię wtedy nie obchodzi?

Lora machnęła ręką. Co tam serial, taki czy inny, nie warto tracić czasu. Odbiło jej, pomyślała Matyllda, patrząc, jak Lora idzie wieczorem w stronę szosy. Przez chwilę nawet zdawało jej się, że Lora płynie nad łąką i chciała za nią krzyknąć, wtedy Lora odwróciła się i pomachała jej ręką. Pewnego dnia, kiedy Matyllda wracała szosą z cmentarza, Róża Lorenc, chwiejąc się na nogach, jakby to ona, a nie jej siostra była chora, wyszła jej naprzeciw i nim Matyllda zdążyła powiedzieć „dzień dobry”, dramatycznym głosem zawołała:

- Wiedziałam! Wiedziałam, że ta zdzira mi to w końcu zrobi! Nie dość, że przyjechała ciebie obrabować ze wszystkiego, co ci się należało za opiekę nad Mateuszem...

Nabrała głęboko tchu w płuca, bo głos nagle jej się dramatycznie załamał - w tym czasie Matyllda zdążyła pomyśleć, że Róża ma na myśli Loreę - i załkała:

- Dlaczego... Dlaczego nie wyrzuciłaś jej z domu?

- Lory?

- Nie wypowiadaj przy mnie imienia tej suki!

- Nie mogłam. I o ile dobrze pamiętam...

- Gdybyś ją wyrzuciła od razu, poparłabym cię z całego serca i znając jej tchórzliwą naturę, nie sądzę, żeby odważyła się wrócić...

- A ja nie sądzę, żeby Lora była tchórzem.

- Jeszcze jej bronisz!

- Mówię prawdę. Nie wiem po prostu, co się stało.

- Co się stało! Ona nie wie!

- Nie wiem.

- Pod jednym dachem żyjesz z tą ladacznicą...

- O wypraszam sobie! - Matylda postawiła się ostro. - Lora może i lubi od czasu do czasu sięgnąć, że się tak wyrażę, po jakiegoś mężczyznę, ale robi to ze strachu, żeby nie być sama, tak ja to widzę.

- Ze strachu?! O czym ty mówisz, kobieto? I dlaczego akurat sięgnęła po mojego męża?

- Po pani... męża...?

- Nie udawaj, że nie wiesz. Na pewno widziałaś, jak się zabawiają pod moją nieobecność. I nie zrobiłaś nic. Nic. Może jeszcze im pomogłaś. Po tych wszystkich latach, kiedy byłam ci przyjaciółką.

Matylda spojrzała na Różę Lorenc raz i drugi, potem odwróciła głowę w bok i powiedziała cicho, ale pewnie:

- I ja tak kiedyś myślałam. Ale odkąd Lora jest na Wzgórzu i zachowuje się tak, jakby była tu zawsze, wiem, że nigdy, ale to nigdy, nie była pani moją przyjaciółką. Nawet nie koleżanką.

I odeszła. Nim Róża Lorenc po tym wyznaniu odzyskała mowę, Matylda była wystarczająco daleko, by jej już nie słyszeć. Zresztą, sama była zdumiona słowami, jakie padły z jej ust i nie rozumiała, dlaczego z takim przekonaniem stanęła w obronie kogoś, kto był jej największym wrogiem, więc kiedy zobaczyła Lorę na werandzie, zapatrzoną w dal, burknęła ze złością:

- No wiesz! Chyba trochę przesadziłaś. Ty i mąż tej kobiety... W ogóle sobie tego nie wyobrażam. Podobno to taki dziwak, jak sama tyle razy twierdziłaś...

- Nie większy niż ty - odparła Lora. - A zobacz, wytrzymuję z tobą już tyle czasu.

- Ale żeby zaraz...

- Kocham go, a on mnie. I jeśli nie chcesz mnie zrozumieć, to się w ogóle nie odzywaj.

- Gdybym znała cię dłużej, niż znam, mogłabym powiedzieć: Znowu?

- Co znowu?

- Znowu kochasz go, a on ciebie.
- Tym razem to co innego.
- I znów tym razem co innego?
- Matyllda! Nie denerwuj mnie. Nie znałam dotąd takiego faceta! Rozumiesz? Nie miałam pojęcia nawet, że tacy istnieją...
- Znałaś go od lat...
- Jako zdziwaczałego męża kopniętej Róży Lorenc, który siedzi całymi dniami na strychu i wymyśla dziwaczne rzeczy. Nagle poznałam go jako mężczyznę.
- Jak to nagle?
- Zwyczajnie.
- No, ale jak? - Matyllda nie była w stanie sobie pewnych rzeczy wyobrazić.

Lora wyjaśniła ze zniecierpliwieniem:

- Odchodziłam, a on potknął się, otwierając mi drzwi. Roześmiałam się i on się roześmiał i nagle spojrzeliśmy sobie w oczy.
- I to wszystko?
- A co trzeba więcej?
- Wiem, że trzeba...
- Skąd? Z książek? Nie bądź śmieszna.

Matyllda nagle poczuła złość. Ogromną, zalewającą całe ciało złość. Była zła na Lore, na Różę Lorenc i na cały świat, ale najbardziej na siebie. Za to, że stanęła w obronie Lory. Tego robaka, który nie liczył się z niczym i z nikim, przypelznął tu, by zniszczyć jej świat i bez żadnego namysłu niszczy świat Róży Lorenc, bo akurat ma na to ochotę. Miłość! Nigdy w to nie uwierzy. Robaki nie mogą kochać, bo są robakami. A ona stanęła w obronie robaka.

- Ze też takie jak ty nie mają wstydu! - wycedziła przez zęby bez ostrzeżenia.

Lora posłała jej pytające spojrzenie i zaczęła się bawić z Tenorem (z jej Tenorem!).

- Teraz mówisz jak Róża Lorenc...

- Za grosz! - dorzuciła z jadem Matyllda, chwyciła Tenora za obrożę i przytrzymała przy nodze. - Romansować ze wszystkimi mężczyznami naokoło, proszę bardzo, ale mąż Róży Lorenc, to już przesada. A jeśli już, to wypadaloby ponieść jakieś konsekwencje, stanąć z tym twarzą w twarz, a nie żebym ja musiała wysłuchiwać pretensji tej kobiety, kiedy wracam z cmentarza od - było nie było - twojego męża, co już jest...
  - Chcesz coś konkretnego powiedzieć - przerwała jej Lora ze zniecierpliwieniem - czy tylko tak sobie bredzisz?
  - Mogłabyś od czasu do czasu zajrzeć na grób swojego męża. Było nie było.
  - Po jaką cholere?
  - Z przyzwoitości.
  - Co to, według ciebie, jest przyzwoitość?
  - Coś, o czym ty nie masz zielonego pojęcia.
  - Co to zmieni, jeśli tam pójde? Jakby on tam był rzeczywiście...
  - Nie chodzi tylko o grób Mateusza!
  - Więc?
  - O wchodzenie w ludzkie życie z buciarami.
  - Daruj sobie.
  - Bez zastanowienia! Bez najmniejszej refleksji, czy tak można i nie dałoby się delikatniej.
  - Mówisz teraz o Róży czy o sobie?
- Matyllda puściła Tenora i patrząc, jak biegnie za rzuconym wcześniej przez Lorę kijem, powiedziała cicho:
- Każdy ma prawo do spokojnego życia.
  - Żadna ustawa takiego prawa nie gwarantuje. Ani tobie, ani Róży Lorenc, ani nikomu. Myślałby kto, że każdy, kto wszedł w moje życie, zdejmował wpiery buty!
  - Tego nie powiedziałam - mruknęła pod nosem Matyllda. Złość w niej stajała w jednej chwili. Została tylko bezradność. Jak za każdym razem, kiedy los wywracał jej życie do

góry nogami. Jak wtedy, gdy umarła ciotka, a ona, skulona na krześle, czekała na prosty gest matki, najzwyklejszy, jaki w tamtej chwili można było sobie wyobrazić; jak później, w domu dziecka, pakowała swoje rzeczy, z których żadna nie należała tak naprawdę do niej, czekając, co dalej przyniesie los; jak wtedy wreszcie, gdy właścicielka sklepu gospodarczego żegnała się w nieświadomości z tym światem, podczas gdy jej dzieci odzierały ściany z miłości, ostatecznie siebie i matkę jej pozbawiając. Intuicyjnie nie przywiązywała się do żadnego z tych miejsc, ledwie tylko przywykając do związanych z nimi ludzi czy też powtarzalnych zdarzeń, przeczuwając ciągłą niestałość swego istnienia. Nigdy nie przemknęło jej przez myśl, że jest przez ten los w jakikolwiek sposób pokrzywdzona (z książek wiedziała, że inni mają gorzej), ale cały czas tęskniła za jakimś prostym gestem, cokolwiek taki gest miałby znaczyć.

Nikt jej nigdy nie gwarantował spokoju. Nie oczekiwała też niczego takiego. Ale Wzgórze, odkąd się na nim pojawiła, było gwarancją samo w sobie i z premedytacją - kupując zwierzęta i zatapiając motykę w ziemi - uczyniła je swoim domem.

Co zrobić ze zwierzętami i kiedy przestać uprawiać pole, żeby jak najmniej bolało... Och, Lora, Lora, gdyby ciebie nie było...

- Zabiję cię - powiedziała Lorze w twarz. Lora parsknęła pogardliwie:

- I tak już nie będzie jak dawniej.

To prawda. Wraz ze śmiercią Mateusza przeszłość na Wzgórzu straciła cały sens. Wolność, jakiej na początku doznała, była tylko krótkim zadośćuczynieniem. Może sobie teraz za tym potęknąć, ale na pewno nie żałować, bo cieszyła się nią wprawdzie chwilę, za to intensywnie. Dobrze i to. Śmierć Lory, jakkolwiek przyniosłaby ulgę, nie wróci już spokoju. Spokój konał każdego wieczora wraz z Mateuszem i nic nie można było zrobić.

- Ocknij się, madonno - mruknęła Lora. - Nasz lekarz rodzinny jedzie. Droga od szosy jechał Michał Duszny. Lora z wielkim mówiącym uśmiechem odeszła do domu. Weterynarz zatrzymał się koło Matyldy i potykając się przy wychodzeniu z auta, prze-garnął nerwowym gestem włosy.

- Nie chorują ci kury? - zapytał bez tchu i nim zdążyła odpowiedzieć, dodał szybko: - Bo w okolicy wszędzie zdychają. Przywiozłem szczepionkę... Profilaktycznie.

Matylda popatrzyła mu chłodno w oczy, nie bardzo rozumiejąc, o czym mówi. Zawstydził się pod tym spojrzeniem, spłonął małym męskim rumieńcem i jakby tego było mało, kichnął bez ostrzeżenia raz za razem. Matylda nie wiedziała, że Michał Duszny kicha w stresie jak uczuleniowcy podczas pylenia topoli. Zrobiło jej się jednak okropnie wstyd. W końcu to jedyny życzliwy jej człowiek. Nie musi traktować go obcesowo.

- A wiesz... jedna chodzi jakoś tak chwiejnie od paru dni... Nie wiem, co mam robić...

Nagle zakryła twarz rękoma - to był jedyny sposób, żeby powstrzymać łzy. Jej myśli ani na moment nie skupiły się na chorobie kur. Michał nie wiedział, jak się zachować. Na wszelki wypadek - żeby dać Matyldzie do zrozumienia, że jest po jej stronie, ale nie narzucać się ze współczuciem - wyciągnął rękę w jej stronę.

- Gdybym tylko mógł coś zrobić... dla ciebie...

- Tak - powiedziała nagle z głębokim zdecydowaniem.

- Naprawdę? - ucieszył się i zaraz spochmurniał. - Ale co? Matylda jeszcze nigdy nie była tak zdecydowana.

- Jedźmy gdzieś.

- Do kina?

- Gdziekolwiek.

- Dobrze.

Lora kroїła w kuchni pomidory na sałatkę, kiedy zobaczyła przez okno, że Matylda wsiada do samochodu weterynarza i razem odjeżdżają. Zamarła z nożem wbitym w pomidor i patrzyła, dopóki nie znikli za drzewami przy szosie.

Tenor wpadł z dworu, zakręcił się po domu i spojrzał na Lorę zdezorientowany.

- No co, ja też nie wiem, gdzie ta kopnięta kretynka pojechała. Skąd mam wiedzieć? Nie gap się tak, przecież chyba zaraz wróci.

Nie wróciła ani zaraz, ani za godzinę, ani za dwie. Po trzech Lora poszła sprowadzić ryczącą krowę do obory. W tym czasie Kreska weszła do domu i narobiła tam niezłego zamieszania, zjadając na koniec kawałek ulubionej spódnicy Lory. Krowa w oborze przestała się szarpać i pozwoliła uwiązać dopiero wtedy, gdy przeciągnęła trzymającą kurczowo łańcuch Lorę dwa razy przez długość obory. Lora podniosła się z gnoju, otrzepała z grubsza i chwiejnym krokiem wyszła z obory. Zagnała kury do kurnika, pomogła kopnięciem Białej Damie i kiedy zadowolona, że wreszcie wszystkie zwierzęta znalazły się pod dachem, rozejrzała się po podwórku, zobaczyła na werandzie Kreskę ze strzępem kremowego materiału w zębach. Lora miała tylko jedną kremową rzecz.

Nigdy, przenigdy nie wybaczy Matyldzie tej spódnicy!

Przez godzinę prała rzeczy i zmywała z siebie zapach obory, złorzecząc Matyldzie i wszystkim jej zwierzętom. Potem położyła się wyczerpana na kanapie i obojętnie patrząc w telewizor, ledwie tknęła kolację.

Matylda wróciła przed północą. Z ledwo widocznym uśmiechem Mony Lisy usiadła przy stole w kuchni i wzięła z parapetu okna jabłko. Nie zwracając uwagi na Lorę, zatopiła w nim zęby i założyła nogę na nogę.

- Wydoiłaś krowę?

Lorę zatkało. Co za bezczelność. Zerknęła na Matyldę kątem oka - coś jej w jej wyglądzie nie dawało spokoju - i prychnęła pogardliwie.

- Jeszcze nie zgłupiałam.

- Tak myślałam - powiedziała Matylda i wstała, żeby przebrać się we flanelową koszulę, w której chodziła do obory.

Lora cały czas wodziła za nią wzrokiem, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że w Matyldzie jest jakaś dziwna, niepojęta lekkość. I ani krzty żalu, że o dwunastej w nocy trzeba iść z wiadrem do obory, wydoić krowę, odcedzić mleko i wstawić do piwnicy, żeby nie skisło.

Wychodząc, zerknęła na postrzępioną spódnicę Lory, leżącą na koszu z rzeczami do prania, ale nie zapytała, dlaczego jest postrzępiona. Było jej to obojętne.

Na początku sierpnia Matylda zdecydowała, że nie będzie kosić drugi raz trawy. Jeśli krowa zostanie na zimę na Wzgórzu, w co zaczynała coraz bardziej wątpić, to trudno, będzie musiało jej wystarczyć to, co jest.

Jednak widok wysokiej, falującej na wietrze trawy na południowym stoku wprawiał ją w trwające godzinami rozdrażnienie. Wtedy nie mogła nic robić, ani tym bardziej patrzeć na Lorę, a jeśli już na nią patrzyła, to z takim lekceważeniem, na jakie tylko mogła się zdobyć.

- Co chcesz?! - nie wytrzymała któregoś dnia Lora, nie mogąc znieść tego wzroku.

Matylda nie lekceważyła dotąd kołka w płocie ani psiego ogona - coś z nią było nie tak.

-Nie mam zamiaru... Najmniejszego! przestać widywać się z Edwardem, jeśli o to ci chodzi.

- Mam gdzieś ciebie i twojego Edwarda - odpowiedziała beznamiętnie Matylda. - Jest wart ciebie, nic mnie to nie obchodzi.



W Matyldzie była teraz siła, która idealnie pasowała do jej mocnego ciała, ale w ogóle nie pasowała Lorze. Wodziła za nią wzrokiem, zachodząc w głowę, co też się stało z bezradną, niepewną niczego, nawet własnego istnienia, Matyldą. We wszystkim, co teraz robiła, było zdecydowanie wyrażające się w mocnych, równych (jakby odmierzonych) ruchach - czy to sypała kurom ziarno na podwórku, czy doiła krowę. I cały czas ten ćwierćśmiech na ustach.

Nic już nie było takie jak dawniej. Lora zatęskniła za bezradnością Matyldy. Za jej niepewnością i zagubieniem. Miała ochotę zapytać, co się, cholera, stało, bo przecież ludzie nie zmieniają się tak z dnia na dzień. Nie zapytała, bo wiedziała, że Matylda ją zignoruje. Tak jak ignorowała wszystko. Przestała chodzić na cmentarz i siadać wieczorami przy oknie w kuchni. Dla Lory zarówno jedno, jak i drugie było i tak tylko stratą czasu, ale tego też zaczęło jej brakować.

W pewnym momencie Lora miała już tak dość lekceważącego milczenia Matyldy i jej obojętnej zadumy, że przestała wylegiwać się przed telewizorem i w ogóle bywać na Wzgórzu. Czas spędzała z Edwardem Lorencem w motelu za miastem, który Róża Lorenc usiłowała pewnego razu podpalić. Wylądowała po tym wyczynie na krótkiej obserwacji w szpitalu psychiatrycznym, gdzie zrobiono jej wiele badań, ale nic prócz wybujałego egocentryzmu nie wykryto. Lora pojechała do matki.

Od jakiegoś czasu miała już wszystkie dokumenty potwierdzające jej prawa do Wzgórza, ale ciągle brakowało jej pieniędzy. Życie nauczyło ją, żeby nic nie robić na łapu-capu, więc ostateczną decyzję o przyszłości Wzgórza odłożyła na potem.

Spróbowała poradzić się matki, co z tym wszystkim dalej robić, żeby było jak najlepiej dla niej, dla dziecka i w ogóle.

Matka łagodnym tonem powiedziała, że jeśli Lora przez całe życie nie zrobiła nic, co byłoby dobre dla niej i dla dziecka, trudno uwierzyć, żeby tak się stało teraz. Niech lepiej zostanie tak, jak jest, tak będzie dla wszystkich najlepiej. Lora nie potrafiła znaleźć żadnego argumentu, który miałby przekonać matkę, że tym razem będzie inaczej.

- Co ty możesz dać temu biednemu dziecku? - zakończyła wszelką dyskusję na ten temat, jak za każdym razem, matka, i Lora, jak za każdym razem, musiała jej przyznać rację.

Mimo wszystko przez tych kilka dni bardzo starała się, żeby dać dziecku trochę ciepła - może dlatego, że sama potrzebowała go jeszcze bardziej - nie wiedziała jednak, co mogłaby zrobić więcej. Czuła podskórną, że Wzgórze jest jakąś szansą nie tylko dla niej, ale i dla Julii, nie chciała jednak rozmawiać na ten temat z matką, żeby nie usłyszeć tego samego co zwykle. Każda próba porozumienia się z Julią kończyła się jej żalonym, zwierzęcym krzykiem. Lora nigdy nie znalazła sposobu, żeby go powstrzymać.

- Proszę cię... - błagała. - Zostanę... Zostanę jeszcze. Julia krzyczała.

- No dobrze, jak chcesz. Idę. Julia krzyczała.

- Zostaw ją w spokoju - wtrącała matka. - Zawsze ci mówię, że to bez sensu, ale ty nie rozumiesz.

Rozumiała. Dlatego wyszła z domu, zatrzaskała za sobą ten niepojęty krzyk i poszła do pubu, w którym zawsze można było spotkać znajomych z dawnej redakcji, podbudować się ich nieustającym optymizmem, zapytać, co słyhać... Połowa jej dawnych przyjaciół siedziała przy barze, sącząc piwo i plotkując sobie do woli. To było życie!

- Hej, złotko! - usłyszała na powitanie. - Gdzie ty się podziewasz całe miesiące? Na tej wsi?! Nie mów! Ty i ta wieś, dobre sobie, życie ci mija koło nosa.

- Rzeczywiście - powiedziała, sadowiąc się pośród znajomych, z miejsca podbudowana ich optymizmem i zauroczona atmosferą. - Robię z tym koniec, raz dwa, dość już tego. Kto powiedział, że życie ma mi, cholera, przelecieć koło nosa. Chrzanić Wzgórze i Matyldę. Co słyszeć?

No, to zależy, tyle jej nie było, że nie wiadomo od czego zacząć, a tu przecież bez przerwy coś się dzieje... Zona Lutka, na przykład... Jak to jakiego Lutka? Lutka nie pamiętasz? Ten, co mu naczelny ciągle proponował etat korespondenta zagranicznego, bo ma do tego dryg, ale Lutek nawet nie chciał słyszeć, bo żona i tyle dzieci i co on będzie się po świecie szlajał, nawet nie ma mowy! Zona Lutka, masz pojęcie?! kocha rodzić dzieci i bez konsultacji z Lutkiem zaszła w szóstą ciążę, pomyśl tylko, szosta ciąża! A Lutek się wkurzył. Co to, powiedział, żebym ja nie miał chwili spokoju, jak wracam z roboty, tylko krzyk i krzyk. Dokąd to tak będzie? I nie dalej jak w tamtym tygodniu Lutek powiedział nacelnemu, że się zgadza na tego korespondenta zagranicznego. Może to ją wreszcie powstrzyma, dodał w uzasadnieniu, bo on osobiście nigdy nie miał ambicji, żeby spłodzić drużynę piłkarską.

- Ale numer! - jęknęła Lora. - No to ją rzeczywiście powstrzyma, tylko czy...

- O, to wcale nie jest takie pewne, znając żonę Lutka. Jeśli tak kocha rodzić, to nawet jak Lutek będzie za granicą, cha cha cha... Prawda?

- ...tylko czy to moralne, żeby tak zostawiać żonę w ciąży... - dokończyła Lora myśl, a dawni przyjaciele wytrzeszczyli oczy.

- No co ty, głupia jesteś? A co się ma wariatką przejmować, jak ona tylko jedno i jedno. Sześcioro dzieci! W dzisiejszych czasach! Kto to słyszał! A zresztą nie ma o czym gadać, Lutkowi też się coś od życia należy, a nie tylko krzyk i krzyk, kto by to wytrzymał.

- Może i tak... - zgodziła się Lora, czując na sobie oburzone spojrzenia przyjaciół.

- Nie może, tylko na pewno tak - usłyszała natychmiast. - Trzeba myśleć o sobie, jeśli się chce do czegoś dojść. A do czego dojdzie Lutek z sześciorgiem bachorów na głowie? Tylko podziwiać, jeśli się ktoś potrafi urządzić jak trzeba. W dzisiejszych czasach? Tak jak Wiola na przykład...

- Jaka Wiola?

- No co ty, Wioli nie pamiętasz?

- Ach tak, ta szara myszka, co siedziała przy drzwiach do archiwum! - przypomniała sobie natychmiast Lora ze strachu, co oni sobie w końcu o niej pomyślą.

Szara myszka, rzeczywiście! Niektórzy to się potrafią nieźle zakamuflować. Tylko że ta szara myszka zakręciła się koło jakiegoś forsiastego faceta z Otwocka... Kiedy? Z rok po tym, jak naczelny wylał Lorę z roboty... No dobrze, sama odeszła, ale przecież gdyby nie odeszła, to i tak by ją wylał, o czym tu mówić. No więc ta Wiola nie od parady nosiła skromnie uczesaną główkę na karku. Facet wybudował jej ekstra chałupę pod Warszawą. Wiola przez dwa lata urzędowała ją przy pomocy architekta sprowadzonego z Amsterdamu...

- Niesamowite! - jęknęła znowu Lora z udawanym zachwytem.

Ale wcale nie w tym rzecz. Sześćsetmetrowa chałupa za miastem i architekt z Amsterdamu to już przebrzmiała historia. Chodzi o to, że Wiola sprowadza teraz włoski marmur do łazienek (Zauważ, do łazienek! Wiesz, ile Wiola ma łazienek? Skąd możesz wiedzieć, siedzisz na tej wsi nie wiadomo po jaką cholere, głupia jakaś jesteś?), choć to, co miała w nich do tej pory i tak przyprawiało o zawrót głowy. Wiola nie jest mściwa - każde z nich przecież robiło sobie z niej żarty, kiedy siedziała jak biedna myszka przy tych drzwiach do archiwum - a ona każdego z nich zaprosiła, żeby zobaczył, jak ma wszystko urządzone.

Lorze przemknęło przez myśl, że gdyby miała do kogoś złość i sześćsetmetrową chałupę za miastem urządzoną przez holenderskiego architekta, na pewno by go zaprosiła, żeby sobie ją obejrzał.

- A co u ciebie? - usłyszała. - Poopowiadaj...

Lora wpadła w panikę. O czym tu opowiadać? O tych facetach poznawanych na głębokim rauszu w Piekiełku? W życiu! O Edwardzie Lorencu, którego odebrała Róży i który okazał się całkiem innym człowiekiem, niż był? Tego się każdy po Lorze spodziewa, nie zaskoczy ich.

Opowiedziała im więc, jak Matylda znikła na pół dnia z weterynarzem i ona została sama ze wszystkimi zwierzętami, które trzeba było na noc pozamykać w kurniku i oborze. Z drobiem i Kreską jakoś sobie poradziła, ale co przeżyła z krową! To bydlę włóczyło ją po całej oborze w tę i z powrotem, nim wreszcie dało się uwiązać, a ona jak wychodziła z tej obory poobijana i upaprana (Wiecie w czym?!), to nie wiedziała, na jakim świecie żyje i w którą stronę iść, żeby dojść do domu, umyć się i położyć - tak była skołowana.

Przez chwilę panowała cisza. Wszyscy patrzyli na Lorę jak na jakieś dziwadło. Dokładnie tak, jak ona czasem patrzy na Matyldę. Poczuli się nagle głupio i nie na miejscu. O czym ona im tu, do diabła, gada! I wtedy ktoś się zlitował, przerwał ciszę:

- A kim właściwie jest ta Matylda, że ciągle...

- Ach, Matylda... - Machnęła ręką. - Nie ma o czym mówić...

- ...o niej gadasz?

- No gadam, gadam - zezłościła się - bo ciągle się tam kręci. Taka tam...

Nagle pomyślała, że nie powinna nic więcej powiedzieć o Matyldzie, bo Matylda nie zasługuje na to, żeby tak o niej mówić, i o tym, że kiedyś z tymi samymi ludźmi prowadziła całkiem inne rozmowy. Jakieś normalniejsze, bez tych ochów

i achów, i zachwyków nad czymś, czym w ogóle nie powinno się zachwycać. Zrobiło jej się źle z tymi ludźmi, z którymi zawsze tak dobrze się czuła. Dość tego! Idzie. - Idę - powiedziała i wyszła.

Spakowała wszystkie swoje rzeczy, uścisnęła Julię, nim ta zaczęła krzyczeć, zajrzała do redakcji pisma kobiecego, gdzie za kilka lekkich historyjek pobrała z kasy jakieś pieniądze, spróbowała porozmawiać z matką, ale z matką ostatnio nie dało się rozmawiać, więc jeszcze raz uścisnęła Julię, wzięła swoje rzeczy i wyszła w momencie, kiedy rozległ się krzyk jej dziecka.

Julia reagowała w ten sposób na wszystko, co jej się nie podobało, od dnia, w którym Lora wpadła na drzewo, prowadząc samochód po pijanemu. Nabiła sobie parę porządnych siniaków, dziecku na szczęście nic się nie stało, ale w jej dziecięcej psychice coś się musiało poprzestawiać. Krzyczała całymi dniami i na niczym nie potrafiła skupić dostatecznie długo uwagi. Jeśli nie krzyczała, kaprysiła nieznośnie, a każda próba uspokojenia jej kończyła się nowym wybuchem krzyku. Lekarz, do którego Lora udała się z pewnymi obawami, badał Julię wielokrotnie i powiedział, że wypadek nie powinien zostawić żadnego śladu: trzyletnie dziecko takie rzeczy szybko zapomina. Ale to były tylko słowa. Spokojna i niewymagająca dotąd specjalnej troski Julia zmieniła się w rozwrzeszczanego i rozkapryszonego dzieciaka. Matce Lory to nie przeszkadzało: uspokajała Julię godzinami i spełniała wszystkie jej kaprysy. Kiedy Lora w końcu zbuntowała się, mówiąc, że to nie jest dobre wychowanie, dalej tak być nie może, matka, patrząc jej zimno w oczy, powiedziała, aby zostawiła wreszcie w spokoju to biedne dziecko i zajęła się swoim niemoralnym życiem, tak będzie najlepiej.

-Jesteś taka sama jak twój ojciec - zakończyła z przejmującym chłodem. - Nie liczysz się z nikim i z niczym. Beztrąsko zostawiłaś męża, bo tak ci było wygodnie. O mało co nie zabiłaś własnej córki.

Lora zdawała sobie sprawę z tego, że nie jest idealną matką i wiele grzechów ma na sumieniu, ale nigdy świadomie nie chciała zrobić nikomu krzywdy. Zwłaszcza dziecku. Zaboląły ją te słowa jak nic na świecie, ale uświadomiła sobie, że matka jest górą. Była górą, bo wiedziała, że Lora nie zrezygnuje ze swego towarzyskiego i zawodowego życia, by bezustannie być z Julią, spełniać jej kaprysy i wytrzymywać ten krzyk.

Lora wyszła pewnego dnia z domu i wynajęła małe mieszkanie. Kiedy było bardzo krucho z pieniędzmi, zamieniała je na jeszcze mniejsze, a czasem po prostu znajdowała faceta, który dołożył się do czynszu. Ale to nie było życie; teraz dopiero zrozumiała to w pełni. W życiu musi być jakiś dom. Nie, nie jakiś, poprawiła się w myślach - prawdziwy dom.

Taki, do którego zawsze można wrócić. Bez względu na wszystko. Pierwsze dwa dni po wyjeździe Lory Matylda przesiedziała na werandzie. Z taką samą rutyną jak ostatnio karmiła zwierzęta, jadła i bez najmniejszych oznak zmęczenia kładła się spać.

Trzeciego dnia przyjechał Michał Duszny i powiedział, że jeśli tylko Matylda chce, to on dla niej wszystko... Wszystko.

Czwartego dnia przyjechał Edward Lorenc i powiedział, że on dłużej jak dwa dni bez Lory nie wytrzyma. Dzięki niej poznał co to miłość, piękno, tęsknota, przyjemność (Matylda chłoneła każde jego słowo, upajając się ich pięknem) z budzenia się każdego ranka, z przebywania z ludźmi, z samotności i w ogóle z życia. Co ona sobie w ogóle myśli, żeby zostawiać go na tyle dni po tym wszystkim, co razem przeżyli. Matylda zrobiła tajemniczą minę i wyraziła pogląd, że jeśli Lora w ogó-

le myśli, to na pewno nie o innych ludziach, tylko, niestety, o sobie, ewentualnie o serialu przed siódmą wieczorem albo o balangach w Piekiełku. Edward Lorenc nie miał pojęcia, o czym Matylda mówi. Wyraził tylko nadzieję (Matylda westchnęła - mąż Róży Lorenc wyrażał się jeszcze ładniej niż zwykle), że Lora dłużej niż dwa dni także bez niego nie wytrzyma i tęsknota przywróci mu ją tak szybko, jak to tylko jest możliwe.

Piątego dnia Matylda dowiedziała się w sklepie Tarnawskiej, że Edward Lorenc wyprowadził się do motelu. Jeszcze tego samego dnia widziano go w banku, jak pobiera z konta wszystkie pieniądze, które piętnaście lat temu zarobił na statku u armatora greckiego, gdzie pracował jako konserwator maszyn i gdzie przez nieprzestrzeganie przepisów bezpieczeństwa pracy przez tegoż armatora jakaś część ładunku wnoszona przez marynarzy w porcie w Liverpoolu roztrzaskała mu kolanem. Renta, jaką mu liverpoolski adwokat wywalczył zaraz po tym fakcie, do tej pory wystarczała na wszystkie wydatki Róży (bo jemu naprawdę niewiele było potrzebne do życia), a to, czego nie wydała, leżało w banku, można by powiedzieć: czekało właśnie na taką okazję. Tegoż dnia złożył pozew rozwodowy. W uzasadnieniu podał tylko, że nie może dłużej żyć z kobietą, która przez piętnaście lat nie powiedziała dobrego słowa na temat znanej mu bądź też obcej osoby. Właściwie nie wypowiedziała dobrego słowa na temat niczego. Można by sądzić, że wszystko na tym świecie, oprócz samej Róży, jest złe.

O! zdziwiła się jakaś klientka sklepu Tarnawskiej, to dopiero po piętnastu latach się zorientował? Ale co prawda, to prawda: nikt nie usłyszał dobrego słowa od Róży Lorenc. Mało tego, przez wiele lat jątrzyła tylko i kłóciła ludzi ze sobą. Jest jednak sprawiedliwość na tym świecie. Tę Lore opatrzność chyba zesłała do miasteczka, widać tak miało być. Żeby tylko całkiem nie zdziwaczała na tym odludziu, jak co niektórzy.



Szóstego dnia Lora wróciła na Wzgórze z dwiema torbami ciuchów i walizką butów. Matylda powiedziała jej, że był mąż Róży Lorenc i powiedział to, co powiedział.

-I czeka na ciebie w motelu - dodała w nadziei, że Lora nie rozpakuje swoich toreb, tylko razem z nimi poleci do Edwarda. Róża po raz drugi, tyle że nauczona doświadczeniem tym razem skutecznie podpalił motel, uratuje w ostatniej chwili Edwarda (Matylda nie miała powodu, żeby życzyć mężowi Róży Lorenc śmierci), a Lora spłonie ze swoimi ciuchami i butami; to byłoby najlepsze wyjście.

Lora, wykładając na podłogę bluzki i spódnice z toreb (Matylda nigdy nie widziała tylu bluzek i spódnic, nawet w butik przy sklepie Tarnawskiej tyle nie ma), mruknęła enigmatycznie:

- Ach, Edward... - i dodała w roztargnieniu: - A co on robi sam w motelu?

- Mieszka.

- Wyprowadził się od Róży? Matylda kiwnęła głową.

- Wiedziałaś - powiedziała Lora.

- Że się wyprowadzi?

- Że ma charakter.

- Rzeczywiście - mruknęła Matylda, ale Lora jej nie słuchała.

- Wiesz, jakie to dla mnie ważne? - Lora znieruchomiała nagle nad rzeczami wyjętymi z toreb. - Żaden facet, z którym dotąd byłam i dla którego gotowa byłam wiele poświęcić, nie miał charakteru. Za grosz.

- No to leć do niego - warknęła Matylda - bo pewnie tylko na to czekasz. Tylko nie zostawiaj mi tych łachów na podłodze, nie będę sprzątać. Szafa Mateusza jest pusta, o tam.

Lora posłusznie zebrała wszystko z podłogi i otworzyła na oścież starą szafę ze skrzypiącymi drzwiami. Stojąc przed nią,

omiotła wzrokiem jej pustkę, upuściła wszystko na podłogę i zapłakała. Je, płacz był cichy, żalospny i powoli przeszedł w łkanie Matylda słyszała, jak niektórzy ludzie płaczą, ale prędzej by się spodziewała, że zapłacze stołek przy oknie w kuchni niż Lora.

- Czego ryczysz? - spróbowała być miła.

Lora łkała coraz głośniej i nie mogła się powstrzymać. Włożyła rękę do szafy i przeciągnęła nią po zakurzonej półce

- Za... zawsze miał tu taki bałagan - wyłkała. Matylda wzruszyła ramionami.

- Co ty powiesz.

- Wszy... wszystko było powywracane, żeby nie wiem ile razy układała... - zawyła Lora i uspokoiła się, a potem wyłkała: - Mateusz nie żyje...

Matylda chwyciła się za głowę.

- Poważnie? - spróbowała zakpić, ale jakoś jej to nie wyszło Podeszła do Lory, schyliła się, zaczęła podnosić jej rzeczy i układać je w szafie. - Nie żyje, do diabła, jakbym tego nie wiedziała. Jakbym nie siedziała przy nim miesiącami, jak umierał, i nie układała go w trumnie. Wielką nowinę mi powiedziałaś! Przyjechałaś z Warszawy i nagle dotarło do ciebie że on umarł. Co, pisali o tym w gazetach? Przeczytałaś i uwierzyłaś?

Lora pokręciła tylko głową, nie wiadomo, czy na tak, czy na nie. Otarła łzy i wreszcie się uspokoiła.

- Nie wpychaj mi tego tak byle jak, kretynko. Sama sobie poukładam, bez twojej pomocy. Przynieś mi ścierkę, trzeba najpierw wytrzeć ten kurz. Matylda wyrzuciła wszystko jak leci na podłogę i wychodząc z domu, powiedziała:

- Sama sobie przynieś! Chociaż to jedno zrób sama! Wytrzyj po mężu kurze!

Po jakimś czasie dotarło do Lory, że odkąd wróciła, Matylda nie ignoruje jej już w tak dotkliwie obojętny sposób, jak to robiła od swego powrotu o północy z randki z weterynarzem. Często odzywała się do niej z nieukrywaną złością, ale złość była lepsza od obojętności. Wszystko było lepsze od obojętności. Kiedy Lora wychylała się przez okno w kuchni i mówiła, że kolacja już od dawna stoi na stole, Matylda, krzątając się przy zwierzętach, warczała, że zaraz, zdąży, zje, kiedy będzie jej się podobać. Warczała na wszystko, co zrobiła albo powiedziała Lora, a jeśli nie warczała, to regularnie, to znaczy dwa razy na dzień, przypominała Lorze ponurym głosem, że Edward Lorenc, jakby chciała wiedzieć, wyprowadził się od żony i cały czas czeka nie wiadomo na co w tym motelu.

- To co - odezwała się w końcu któregoś dnia Lora ze zniecierpliwieniem - chcesz, żebym tam do niego poszła?

- Ja nic nie chcę - odparła Matylda. - Chodzi mi tylko o jakieś minimum konsekwencji...

- Przestań mi chrzanić o konsekwencji! - zareagowała Lora z niespodziewaną złością. - Co cię to w końcu obchodzi?! Co mnie to obchodzi!

- No właśnie - mruknęła cicho Matylda i nie zamierzała dodawać nic więcej w tej sprawie.

Lorę właśnie to najbardziej rozwścieczyło. Kiedy się coś zaczyna, to dobrze by było skończyć. Matylda ma prawdziwy talent do sygnalizowania pewnych spraw i koncentrowania się niemal w tej samej chwili na innych. Tak jak teraz, kiedy wyciągnęła wiaderko z szafki i poszła z nim do krowy, jakby krowa była w tej chwili najważniejsza. Dobrze! Pojedzie tam. Chociażby po to, żeby temu dziwolągowi coś pokazać. Pojechała.

Edward Lorenc odwrócił się od okna, kiedy weszła do jego pokoju i się uśmiechnął. W tym uśmiechu był spokój, który zupełnie zbił Lorę z tropu; nie wiedziała, jak się odezwać. Bała się odezwać.

- Och, Edi... - jęknęła, a on podszedł i położył palec na jej ustach.

Gdyby tak można było zamknąć się w ramionach jedyne prawdziwego mężczyzny, jaki jej się trafił, i zapomnieć o wszystkim. Uciszyć się, zapomnieć o pewnych sprawach, a o innych odwrotnie - bezustannie pamiętać. Tylko jakim prawem ma obarczać jego czyste serce tym wszystkim, co się zdarzyło w jej życiu i tym, co powinno się zdarzyć? Matylda powiedziałaaby, że trzeba było pomyśleć o tym wcześniej.

Wziął ją z tyłu pod ramiona i poprowadził do okna. Stał za nią, lekko wspierając podbródek na jej włosach. Była pewna, że ciągle się uśmiecha.

- Patrz - powiedział. - Ludzie chodzą ulicami, myślą o czymś, coś kombinują... Może są szczęśliwi, może nie.

- Co to ma wspólnego z nami, Edi? - spytała ostrożnie.

- Ma. - Westchnął. - Do tej pory nie miałem o tym zielonego pojęcia. Pół życia spędziłem przy maszynach, drugie pół na strychu, podsycając swoje istnienie niskokalorycznym paliwem. Tylko tyle, żeby przeżyć.

- Przeżyłeś.

- Dla tego widoku z okna. Dla ciebie. - Ale ja...

- Wiem, że nie będę cię miał na zawsze.

- Mogłabym...

- Idź już, Loro. Idź.

Ciągle tuląc ją z tyłu, doprowadził do drzwi i otworzył je przed nią. Lora wyszła.

Nie mogła uwierzyć, że wszystko stało się tak szybko. Właściwie, czy w ogóle coś się stało? Jadąc do niego, cały czas myślała,

co mu powie. Kilka razy zmieniała wersje, kolejność słów, starając się, by jak najmniej go zaboląły, a tymczasem nie powiedziała nic. On wszystko wiedział! Skąd mógł wiedzieć takie rzeczy, jeśli połowę swego życia spędził na strychu? Gdzie, w jaki sposób nauczył się trudnej sztuki wyczucia, zrozumienia i oceny sytuacji, które nie są jasne? Ilu ludzi, z którymi w ciągu swego życia miała do czynienia, posiadało tę rzadką umiejętność?

- A niech to diabli! Niech to wszyscy diabli! - złościła się, wysiadając z auta na Wzgórzu.

Matylda obierała ziemniaki na schodach werandy. Przyjrzała jej się z małym zainteresowaniem, zawiedziona szybkim powrotem. Lora, patrząc w niebo, z ciągle tą samą złością wyrzuciła z siebie:

- Zadowolony jesteś, Mateuszu Borys? Zadowolony?!

- Co chcesz od Mateusza? - ostrożnie odezwała się Matylda, a Lora jakby tylko na to czekała.

- Co ja chcę?! Śmieszne pytanie! Co można chcieć od tego sukinsyna w parę miesięcy po jego śmierci?

- No właśnie. Co chcesz?

- Chcę, żeby smażył się w piekle! To przez niego nie mogę sobie ułożyć życia.

- Nie powinnaś tak mówić...

- Cały czas, odkąd odeszłam stąd z Julią, jest gdzieś przy mnie z tym swoim martwym spojrzeniem, z tym zimnem, którego za cholere nie udało mi się nigdy przebić, żeby nie wiem co robiła.

Zapalając papierosa, weszła na werandę, zwiesiła głowę nad barierką i otoczywszy się ramionami, próbowała powstrzymać drżenie ciała. Z marnym skutkiem.

- Właściwie - mruknęła Matylda - co takiego dla niego zrobiłaś?

Lora odwróciła się gwałtownie w jej stronę.

- Kochałaś go? - zapytała z gniewem.

Matylda milczała, skupiając przez chwilę uwagę na dokładnym wycięciu oczka z obieranego kartofla. Nie patrząc na Lore, zaczęła cicho:

- Przez siedem lat...

- A ja go kochałam! - wybuchła Lora, nie pozwalając Matyldzie po raz któryś z kolei wyliczyć, jak to przez siedem lat gotowała mu, prała i sprzątała po nim, a w czasie choroby siedziała przy nim dzień i noc, nie śpiąc prawie i nie jedząc. - To chyba wystarczy.

Matylda nawet nie próbowała się sprzeciwić. Dla każdego co innego jest ważne: dla Lory miłość, dla niej spokój. Intuicyjnie, a po części też z książek wiedziała, że te dwie rzeczy się wykluczają. Chyba że kocha się, jak ona, Wzgórze i zwierzęta. Wtedy tak, wszystko jest proste. I takie powinno być.

Pod koniec sierpnia rozpadało się tak bardzo, że przez tydzień nic, oprócz deszczu, nie było widać. Przez pierwsze dni Matylda stała przy oknie i patrzyła, jak wszystko ginie w nawałnicy gnanych ogromną siłą wiatru strug wody. Kury kulily się pod szopą, a krowa wyglądała z obory, apatycznie żując siano. Wszystko przesiąkło wilgocią i zewsząd bił przejmujący chłód. Matylda założyła na nogi ocieplane gumowce, na głowę nieprzemakalny płaszcz i wyszła na podwórze rozejrzeć się za czymś do spalania. Każdego innego roku o tej porze pod szopą stały równiutkie stosy polan naszykowane na zimę. Matylda przez całe lato rąbała drewno i układała tam w wolnych chwilach. Nic się nie zmarnowało. Każda, najdrobniejsza gałązka była przycięta na odpowiednią długość i złożona pod dachem. Tego lata nawet jej to do głowy nie przyszło. Za kurni-

kiem leżała kupa mokrych gałęzi i konarów; proszę bardzo, niech Lora się tym ogrzeje, jeśli zdoła. O takich sprawach myśli się wcześniej.

- Jak to nie ma nic do spalenia? - Lora ze zdumienia otworzyła szeroko oczy i niewinnie zatrzepotała długimi rzęsami. - Żartujesz.

- Wszystko jest mokre - mruknęła Matylda, otulając się ramionami.

- To nie mogłaś wcześniej o tym pomyśleć? Pochować coś, przykryć jakąś plandeką...

- Ja? Ja miałam o tym myśleć?

- A kto?

- Siedzisz tu od paru miesięcy.

- No i co z tego?

- To podobno twoje Wzgórze. Załóż coś na te wydekoltowane plecy, wtedy będzie ci cieplej.

Lora, przechadzając się w tę i z powrotem od kuchni do sieni, odruchowo sięgnęła po wiszący na haku płaszcz.

- Zostaw! - powstrzymała ją Matylda. - Mateusz nie pozwalał go ruszać. To po dziadku. Nie wiedziałaś?

- Po jakim dziadku? - zdumiała się Lora, ale zostawiła płaszcz.

- Normalnym - odparła Matylda, dodając z lekką zadumą: - Mateusz był bardzo sentymentalny, kto by pomyślał.

Lora zatrzęsała się na te słowa, po części też i z zimna.

- Klamka u drzwi jest bardziej sentymentalna, niż był Mateusz -

wycedziła przez zęby i pokręciła z niedowierzaniem głową. - Że też tobie przychodzą do głowy podobne bzdury!

Lora była już zbyt zziębnięta, a przez to zła (niczego tak źle nie znosiła jak zimna), żeby dyskusję zakończyć troską Matyldy o jej gołe plecy i bzdurami, wygłaszanymi pod adresem drania, który spała jej życie, więc powiedziała to, co od dawna chciała powiedzieć:

- Do zimy sprzedam w cholerę to Wzgórze! Nie muszę myśleć o drewnie.  
- No więc teraz nie narzekaj - odparła Matylda bez cienia złości. - Pewnie za parę dni się ociepli. Jeszcze nie ma września. - Wzięła z ławy lekki koc, zarzuciła go sobie na ramiona i dodała równie pogodnie: - Ale może też od razu zrobić się ziąb, jak to któregoś roku. Całe lato grzało, grzało, a potem od razu ziąb. Drugiego września albo trzeciego. Pamiętam, bo...  
- Przestań! - przerwała Lora. - Od samego tego gadania kości mi marzną. Idziemy do szopy!

- Do szopy? A po co?

- Po te cholerne koszyki!

Matylda otworzyła usta, żeby natychmiast zaprotestować, ale spojrzała na Lorę i nie powiedziała nic, tylko skinęła głową - grymas na sinych ustach Lory mówił, że jeśli nie koszyki, to cokolwiek, co jest suche i da się spalić, a te warunki spełniały jeszcze tylko meble.

Co tam, machnęła ręką Matylda, w sumie na jedno wychodzi: meble z kuchni, które sama polerowała i malowała lakierem, czy wybrakowane kosze z szopy. Ani jedno, ani drugie nie jest już właściwie jej. Wcześniej czy później i tak ktoś to wszystko spali. Dlaczego nie teraz, nie natychmiast? Dlaczego się tu zjawiaś, Lora?

- To wyciągnijmy chociaż te z tyłu? - szepnęła, kiedy weszły do szopy.

Prawa ściana szopy nie była zavalona kosztami mniej więcej do połowy długości. Wiodło przy niej szerokie na dwa metry przejście aż do tamtego miejsca.

- Po jakiego diabła mamy wyciągać to cholerstwo z tyłu, kiedy można je brać po kolei, jak leci?! - zezłościła się Lora.

- Te z brzegu nie są jeszcze takie złe... Pomyślałam sobie...

- Co ty powiesz?!



- ...że można by je jeszcze przebrać i sprzedać za grosze w miasteczku w dzień targowy tym ze wsi... Wzięliby na kartofle czy warzywa... To tylko kwestia ceny.

- Za diabła nie będę się z tym dziadostwem użerać w dzień targowy. Ale ty jesteś sknera! Wszystkiego ci szkoda. Żeby tylko nic się nie zmarnowało. Mam się za jakieś marne grosze przepychać przez całą szopę i przewracać wszystko do góry nogami? Po co? Po jaką cholere, powiedz mi! - Popatrzyła na Matyldę, na kosze i dodała: - Może i masz rację...

Spojrzały na siebie krótko, po czym już zdecydowanie jedna za drugą poszły do samego końca. Matylda bez namysłu zdjęła kilka koszy i podając je Lorze, mruknęła pod nosem:

- Rzeczywiście, do niczego się to nie nadaje, tylko do spalenia

- a kiedy sięgała po następne, dostrzegła za nimi pustą przestrzeń. Wtedy odwróciła się w stronę Lory gwałtownie i Lora potem wielokrotnie mówiła, że w oczach Matyldy był strach. Jak to dobrze, że poszły wtedy razem, bo Matylda - Lora była tego pewna i wielokrotnie o tym potem mówiła - dałaby nogę, woląc nie wiedzieć. Ale nie Lora! Lora odsunęła Matyldę, szarpnęła kosz, który upadł na ziemię, a za nim reszta, odsłaniając obramowane grubymi palami wejście do tylnej części szopy, gdzie według Matyldy miały być spartaczone, nienadające się do sprzedaży ani niczego innego kosze.

Weszły tam razem. Pomieszczenie wielkości małego pokoju powitało je chłodem hulającego między szparami w deskach wiatru. Lora gwizdnęła przeciągle.

Obie na moment straciły mowę, ale Lora zaraz ją odzyskała:

- Myślałam, że natknęłyśmy się zwyczajnie na jakąś skrytkę tego drania, gdzie cholera wie co niby miałyby chować, bo nigdy nic nie miał... Ale taki metraż! Co to do cholery jest?! -Matylda w tym momencie wzruszyła ramionami. - Matylda, co to do cholery jest?!

Matylda po raz drugi wzruszyła ramionami. Trzymając się za ręce (choć potem Lora wiele razy zaprzeczała, że tak było. Głupia jakaś jesteś, czy co? Po jakiego diabła miałabym cię trzymać za rękę!), weszły dalej. Światła przeciskającego się szparami było niewiele, ale dość, by dojrzeć stół na środku, wygodny fotel przy nim i starą komodę w kącie. Na wszystkich trzech zewnętrznych ścianach stały kosze ustawione do pewnej wysokości. I to kosze mógł dostrzec wścibski obserwator z zewnątrz, a nie dyskretną kryjówkę.

Na środku komody leżał stos równiutko ułożonych katalogów biur podróży.

- Głupia jesteś?! Przez siedem lat żyłaś z tym sukinsynem i chcesz mi powiedzieć, że nic na ten temat nie wiesz?!

- Skąd... skąd mam wiedzieć - jęknęła Matylda. Rozejrzała się dookoła i skuliła w sobie. Po chwili dodała bezradnie: -Przecież ja... nigdy nigdzie nie zaglądałam, nic mnie nie obchodziło... Sprzątnęłam mu tylko pokój, umyłam podłogę i wychodziłam... Po co to wszystko?

Lora zacisnęła usta. Potem wyrzuciła z jadem:

- Oto masz norę wilka. Nie dość mu było, że żył na Wzgórzu z dala od ludzi jak wilk... Musiał sobie jeszcze wymościć norę.

Bezwiednie zaczęły przeglądać katalogi. Bajecznie kolorowe zdjęcia najbardziej egzotycznych miejsc na kuli ziemskiej robiły w tej norze niesamowite wrażenie.

Matyldzie żal ścisnął serce. Biedny, biedny Mateusz. Tu, w tej norze, w samotności przeżywał swoje podróże, zamykał być może oczy i oddawał się marzeniom. Jak Lora może bez mrugnięcia okiem nazywać go zimnym sukinsynem. Czy tacy mają marzenia? Czy po ciężkim dniu monotonnej pracy zimni dranie wchodzą wieczorem do swej kryjówki i zamykają oczy, by w myślach pobyc w najwspanialszych miejscach świata?

Nic o nim nie wiedziała. Przez siedem lat pławiła się w szczęściu, bo on jej dał wymarzone Wzgórze. Sam nie iniał nic. Tylko kolorowe zdjęcia w katalogach biur podróży. Życie jest niesprawiedliwe.

Lora podeszła do komody, gwałtownie wysunęła szufladę. Powiedziała cicho:

- Chcesz się czegoś dowiedzieć o wilku? Matyllda wiedziała już wszystko.
- Nie!
- Ja też nie.

Wrócili do domu, usiadły w kuchni przy oknie i przez pięć minut patrzyły w ścianę naprzeciw. Spoglądały od czasu do czasu na siebie, ale żadna nie odważyła się nic powiedzieć. Potem Lora nagle wstała, zaczęła chodzić w tę i z powrotem, włączyła telewizor, by zaraz go wyłączyć, zapaliła papierosa i zgasiła go prawie natychmiast.

- W końcu jestem dziennikarką, nie? - powiedziała i wyszła z domu.

Matyllda patrzyła przez okno jak kieruje się prosto do szopy. Kiedy znikła w niej, zasunęła kolorowe zasłonki. Zbliżał się wieczór - nie chciała widzieć Mateusza pod szopą, jeśli nawet by się tam zjawił. Nie chciała, żeby patrzył na nią i tłumaczył się wzrokiem. Nie musi. Najchętniej zastawiłaby to wejście, zabiła deskami, zapomniała. Ale Lora musi wiedzieć wszystko.

Lora wróciła po paru minutach. Trzymała coś za sobą i miała niepewną minę. Matyllda pierwszy raz widziała na jej twarzy taką niepewność.

- Znalazłam coś - powiedziała. -Co?

- W szufladzie...

-Co?

- Masz pojęcie? - wyrzuciła Lora z przejęciem. Matyllda zamarła, oczekując najgorszego. - Nic tam nie było.

Matylda parsknęła nerwowo.

- Więc co znalazłaś, jeśli nic nie było?

- Tylko jakąś pieprzoną kartkę.

- Kartkę?!

- Żałosny gnojek. Otwieram tę szufladę, patrzę, a tam nic. Pusto.

Otwieram szafki - pusto. Byłam pewna, że przynajmniej jakieś zdjęcia, adresy panienek... coś w tym stylu. Można by z tego wysmarować niezłą historyjkę, coś w stylu: Podwójne życie mojego męża.

- Twojego męża?

- Nie, twojego.

- Przecież to był twój mąż.

Lora potrząsnęła głową ze zniecierpliwieniem.

- Ale ty jesteś ciemna. Tylko hipotetycznie. Albo dla celów komercyjnych, jak wolisz. Kobieta żyje z facetem z dala od ludzi. On całymi dniami wyplata koszyki, ona prowadzi mu gospodarstwo.

Odprowadza go do drogi, kiedy jedzie je sprzedać, i w samotności

pokornie czeka, aż wróci, a kiedy wraca, znowu bierze się za koszyki, a ona podaje mu w milczeniu obiad... Żyją tak przez wiele lat w spokoju,

ciszy, skromnie, prawie na granicy nędzy... Po jego śmierci kobieta

odkrywa, że drań przez cały czas nieźle się bawił. Jeszcze jakbyś dodała do tego swoje zdjęcie, jak powiedzmy stoisz samotna na drodze i czekasz na jego powrót...

- O czym ty mówisz?

- Ze zdjęciem jest większa kasa.

- W ogóle nie wiem, o czym mówisz - zdenerwowała się Matylda.

- Och, takie rzeczy nieźle się sprzedają. Gorsze pierdoły ludzie przysyłają do redakcji, a ja muszę z tego coś wycisnąć.

- Ale kogo to obchodzi?

- Ludzi.

- Nie wierzę.

- Uwierz. Namiętnie rozczytują się w takich pierdołach. Im gorsza pierdoła, tym większa poczytność.
- Ale po co?
- A skąd mam wiedzieć! Jedni z nudów, inni żeby się dowartościować.
- Po co?
- Dobra, zapomnijmy o tym. Ten sukinsyn zostawił tylko kartkę...
- Nie mów tak o nim.

Lora rzuciła kartkę na stół. Było na niej kilka nazwisk, napisanych jedno pod drugim. Matylda policzyła palcem. Dziewięć. Wszystkie lekko przekreślone ołówkiem, oprócz ostatniego. Lora wpatrywała się w nie z góry.

- Nazwiska jak nazwiska - zaczęła z lekkim zamyśleniem. - Jedne bardziej popularne, inne mniej... Najpierw, jak otworzyłam, to nic, dopiero przy zamykaniu coś zaszeleściło. Wsunęłam rękę pod spód szuflady i wyciągnęłam. Nawet nie można powiedzieć, że była ukryta, po prostu wplątała się między szynę a bok szuflady... Szkoda gadać.

- Ciekawe... ciekawe, co znaczą... Lora odpowiedziała bez zastanowienia:  
- Dla nas dokładnie tyle, ile istnienie ukrytej nory, czyli nic. Choć z pewnością dla niego jedno i drugie coś znaczyło. Chcesz, to sobie łam nad tym głowę. Ja nie mam zamiaru. Wychodzi na to, że był nie tylko zimnym sukinsynem, ale i cholernym dziwakiem. To wszystko.

Matylda obudziła się w środku nocy. Usiadła na łóżku i wbiła wzrok w przeciwległą ścianę. Śniło jej się, że były na niej wypisane nazwiska. Całe kolumny nazwisk. Wycierała je ręką, a one ciągle się tam pojawiały. Nikt jej w tym śnie nie gonił, nikt nie czaił się za drzwiami czy na schodach, a mimo to obu-

dziła się z takim samym strachem, z jakim budziła się z koszmarów w dzieciństwie. Zamknęła oczy i starała się na nowo zasnąć, ale już nie zasnęła.

O świcie coś jej kazało wstać, a potem iść do kuchni. Kręciła się po niej w koło, zachodząc w głowę, w jakim właściwie celu tak się kręci.

Rano narwała aksamitek w ogródku i poszła z nimi na cmentarz. Lora siedziała z papierosem w wiklinowym fotelu na werandzie. Kiedy Matylda przechodziła koło niej, powiedziała:

- Mówiłaś, że od razu zrobi się ziąb, a popatrz jakie słońce. Aż miło.

- Czasami tak bywa - odpowiedziała Matylda. Dopiero teraz Lora zobaczyła w ręku Matyldy aksamitki.

- Chyba mi nie powiesz, że idziesz na cmentarz! Matylda bez słowa zbiegła ze schodów i ścieżką skierowała się prosto do bramy. Lora krzyknęła za nią:

- Jak jesteś głupia, to idź!

Stojąc nad grobem, zwykłym kopcem usypanym z ziemi, cały czas myślała o bajecznie kolorowych katalogach: złotych plażach i pięknych wybrzeżach, na które docierał tylko w marzeniach. Zrobiło jej się żal Mateusza. Serce ścisnęło się tak samo jak tamtego wieczora, kiedy przypadkiem spojrzała w okno i dostrzegła jego schylony kark i smutek w oczach. Niech sobie Lora mówi i myśli co chce na temat tego, co odkryły w szopie. Każdy ma prawo mieć swoją tajemnicę, miejsce, które jest tylko jego, ukrytą komodę, w której może nie być nic, ale mogłoby być w niej wszystko.

Całe życie marzyła o takim miejscu i nikt inny, tylko Mateusz jej je dał. Miała swój pokój na poddaszu i cały dół z kuchnią. I całe Wzgórze, bo wolno jej było robić wszystko to,

co chciała. Mateusz miał swoją szopę i osobny pokój na poddaszu. I nic więcej go nie obchodziło. W kuchennej szafce mogła trzymać węża albo kawałek księżycowej skały - on nigdy tam nie zaglądał. Każdego dnia, jeśli tylko był na Wzgórzu, przemierzał tę samą trasę: schodził rano do kuchni, siadał przy stole, jadł śniadanie, które mu podała, wstawał, wychodził do szopy, potem wracał z szopy, zjadał to, co było na stole, parę chwil spędzał w łazience i szedł do siebie na górę. Teraz wie, że część swego dnia spędzał w „norze”. W porządku. Ona miała swoje pole i łąkę, na której kładła się i była szczęśliwa. Patrzyła w niebo i czuła, że kawałek nieba jest tylko jej. Człowiek powinien mieć kawałek swojego nieba albo ziemi, odrobinę tylko i wyłącznie swojej przestrzeni, i to jego sprawa, czy chce go ukryć przed światem czy nie.

Położyła aksamitki na grobie i powiedziała cicho:

- Lora odebrała mi wszystko. Dłużej tego nie zniosę.

- Nie zniosę tego! Po prostu nie zniosę! - mówiła, wchodząc na podwórko.

Lora zamachała do niej z werandy. Była wyraźnie czymś podekscytowana.

- Mam tego dość! - kontynuowała Matylda. - Chciałabym wreszcie coś wiedzieć! Cokolwiek...

- Czego się tak drzesz? - Lora z rękoma na biodrach odsunęła się, kiedy Matylda z impetem weszła na werandę. - Co znowu chciałabyś wiedzieć? Było zapytać tego drania, miałś na to siedem lat.

Matylda usiadła w wiklinowym fotelu i bezradnie rozejrzała się po podwórku. Tenor wbiegł za nią na werandę, położył głowę na jej kolanach.

- Chcę wiedzieć, co ze mną... - jęknęła Matylda. - Co mam dalej robić...

- Co cię znowu napadło?  
- Nie rozumiesz, że wreszcie chcę coś wiedzieć?  
- Och, na razie się niczym nie przejmuj. - Lora lekceważąco machnęła ręką. - Dostałam do przetłumaczenia z angielskiego format telenoweli. - Matylda posłała jej tępe spojrzenie. - No to, co robiłam wcześniej. Czekałam na to parę miesięcy. Ja tłumaczę jak leci, scenarzyści adaptują na nasze warunki, normalka.  
- No i co z tego?  
- To z tego, że jestem zmuszona pobyc tu jeszcze trochę. Gdzie będę mieć lepsze warunki do pracy? Na razie dwadzieścia cztery odcinki... Masz pojęcie, ile to kasy?  
- Nie mam. I dalej nic nie wiem.  
- Przecież cię nie wyganiam.  
- A potem?  
- A potem rób sobie, co chcesz - rzuciła Lora lekko i w tej samej chwili była myślami już gdzie indziej. - Nigdy tak naprawdę nie zdawałam sobie sprawy z zalet Internetu. Dopiero tu, na tym zadupiu, można to prawdziwie docenić. Siedzę sobie, dostaję robotę... Powiedzmy sobie szczerze: niezłą robotę i nie byle kto może taką robotę dostać. Robię co trzeba i pyk. Jeśli się przyłożę, a scenarzyści nie schrzanią sprawy, dostanę następny pakiet i możesz się wypchać ze swoimi koszykami, sprzedawanymi za marne grosze chłopom na kartofle. A teraz daj mi spokój, muszę się brać do pracy.  
Ostatnią rzeczą, do jakiej Matylda była zdolna, to przeszkadzać Lorze w pracy. W ogóle trudno było jej sobie wyobrazić Lorę przy jakimś konstruktywnym zajęciu, ale wkrótce przekonała się, że nie miała racji. Pragnienie pieniędzy było u niej większe niż lenistwo: Lora od rana do nocy siedziała przy komputerze i przelewała potok słów z języka angielskiego na język polski, dziwiąc się, czemu to podobne głupoty trzeba tłumaczyć z obcego języka, i wydawała szereg poleceń,



które Matylda cierpliwie wykonywała. Przynieś to, zrób tamto, otwórz okno na chwilę, wytrzymać nie można tak duszno. Zamknij okno, bo leci ziąb. Kawę mi zrób, tylko nie taką lurę jak rano. Żeby tak nie umieć zaparzyć porządnej kawy, nie mówiąc o innych rzeczach.

Przez kilka dni, kiedy Lora naprawdę intensywnie pracowała, Matylda czuła się niemalże tak samo, jak podczas ostatnich miesięcy choroby Mateusza. Ledwie weszła do obory, a już słyszała z domu:

- Matylda! Zlituj się, wyprowadź z domu tę cholerną kozę! Już raz zeżarła mi spódnicę, a jak mi jeszcze przegryzie kable od komputera, to nie wiem co zrobić.

Różnica polegała na tym, że Matylda nie rzucała wszystkiego i nie biegła na każde zawołanie Lory, lecz spokojnie zrobiła to, co miała zrobić, i dopiero wtedy wracała do domu.

- Ta koza ma imię - mówiła, wyprowadzając Kreskę. - Tak jak wszystko tutaj. Krowa ma swoje imię, gęś ma swoje imię i nawet kury. Pewnie cię zdziwi, ale pies nie ma na imię Pies.

- Poważnie?

- Zwierzętom należy się szacunek, są od nas lepsze i mają więcej rozumu. Kreska nie jest taka głupia, żeby przegryzać kable, które poniewierają się wszędzie. Można by je jakoś rozsądnie przymocować w jednym miejscu.

- Nie mam teraz czasu na zajmowanie się kablami... Zbierasz łachy do prania? Weź i moje, wiesz, jak jestem zajęta.

Wkrótce Lora otrzymała od producenta pierwszą zaliczkę i podjąwszy ją z banku, skierowała się wprost do butiku obok sklepu Tarnawskiej.

Kupiła sobie kilka rzeczy, bardzo żałując, że Matylda jest taka duża i nic na nią nie pasuje, bo też by jej coś kupiła, na co Matylda mruknęła:

- Obejdzie się.

Potem poszły do sklepu Tarnawskiej i wzbudzając ogólną sensację - nie mniejszą niż wtedy, gdy pojawiły się tam obie po raz pierwszy - zrobiły zakupy. Ale jakie zakupy! Matylda nigdy nie widziała - podobnie połowa ludzi w sklepie - żeby ktoś tyle kupił. Lora niczego sobie nie żałowała. Oparta z wdziękiem o ladę dyrygowała tylko Matyldą. Weź to i to, tamto też. Tamtego badziewia nie ruszaj, no co ty! Nie wiesz, że pewne rzeczy, jeśli nie większość, można zawsze wybrać w lepszym gatunku?

Tarnawska, mimo uszczypliwych komentarzy Lory na temat asortymentu (i w ogóle jak to wszystko wygląda), kłaniała się niemalże w pas i z masochistyczną wręcz pokorą znosiła krytykę.

Na koniec, kiedy na ladzie piętrzyły się stosy towarów w najlepszym - na miarę sklepu Tarnawskiej - gatunku, Lora zrobiła coś, czego nikt jeszcze w tym sklepie i w tym mieście nie zrobił.

- A teraz - powiedziała melodyjnie - proszę mi to wszystko zapakować i zanieść do samochodu. Matylda! - powstrzymała Matyldę skwapliwie pakującą zakupy do toreb. - Idź do samochodu i usiądź sobie w nim wygodnie.

W sklepie na długą chwilę zapadła cisza. Nawet dla Tarnawskiej było tego chyba za wiele, bo posłała Lorze swoje etatowe spojrzenie spode łba, ale kiedy Lora jakby od niechcienia zerknęła na wydruk z kasy z sumą, która większość ludzi w tym sklepie przyprawiła o zawrót głowy, a resztę o cichy jęk, i zaczęła wyjmować z portfela nowiutkie banknoty, Tarnawska otwartą dłonią strzeliła w kark oniemiałego pracownika.

- Pakuj to i zasuwaj, ale to już! - I z uśmiechem do Lory: - Od razu pani płaci?

- Od razu.

Matylda, idąc do wyjścia, mamrotała pod nosem, że po co to wszystko i ile to węgla można byłoby kupić...

- Mój mąż - odezwała się natychmiast słabym głosem jakaś kobieta z tłumy - ma skład...

- Dwie tony na jutro - podchwyciła Lora, zerkając na Matyldę z pytaniem w oczach, czy nie palnęła jakiegoś głupstwa, ale Matylda skinęła lekko głową, więc dodała na koniec: - Na razie, oczywiście.

Matyldzie nie podobało się to wszystko. Ani te rzeczy zakupione w sklepie Tarnawskiej, z połowy których można było spokojnie zrezygnować, ani widowisko, jakie Lora z tej okazji urządziła, ani jej ton. Tylko węgiel jej się podobał.

Z nadąsaną miną wsiadła do samochodu i odwróciła głowę do okna.

- Teraz widzisz - odezwała się Lora z satysfakcją w głosie - co znaczą pieniądze.

- Widzę - mruknęła Matylda. - Dokładnie tyle, ile są warte.

- Trafiłaś w sedno. Bez pieniędzy jesteś nikim.

- A z pieniędzmi kim jesteś? Kimś innym? Innym niż wczoraj albo tydzień temu?

- O co ci chodzi?

- Nie musiałaś urządzać takiego spektaklu.

- Spektaklu! Matko święta, jakich ty słów używasz. Chrzanię spektakl i całą resztę. Kiedy tu byłam dziesięć lat temu, bez grosza przy duszy i otumaniona przez tego sukinsyna, mieli mnie za nic. .

- Kto cię miał za nic wtedy, ma cię i teraz. Z pieniędzmi czy bez.

- I kto to mówi! - Lora zatrzęsała się ze złości. - Jak myślisz, dlaczego przez siedem lat nikt ci nie powiedział, że ten drań gdzieś daleko ma żonę i dziecko?

- Nigdy nie pytałam.

- Mimo to mogli ci powiedzieć. Powiedzieliby, gdybyś cos dla nich znaczyła, gdyby widzieli, że jesteś kimś. Byłaś dla nich nikim. Nie chciało im się nawet ust otwierać, żeby cię

uświadomić. Mateusz przywiózł cię tu zamiast psa, tak cię traktował i oni tak to przyjęli.

Matylda, nie odwracając głowy od bocznej szyby, powiedziała cicho:

- Dałabym wiele, żeby tak było nadal. Żebyś nigdy tu nie przyjechała, nigdy się nie urodziła. Dokąd jedziesz?

- Na stację benzynową.

- Minęliśmy stację benzynową.

- Mam pieniądze i chcę zatankować porządne paliwo na porządnej stacji przy autostradzie, a nie w tej zapyziałej dziurze, gdzie nie wiadomo na czym jeździsz, cholera. Ostatnio taką forszę miałam trzy lata temu, kiedy po raz pierwszy dali mi serial do tłumaczenia. Niestety, serial zdechł po dwudziestu paru odcinkach, a ja swoją forszę lekko puściłam z jakimś facetem - wyrzuciła jednym tchem Lora i po chwili dodała bez emocji: - Nawet nie pamiętam, jak miał na imię.

Kiedy dojeżdżały do stacji, oddalonej od miasta dobre dziesięć kilometrów, Matylda odwróciła wreszcie głowę od bocznej szyby i powiedziała:

- Ja pamiętam imiona wszystkich ludzi, z którymi miałam kiedykolwiek do czynienia.

- Tylko że nikt nie pamięta ciebie - mruknęła Lora i zatrzymała auto przy dystrybutorze.

Lejąc paliwo, nuciła coś pod nosem, popatrując na podjeżdżające i odjeżdżające samochody, z których żaden - dałaby głowę - nie wjedzie do miasteczka, tylko ominie je z daleka. Tęsknym wzrokiem omiotła auta wyjeżdżające wprost na autostradę, w inny świat.

Parę dni później zjawił się na Wzgórzu pierwszy klient. Lora, wyraźnie podekscytowana, kazała Matyldzie zrobić kawę (tylko nie taką lurę jak zwykle) i przyjęła gościa w saloniku. Ma-

tylda kazała Lorze się wypchać i poszła karmić kury, choć przed chwilą je karmiła.

Lora przez pół godziny omawiała z klientem warunki i dobijała targu, zachwalając jedyne w swym rodzaju walory Wzgórza, z czym mężczyzna całkowicie się zgadzał, a na końcu powiedziała:

- Tylko wie pan... Sprawa jest na razie nieaktualna. Mężczyzna nawet się nie zdenerwował, tylko zdumiał lekko.

- Widzi pan, mam akurat pracę, której w Warszawie za żadne skarby nie wykonam jak należy. Moja towarzyska natura mi po prostu na to nie pozwoli, oględnie mówiąc. A tu... sam pan widzi.

- Mnie też się, oględnie mówiąc, nie pali. Wolałbym raczej na wiosnę...

- Na wiosnę! - wykrzyknęła Lora. - Nie sądzę, żebym tu miała siedzieć do wiosny... - przerwała na widok Matyldy wchodzącej w umazanych obornikiem buciorach do kuchni. - Ale tak w grudniu... Myślę, że w grudniu moglibyśmy ostatecznie...

- Przed świętami czy po? - wpadł jej w słowo mężczyzna.

- Zdecydowanie przed. Nie wiem, jaka siła miałaby mnie tu zatrzymać na święta - wyrzuciła z siebie niemal z obrzydzeniem i natychmiast reflektując się, jak może to być przez klienta odebrane, dodała: - Samotne święta! Z moją towarzyską naturą, no wie pan!

- Przez moment nie przyszło mi to do głowy.

Potem było jeszcze paru klientów, ale Lora nawet nie bardzo chciała z nimi rozmawiać. Ten pierwszy, uznała, wyglądał najrzetelniej, chociaż nie miała pojęcia, na czym swój sąd oparła.

- Po prostu intuicja. Wiem coś o tym - tłumaczyła Matyldzie, którą ten temat interesował o tyle, że był dla niej bolesny.

- A może lenistwo... - zastanowiła się Lora przez chwilę, ściągając usta. - Nawet nie chce mi się z tymi ludźmi gadać.

- Pewnie to drugie - rzuciła Matylda zaczepnie, ale Lorze nie chciało się kłócić.

Na razie Lora zdecydowanie odłożyła sprzedaż domu na plan dalszy, uznając, że nie będzie z tym żadnego problemu; całą uwagę skupiła na tłumaczeniach.

Po pierwszej partii otrzymała pocztą elektroniczną następną. W pierwszej chwili wpadła w panikę - jeszcze nigdy w życiu tak intensywnie nie pracowała. Potem przyszła pora na dumę i samouwielbienie.

- Co to znaczy znać dobrze język! Co to znaczy znać dobrze język i mieć lekką rękę do pisania! Ha! To w tym fachu wiele znaczy. Jestem w tym dobra i oni o tym wiedzą. Ci scenarzyści dostają do łapy prawie gotowy materiał. Mniej przeróbek, szybsze tempo, więcej odcinków... Co ja zrobię z tymi pieniędzmi?!

- Możesz kupić węgiel - doradziła Matylda od niechcienia.

- Węgiel?! A co zrobiłaś z tymi dwoma tonami, które...

- Spaliłam. Co to jest dwie tony?

- Dwie tony to dwie tony!

- Chcesz mieć ciepło?

- Co za pytanie! Do dwunastej w nocy siedzę przy komputerze!

- To kup węgiel!

Lora miała gest: kilka ton węgla znalazło się w szopie w ciągu tygodnia, dokładnie w tym samym dniu, w którym wróciło lato. Lora kazała ludziom, którzy go przywieźli, umieścić opał w szopie i wszystko wysprzątać. Tak, żeby nie było śladu! Oczywiście za dodatkową opłatą, co Matylda uznała za zbyt dużą ekstrawagancję - sama mogłaby wszystko uprzątać.

- Są ludzie do pewnych prac i pieniądze, żeby im za okre-

ślone prace płacić - Lora na to. - Idź rób pierogi, jeśli już tak bardzo brakuje ci zajęcia.

Wysypując na stolnicę ostatnie kilo mąki, Matylda mruknęła pod nosem, że skoro już Lora otworzyła portfel i lekką ręką płaci ciężkie pieniądze za zrobienie porządku na podwórku, to może by tak pojechać do sklepu Tarnawskiej i zrobić jakieś większe zapasy, żeby nie trzeba było biegać po to czy tamto co parę dni...

- Ty i te twoje zapasy! - skrzywiła się Lora. - Dobra, zrobimy te cholerne zapasy i nie zawracaj mi głowy przez parę tygodni.

W sklepie Tarnawskiej, podczas gdy Matylda wynosiła pudła ze sprawunkami do samochodu, a Lora ze zde gustowaną miną, oparta o ladę, czekała, by wreszcie za wszystko zapłacić, kilka pań stale okupujących, z braku innego zajęcia, wolne przestrzenie sklepu, niby od niechcenia zaczęło rozmawiać o Edwardzie Lorencu. Lora nie musiała specjalnie nadstawiać uszu, by się dowiedzieć, że świat staje na głowie (wielka mi nowina!), stateczni mężczyźni w sile wieku opuszczają swoje żony, wynajmują pokoje w hotelach i szukają zajęcia w warsztacie samochodowym. W warsztacie samochodowym! Co za degradacja dla człowieka, który przez tyle lat bez żadnego wysiłku pobierał zasłużoną rentę od zagranicznego armatora. No ale niestety, za pewne życiowe potknięcia trzeba słono płacić.

- Ed pracuje w warsztacie samochodowym? - nie wytrzymała Lora. Przedłużające się milczenie słusznie odebrała za potwierdzenie i parsknęła śmiechem.

- Właściwy człowiek na właściwym miejscu. Kto to słyszał, żeby facet w sile wieku spędzał pół życia na strychu, wymyślając takie pierdoły jak deska ułatwiająca prasowanie koszul.

- O! - ktoś ośmielił się stanąć w obronie przedmiotu. - Deska do prasowania Lorenca zrobiła w Kamieniu prawdziwą furorę.

- Tylko co on z tego miał - zakończyła sceptycznie Lora. - Matylda, jeśli już wyniosłaś w tych pudłach połowę sklepu, to pakuj tyłek do samochodu. Nie chce mi się tu już, cholera, sterczeć.

Tarnawska w tym momencie poczuła się lekko urażona.

- O przepraszam, towaru w moim sklepie pod dostatkiem, nawet śladu nie ma, że coś ubyło. - Pazernie chwyciła podane ze zniecierpliwieniem pieniądze i wymuszając uśmiech, dodała: - Mimo wszystko, zapraszam.

- Gdyby to ode mnie zależało - odwzajemniła cierpki uśmiech Lora - nadłożyłabym trzydzieści kilometrów do najbliższego supermarketu, ale Matylda boi się tego cholerstwa jak diabeł święconej wody. Żegnam. Lora nie byłaby sobą, gdyby ostatnie słowo nie należało do niej.

Komentarze po jej wyjściu niewiele ją obchodziły.

- Po to mają jężory, żeby nimi mieć - mruknęła w samochodzie do Matyldy. - Mam nadzieję, że nakupiłaś wszystkiego tyle, żebym nie musiała do tego durnego sklepu przez jakiś czas zaglądać.

- O tak - odpowiedziała Matylda z zadowoleniem.

- Jesteśmy zabezpieczone na wypadek wojny, prawda?

- Do samej zimy - piała z zachwytu Matylda, co nie zdarzało jej się zbyt często. Popatrzyła na Lorę z nieukrywanym podziwem. - Parę tygodni temu nie dałabym wiary, że potrafisz zarobić taką forszę.

- Co to za forsa - wydeła pogardliwie wargi Lora. Niemniej widać było, że uznanie Matyldy sprawiło jej radość.

Kilka tygodni później Lora była bez grosza.

- Miałam nosa - mruknęła Matylda, wychodząc w upakowanych obornikiem gumiakach z obory z wieczornym udojem - robiąc te zapasy.



Na podwórku zatrzymała się taksówka, z której wygramoliła się Lora i chwając się, pogrzebała chwilę w torebce, po czym zawołała:

- Matylda, zostaw to cholerne mleko, przecież nie możemy go przejeść, i przynieś kasę z pudełka, trzeba zapłacić za taksówkę.

- Pudełko jest puste! - odkrzyknęła Matylda.

- Tak? To może mi powiesz, co się stało z forszą, która tam była.

- Powiem ci: przejechałaś i przejeżdżałaś taksówkami przez ostatnie trzy tygodnie. Powiem ci jeszcze, że rano odebrałam e-mail, w którym dziękują ci za współpracę, ale nie mogą sobie pozwolić na takie opóźnienia. I tak byli dość cierpliwi...

- Nauczyłaś się odbierać pocztę?! - wykrzyknęła Lora, zerkając na lekko zniecierpliwionego taksówkarza.

- Och, przestań, Lora! Nauczyłam się odbierać pocztę, kiedy ty, zamoczona alkoholem, nie byłaś w stanie tego zrobić.

- Kiedy to było? - zapytała Lora ze szczerym zainteresowaniem.

- Trzy tygodnie temu. Kiedy pierwszy raz wróciłaś po tak długiej przerwie pijana.

- Zaraz pijana!

- Przepraszam - wtrącił nieśmiało taksówkarz - ale czy to jest w tej chwili najistotniejsze?

- Zdziwi się pan, ale tak - odparła Lora. - Powiedz mi, moja droga, co ci dranie jeszcze napisali w mailu?

- Że zawieszają automatycznie kolejne raty za ostatni pakiet...

- Skurczybyki! Tyle się dla nich napracowałam.

- Czy mogłaby mi pani zapłacić za kurs? - coraz śmielej upominał się o swoje taksówkarz.

W jednej chwili gdzieś znikła pewność siebie Lory. Przez chwilę szukała jeszcze czegoś bezradnie w torebce, klnąc cicho pod nosem.

- Mogłabym, tylko że widzi pan...

- W porządku! - przerwała to upokarzające widowisko Matylda. - Zaraz przyniosę z tych, co miały być na światło.

- Widzi pan. - Lora z miejsca odzyskała pewność siebie i tupet. - Miała odłożone na światło, kretynka! Chyba bym bez niej zginęła.

- Coś mi się widzi, że tak - zgodził się taksówkarz.

Matylda bez słowa zapłaciła taksówkarzowi za kurs, potem przecedziła mleko i dopiero na końcu podeszła do wspartej na pieńku do zarzynania kur Lory i wprowadziła ją do domu.

Nigdy nie prawiała Lorze kazań, bo niby z jakiej racji miałyby to robić, ale tym razem nie mogła się powstrzymać.

- Do tej pory byłam pewna, że są granice, których człowiek w żaden sposób nie jest w stanie przekroczyć.

- Naaa... aaa... przykład prędkość światła? - spróbowała zgadnąć Lora.

-1 możliwość wydania określonej kwoty pieniędzy w określonym czasie.

- Daruj, ale co to za pieniądze?

- Dla mnie to był majątek.

- Dla ciebie sto złotych to majątek.

- W pewnych okolicznościach tak.

- W jakich okolicznościach, cholera! Sto złotych to sto złotych.

- Dla człowieka, który od trzech dni nie jadł...

- Och, teraz to już zaczynasz truć. Daj mi spokój i przestań się czepiać.

Łatwo przyszło, łatwo poszło.

- Rzeczywiście, chciałam tylko wyrazić swoje zdanie, nic mnie to więcej nie obchodzi.

- No i tak powinno być. Jest coś do jedzenia? Zdaje się, że wytrzeźwiałam od tej twojej drętwej gadki, zaraz zwymiotuję.

- Jest coś do jedzenia. Dzięki Bogu do samej zimy głód nam nie grozi.

- Głupia jesteś? Do zimy zapomnę, że tu w ogóle byłam.

Na Matyldzie pogrożki Lory o rychłym opuszczeniu Wzgórza przestały robić wrażenie. Do wszystkiego trzeba się w końcu przyzwyczaić. Do tego, co nieuniknione, tym bardziej.

Wieczorem, po raz pierwszy od dłuższego czasu, usiadła przy oknie w kuchni. Mateusz już był. Zdawał się umęczony tak długim niebytem; uniósł twarz znad kosza, ale nie popatrzył jej w oczy, tylko zawiesił spojrzenie gdzieś w oddali.

- Na początku nie rozumiałam, jak mogłeś ją opuścić z małym dzieckiem

- zaczęła mówić do Mateusza - ale coraz mniej mnie to dziwi. Ona, ta twoja żona, potrafi zniszczyć wszystko.

Z absolutną obojętnością wrócił spojrzeniem z oddali i pochylił kark.

Matylda mówiła dalej. O tym, jak Lora pewnego dnia zostawiła tłumaczenia i pojechała do stolicy „przewietrzyć umysł”. Rzeczywiście, lepiej nie da się tego ująć. Lora zdaje się ma szczęście do poznawania facetów „na całe życie” w najgorszych dla siebie momentach, czyli wtedy, kiedy jest przy forsie. Skąd się właściwie tacy biorą? No tak, kiedy się nie zna życia, jak Matylda, łatwo się dziwić - tacy pewnie byli, są i będą zawsze, jeśli tylko będą tak naiwne kobiety jak Lora. Ale czy Lora na pewno jest naiwna? Czy może jest zwyczajnie masochistką i sprawia jej przyjemność upokarzanie siebie - bo jak to inaczej nazwać. W każdej innej sytuacji potrafi zadbać o swoje i o swoje walczyć. Umie być bezczelna, nawet nieobliczalna. Gdzie to wszystko się podziewa, kiedy Lora Borys spotyka na swojej drodze mężczyznę?

Matylda wiedziała, że kolejny wypad Lory źle się skończy już pierwszego dnia. Lora zadzwoniła wieczorem, a w jej głosie był jeden wielki entuzjizm. No tak, pomyślała Matylda,

trudno jej się dziwić, wróciła do swego świata i nie może się nim nacieszyć.

- Nakupiłam matce i Julii wszystkiego... Zabrałam Julię do zoo...

- To wspaniale - pochwaliła Matylda. Matka powinna zabierać swoje dziecko do zoo lub gdziekolwiek. Lora mimo wszystko nie jest złą matką. Dalsze słowa Lory pozbawiły ją złudzeń.

- Ale wiesz... matka już na drugi dzień zaczęła mnie wkurzać. Nie wiem, o co jej chodzi. A Julia... już w zoo zaczęła swoje. Chyba się ode mnie odzwyczaiła... - Zawiesiła na chwilę głos, po czym zapięła z entuzjazmem: - Nie dasz wiary, jakiego faceta poznałam wczoraj!

- Znowu?

- Co znowu? Nie zrzedź jak moja matka. Chyba już mam dość lat i oleju w głowie, żeby wiedzieć, w co się pakować, a w co nie.

Matylda nie była tego taka pewna. Za każdym razem, kiedy Lora wracała po świeże ciuchy i odrobinę energii w postaci rosołu z kury, starała się jeszcze coś dla niej uratować, przypominając o tłumaczeniach, które trzeba odebrać i coś z nimi zrobić.

- Odbierz, widziałas tyle razy, jak to robię. Jutro się za to wezmę. Jak wrócę z Warszawy, muszę wpaść jeszcze na chwilę...

Wracała pijana i musiała wytrzeźwieć. A kiedy wytrzeźwiała, znowu ją niosło. Aż do tego dnia, kiedy nie miała już czym zapłacić za taksówkę.

- Teraz będzie dochodzić przez parę dni do siebie - mówiła Matylda do pochylonego nad koszem Mateusza - a potem wpadnie w depresję.

Dobrze wiem, że trudno było kochać kogoś takiego jak Lora.

Odeszła od okna, nakryła Lorę kocem, a potem poszła dołożyć do pieca. Jest, jaka jest, ale nie musi marznąć. Zwłaszcza

w takim stanie. Niech sobie śpi, dochodzi do siebie... Właściwie Matyldzie taki stan Lory w niczym nie przeszkadzał. Przynajmniej nie kręciła się po domu, zostawiając wszędzie za sobą bałagan i nie planowała, co zrobi z pieniędzmi ze sprzedaży Wzgórza.

Po paru dniach Lora rzeczywiście doszła do siebie, ale tym razem zachowywała się inaczej niż zwykle. Żadnej depresji, żadnych rojeń i zawodzenia nad swoim przeklętym losem. Tylko cisza. Matylda nawet nie zauważyła, jak któregoś dnia wstała i zaczęła chodzić po kuchni.

Dopiero, gdy usłyszała wypowiedziane słabym i zachrypniętym głosem: „Zrobić ci też herbaty?”, oderwała oczy od łąty przyszywanej na flanelową koszulę i zobaczyła Lorę zapalającą gaz pod czajnikiem. Do końca dnia nie wspomniała słowem o tym, co się stało. Ani następnego dnia, ani następnego. No, nic dziwnego - pomyślała Matylda - kiedy się przeżuła tyle forsy, lepiej tego nie roztrząsać. Rzeczywiście, Lora jednym słowem nie uzalała się nad sobą ani nad własną głupotą. Tylko Matylda pewnego dnia wpadła w złość, tak na wszelki wypadek, żeby Lora nie myślała sobie, że wszystko do końca życia będzie jej uchodzić na sucho:

- Z tobą to nigdy nie wiadomo, czy zrobisz tak, czy siak. Mam już tego dosyć.

Lora podniosła na Matyldę zdziwiony wzrok znad miski z ryżem na mleku.

- O co ci właściwie chodzi?

- O nic - warknęła Matylda. - Jesz, to jedz i mnie więcej nie denerwuj.

Parę dni po Święcie Zmarłych (Lora nawet w tym dniu nie wybrała się na cmentarz) przyszła na Wzgórze Róża Lorenc. Matylda i Lora zdębiały.

Róża zrobiła dwa kroki ku środkowi

saloniku, mruknęła pod nosem „dzień dobry”. Podczas kiedy Lora zastanawiała się, czy zapaść się pod ziemię, czy nie - jakoś tak dziwnie było stać twarzą w twarz z żoną Ediego -Matylda od razy się zorientowała, że Róża nie ma wrogich zamiarów. Wręcz odwrotnie: była jakaś taka skruszona, o wiele mniejsza niż zwykle, a z jej oczu wycierał przejmujący smutek. Po kilku chrząknięciach odezwała się do Lory:

- Przyszłam do ciebie, bo... żeby cię o coś poprosić.

- Mnie?!

- Ciebie.

- Przecież... Ja... W końcu nic mnie już z twoim mężem...

- Już mi o tamto wcale nie chodzi - przerwała dukanie Lory Róża.

- To o co ci chodzi, bo nie wiem.

Róża zrobiła jeszcze dwa kroki w głąb saloniku. Matylda grzecznie wskazała jej ręką kanapę. Róża usiadła.

- Jak dobrze wiecie - zaczęła już pewniej - Edward zwariował...

Lora wydała z siebie jakiś niewyraźny pomruk, Matylda z grzeczności przytaknęła.

- Zwariował! - powtórzyła Róża z głębokim przekonaniem i zwróciła się do Lory: - Proszę cię, żebyś go sprowadziła do domu.

- Ja?! Chyba żartujesz!

- Tylko ciebie posłucha.

- Skąd wiesz?

- Nie wiem. Tak czuję.

Zapadło długie milczenie. Lora chyba po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, co powiedzieć. Jednocześnie bała się w ogóle odezwać, czując, że ma przed sobą chorą umysłową kobietę i każde słowo może wywołać w niej niespodziewane reakcje. Nikt zdrowy na umyśle nie przychodzi do byłej kochanki swego męża i nie prosi o takie rzeczy.

- Zgódź się - prosiła Róża. - Byliśmy szczęśliwym małżeństwem... Jestem pewna, że jeśli ostatecznie dasz mu do zrozumienia, że z twojej strony sprawa jest skończona, wróci do domu i będzie jak dawniej.

- Róża... ja już mu to dałam do zrozumienia i wydaje mi się, że on to rozumiał.

- Jemu trzeba wszystko kilka razy... Wiesz, jaki jest roztargniony.

- Chyba nie aż tak...

- Nie znasz go tak dobrze jak ja. Proszę cię...

- Zgódź się - wtrąciła Matylda. Lora straciła cierpliwość.

- Och, dajcie mi święty spokój, głowa mnie boli, pić mi się chce... W ogóle jestem do niczego. Jak sobie to wyobrażacie? Pójdę do niego i co? Matylda miała gotową odpowiedź:

- I powiesz mu, że takie życie nie ma sensu. Dom to dom. Nic nie zastąpi domu.

- Otóż to! - podchwyciła Róża. - Nawet Matylda czasem powie coś mądrego.

Lora ze złością spojrzała na Różę Lorenc, ale Matylda powstrzymała ją, ściskając za łokieć.

- Zrobię to! - wrzasnęła Lora po wyjściu Róży. - Zrobię to, bo szkoda mi Róży i jej bezbarwnego życia. Szkoda mi także Edwarda, który w niczym nie zawinił. Rzeczywiście, po jaką cholere ma siedzieć po tylu latach wygodnego życia w jakimś pieprzonym warsztacie samochodowym i wcinać na obiad nieświeże pierogi z garmażerki z naprzeciwka. Zrobię to - dodała na koniec cicho. - Ale nie masz pojęcia, ile mnie to będzie kosztować.

- Tyle co dojazd w tę i z powrotem - powiedziała Matylda ze stoickim spokojem i wyszła z domu.

Nie miała racji. Żadnego innego mężczyzny Lora nie traktowała tak jak Edwarda Lorenca. Żaden inny mężczyzna nie traktował jej tak jak on. Było w ich krótkim związku coś niedokończonego. Coś, co urwało się wraz z wyjściem z pokoju hotelowego Lory. Związek, o jakim marzyła przez całe życie, tuląc się w obce ramiona obcych mężczyzn i zdając sobie od samego początku sprawę, że tak naprawdę żaden z nich nie jest facetem na całe życie, zakończył się właściwie bez słów, w jednej krótkiej chwili, kiedy to Edward odwrócił się od okna i powiedział: „Wiem... On wiedział! Przenosząc się z zacisznego strychu do zateńłego pokoju hotelowego, postawił wszystko na jedną kartę. Ile dni czekał na nią? Ile razy przemierzył pokój od drzwi do okna i z powrotem? Ile pytań sobie zadał? Jakich ona udzieliła odpowiedzi? Żadnych. Ale on wiedział. Niełatwo było teraz stanąć przed Edwardem Lorenцем i powiedzieć mu: Wróc do żony.

O tej porze mógł być tylko w warsztacie. Całe dni tam teraz spędzał, jak kiedyś na strychu. Dwa inne warsztaty samochodowe w Kamieniu zbankrutowały z tego powodu w ciągu zaledwie miesiąca od dnia, w którym rozpoczął pracę w nowym zawodzie. Edward miał nieprawdopodobny talent do mechaniki, wszystko robił solidnie i na wczoraj. Nikt zdrowy na umyśle nie prowadził odtąd swego chorego auta do konkurencji, gdzie całymi dniami trzeba było czekać na naprawę i nigdy nie miało się pewności, jak długo auto pojeździ. Tu było inaczej. Edward patrzył krótko w przerażone oczy właściciela auta, który za dwie godziny miał odebrać towar w hurtowni, potem zaglądał pod maskę i mówił: „Spokojnie, to tylko drobna usterka”. Jedyne braki części zamiennych mógł powodować jakiekolwiek opóźnienia. Kiedy jednak szef zorientował się, jakiego ma pracownika i ile pieniędzy dzięki niemu wyjmuje co wieczór z kasy, zadbał, by wszystko było na miej-



scu. Wszyscy byli szczęśliwi: szef, bo interes się niewiarygodnie rozwijał, klienci, bo ich samochody były naprawiane szybko i solidnie, i Edward Lorenc, bo miał zajęcie, jakie lubił. Koncentracja uwagi na wymianie klocków hamulcowych czy zakładaniu nowych świec oddalała myśli od Lory, której pozwolił odejść. I tak całymi dniami marzył o dotyku jej skóry i jej zapachu...

Znieruchomiał nagle pod autem, bo w mieszaniu olejów, smaru i brudu wyczuł coś subtelnego, kobiecego, ale jedyne w swoim rodzaju.

Wysunął się spod auta w jednej chwili. Nad nim stała Lora. Bardziej zakłopotany jej niespodziewaną obecnością niż własnym wyglądem, mruknął coś na powitanie, a potem, wycierając niezdarnie ręce w jakąś szmatę, z pochyloną głową wysłuchał słów Lory, bo Lora od razu przeszła do rzeczy. Jego odpowiedź była krótka:

- Nie mogę wrócić do żony, bo ciebie kocham. Powiedział to tak lekko, bez najmniejszego zastanowienia

czy nutki melodramatyzmu w głosie, tak prawdziwie, że Lorę na moment zatkało. Dopiero po chwili jęknęła:

- Ale jak... Jak możesz mnie kochać? Wiesz, jaka jestem!

- Wiem, jaka jesteś.

-Zepsuta trzydziestopięcioletnia kobieta z przeszłością, za to bez przyszłości. Nie ma we mnie nic dobrego, nic godnego szacunku... Nic wartego uwagi takiego mężczyzny, jakim ty jesteś...

- No i po co tak o sobie mówić.

- Bo taka właśnie jestem! - krzyknęła Lora.

- A ja ciebie właśnie taką kocham! - krzyknął Edward. Chyba po raz pierwszy w życiu podniósł głos.

Popatrzyli na siebie. Lora zakręciła się na pięcie i wyszła. Edward Lorenc stał przez chwilę i patrzył na drzwi, a potem wsunął się pod samochód.

Prosił Boga o klienta z rozwaloną skrzynią biegów na to popołudnie.

- Nic z tego - powiedziała Lora, kiedy tylko wróciła do domu.
- Nie wróci do niej?
- Ani mu to w głowie.
- Widzisz, coś narobiła?

Dezaprobatą w głosie Matyldy tylko rozdrażniła Lorę.

- Myślisz, że zrobiłam to specjalnie?!
- Na pewno świadomie.
- Co ma tu do rzeczy świadomość, nie chrzań! Powiedział, że mnie kocha. Matyldzie, wydłubującej przy stole fasolę ze strąków, oczy zabłyśły czujnie.

- Jak to powiedział? - spytała, wstrzymując oddech.
- Normalnie. - Lora machnęła lekceważąco ręką. - Jak miał powiedzieć... Zaraz, jak on to powiedział... Mam! „Nie mogę wrócić do żony, bo ciebie kocham”.

Matylda rzuciła fasolę, lekko uderzyła ręką o blat stołu.

- Jak pięknie - jęknęła z zachwytem. - On zawsze tak pięknie mówi. Lora stuknęła się w czoło. Usiadła pod ścianą i z naburmuszoną miną zaczęła obgryzać paznokcie.

- No i masz! - odezwała się po chwili. - Całe życie uganiem się za facetami, naiwnie wierząc, że jakiś lepszy egzemplarz obdarzy mnie choćby cieniem uczucia, przygarnie, zaopiekuje się, zwiąże z moim swoje życie. Gównu! - wyrzuciła ostatnie słowo z pasją. - Każdy patrzył, żeby mnie tylko wykorzystać, z tej czy innej strony, zabawić się, zostawić, odejść do żony... Żaden nie traktował mnie poważnie.

- Bo się za bardzo za nimi uganiałaś - wtrąciła Matylda.

- Wiem. Faceci takich kobiet mają na pęczki. Zbyt widocznie, za pazernie się na nich rzucałam. Chęć zatrzymania jednego czy drugiego była ode mnie na odległość. Oni tego nie lubią.

Zapaliła papierosa i przez chwilę patrzyła tępych wzrokiem na ścianę. Potem mruknęła cicho:

- Matka mówi, że mam taki kompleks... Po tym jak ojciec odszedł od nas i związał się z jakąś kobietą...

-Mówiłaś, że go zwerbowali do wywiadu... - weszła w słowo Matylda, ale Lora nie zwróciła na to uwagi.

- Że ten strach o odejście mężczyzny działa na nich jak czerwona płachta na byka. „Nie wysilaj się - mówiła. - Oni to czują... Kobiety, które łatwo się zdobywa, jeszcze łatwiej zostawić”.

- A pan Lorenc?

- No właśnie. Akurat on musiał mi się teraz przytrafić... Matylda nie wiedziała, o co chodzi.

- Czy nie dał ci dowodu na to, że traktuje cię poważnie?

- No tak, ale Róża i całe miasteczko...

- Kiedy z nim zaczynałaś, jakoś ci to nie przeszkadzało.

- Dopiero co wyrzucałaś mi ten związek - zdenerwowała się Lora. - O co ci chodzi?

- O prawdziwą miłość.

- I już ci nie przeszkadza, że zostawił Różę? Że tyle lat byli razem, szczęśliwi...

- Widać to nie było prawdziwe szczęście.

- ...i że wynikła z tego afera na całe miasteczko, że to niemoralne i tak dalej? - dopytywała się Lora.

- Miłość to miłość - powiedział Matylda i widać było, że jest tego pewna jak niczego na świecie.

Lora przyglądała jej się przez chwilę, potem wróciła do obgryzania paznokci.

- Jesteś rąbnięta - skwitowała.

- A ty nie wiesz, czego chcesz.

- Myślisz, że po tym wszystkim, co przeszłam, będę w stanie to docenić? Ed zasługuje na coś lepszego. Skończyła się zabawa.

Matylda wróciła do łuskania fasoli. Robiła to nerwowo, ze złością, wyrzucając z siebie potok słów, dla kontrastu, zupełnie spokojnym głosem (Lora w tym czasie robiła sobie drinka). Matylda niezwykle rzadko mówiła tak wiele, ale tym razem

chciała powiedzieć i powiedziała, że jeśli Lora takie rzeczy traktuje jak zabawę, to o co te pretensje do życia i litry wypijanej wódki, te niekończące się narzekania na facetów i w ogóle wszystko. Po co to wszystko? Trzeba wiedzieć, w jaki układ się wchodzi z drugim człowiekiem i czego tak naprawdę się oczekuje. Tak jak Matyllda. Wiedziała, w jaki układ wchodzi z Mateuszem i o nic nie miała pretensji. Nie było między nimi kłótni ani najmniejszych nieporozumień. Mateusz był kimś, kto dał jej dom. Miała dom. Mateusz chciał mieć psa, żeby mu go pilnował - pilnowała. Była psem, bo tego chciała. Nie oczekiwała od niego ani uczucia, ani czułości. Wszystko od początku do końca było jasne. Robiła to, co chciała. Miała ochotę uprawiać pole, to uprawiała, hodować zwierzęta - hodowała, zachciało jej się przespać z Michałem Dusznym - zrobiła to... Lora zakrzuszyła się drinkiem.

- Spałaś z Michałem Dusznym?!

- Co w tym dziwnego?

- Od kiedy?

- Od początku.

- Odkąd tu przyjechałam? - Lora usiadła obok Matylldy, trąciła ją łokciem.

- A wiesz, że tak się czasem zastanawiałam...

- Nie, odkąd ja tu przyjechałam - sprostowała Matyllda. Lora dopiła jednym haustem drinka.

- Odkąd zamieszkałaś tu z Mateuszem...? - wydusiła niedowierzająco.

- Przecież ciągle go nie było - Matyllda wzruszyła ramionami. - Michał przyjechał na drugie szczepienie do Tenora... Dałam mu mleka, porozmawialiśmy trochę...

- Dała mu mleka! Chryste panie! I co? I od razu poszliśmy do łóżka?

- No nie... Spojrzeliśmy na siebie. Nie mogłam uwierzyć, że się podobam jakiemuś mężczyźnie, ale widziałam, że to prawda, więc go ośmieliłam. Wiesz, jaki Michał jest nieśmiały.

- To znaczy co?

- Uśmiechnęłam się do niego. I jakoś tak...

Matylda zrobiła niepewny ruch ramionami, jakby sama dotąd nie wiedziała, jak to się właściwie stało.

- Zaraz... - Lora coś wyraźnie nie pasowało. - To czemu tak się wtedy krygowałaś?

- Kiedy?

- Jak cię zaprosił do kina.

- A... - Matylda machnęła lekko ręką. - Nigdy wcześniej żaden mężczyzna nie zaprosił mnie do kina.

Lora patrzyła na nią rozszerzonymi ze zdumienia oczyma, w końcu wydusiła:

- Matylda... Ty... ty jesteś normalną kobietą.

- A co myślałaś.

- Zupełnie normalną kobietą. Cholera, kto by pomyślał - powiedziała i jakby to dopiero do niej dotarło, dodała z podziwem: - Ale że zrobiłaś to temu sukinsynowi... Żyłaś

z nim tu...

- Mieszkałam - sprostowała Matylda.

- Że miałaś odwagę... Ja bym nie mogła.

- Ty go kochałaś.

Te słowa wytrąciły Lorę na nowo z równowagi.

- No i co z tego! Teraz go nienawidzę.

- Przecież on nie żyje - zdziwiła się Matylda.

- Dla ciebie wszystko jest zawsze proste?

- To, co jest proste, jest proste. O czym tu mówić.

Lorę łatwo było wytrącić z równowagi. Zerwała się od stołu, potrząsając głową.

- I to mówi kobieta, która uprawiała seks z weterynarzem pod dachem tego sukinsyna!

- Nie widzę związku - zauważyła Matylda.

Lora wyszła z domu. Złapała miotłę i zmiotła błoto z werandy. Potem stała chwilę, oparta o balustradę, patrząc na ko-

niec drogi biegnącej ze Wzgórza. W końcu wsiadła do samochodu i odjechała.

Matylda wyjrzała oknem i patrzyła na auto, dopóki nie znikło jej z oczu. Wiedziała, dokąd Lora jedzie.

Edward Lorenc był szczęśliwym człowiekiem. Miał zajęcie, które go pochłaniało bez reszty i za to był losowi wdzięczny. Niczego tak nie znosił jak beczynności. Gdyby wiedział, że tyle radości może dać człowiekowi konkretne zajęcie, dawno by zszedł ze strychu. Praca w warsztacie samochodowym była jego drugim szczęściem. Pierwszym była Lora. Przyszła do niego i powiedziała krótko:

- Dobrze, wynajmij ten dom...

- Wynająłem.

- Ach tak... - Wbiła oczy w zakurzoną, zawaaloną samochodowymi częściami podłogę i dokończyła: - Mogę z tobą być, ale nie wiem jak długo.

- Kiedy tylko będziesz miała ochotę.

- Właśnie to chciałam powiedzieć.

Był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, chociaż została z nim tylko tydzień. Potem wróciła na Wzgórze, rzucając w przelocie: „Nie wiem, kiedy wrócę”. Wiedział, że wróci, że będzie odchodzić i wracać tysiąc razy. To mu wystarczyło.

W miasteczku znowu zawrzało. Od rana do nocy, na ulicy, w sklepie, przed drzwiami domów komentowano ten, nieukrywany już teraz, związek. Bez Lory byłoby tu naprawdę nudno.

Róża Lorenc przestała pokazywać się w sklepie czy gdziekolwiek indziej. Niecierpliwi zaczęli się zakładać, kiedy ta

nieszczęsna kobieta nie wytrzyma. Zagadką było tylko to, co zrobi. Podpali dom, w którym mieszkają kochankowie, zabije ją czy jego, czy może po prostu zwariuje.

Nie podpaliła domu ani nikogo nie zabiła. Można się jedynie spierać, czy straciła rozum, wybierając się któregoś wieczora na Rynek, gdzie zwykle zbierała się grupka na łyso ogolonych nastolatków. Nic na świecie nie mogło jej przekonać, że nie są żadnymi krwi każdego, kto im wejdzie w drogę, skinami. Nawet jeśli był tam syn lekarza z miejscowej przychodni, bratanek listonosza - ludzi darzonych jakimś tam szacunkiem. Byli ogoleni na łyso? Byli. Mieli na tych łysych głowach kaptury? Mieli. Palili trawkę? Niech jej ktoś powie, że można na tym przejmującym zimnie stać wieczór w wieczór i nie palić trawki!

Zawołała do nich z niedalekiej odległości, czy mogliby ją zabić.

- A kto pyta? - odezwał się jakiś bas z grupki.

- Róża Lorenc - odkrzyknęła bez zająknięcia.

Trudno, niech się dzieje co chce. Samobójstwa przecież nie popełni, bo mogą ją odratować i zamknąć u czubków, skąd nie będzie miała już na nic żadnego wpływu, a dalej tak żyć się nie da.

- A co się pani wygłupia, pani Lorenc - usłyszała. - Jakbyśmy nie mieli na łbie nic innego.

Ktoś inny dorzucił:

- Niech pani spitała do chaty, bo się pani katarzysko przyplącze.

To na pewno syn lekarza, pomyślała, bo kto inny by się troszczył o jej zdrowie. No, jednak resztki przyzwoitości wyniesionej z domu nawet w takim skinie zostaną, kto by pomyślał. Powie im coś przykrego, wtedy na pewno ją zabiją. Widziała w telewizji, jak taki subkulturowiec zabił drugiego za to, że mu oddał pogniecioną paczkę papierosów.

Nim cokolwiek powiedziała, jeden z nich (w życiu takiego dryblasza nie widziała) podszedł i zarzucił jej swoją kurtkę na głowę.

- No i co? Czego się nie słuchamy mądrzejszych? Wie pani, ile państwo wydaje co roku na chorych?

Róża pokręciła głową - nie miała zielonego pojęcia.

- I tak się państwowe pieniądze rozlają na to, na tamto, a dla nas nie ma pracy, kurna, tak mnie to wkurza.

- Nie macie pracy? - wydusiła, ledwo łapiąc oddech.

- A skąd mamy, kurna, mieć, jak nie ma pracy. Ja to nawet na studia żem nie poszedł, żeby mi jeszcze gorzej nie było głupio, bo dla tych po studiach też nie ma.

- I co robicie?

- A co mamy robić? Rozmawia się o tym, o tamtym... Albo się patrzy.

- Na co?

- Na co się da. Podwieźć panią do domu?

- Jakbyście byli tacy mili... Zmarzłam.

Róża Lorenc do końca swego życia miała złego słowa nie powiedzieć na młodych, niedbale czy nawet ekstrawagancko ubranych ludzi. Coś w niej tamtego wieczora pękło. Wyczerpał się pokład zjadłości - następnego ranka bez urazy spojrzała na świat. Świat nie był taki straszny. I nie ona jedna na tym świecie opuszczona przez męża. Zresztą, co tu dużo mówić, był, a jakby go nie było. Miał swoje życie obok jej życia. Nie kochali się prawdziwie. Gdyby była w ich domu prawdziwa miłość, nie dostrzegłby Lory, nawet gdyby mu stanęła na nosie. A on chyba tylko po to żył, żeby spotkać taką Lore. Wszystko przepadło, a jej zostało w domu tylko pełno różnych gratów po Edwardzie, w tym deska do prasowania koszul z wysuwanymi ramionami na rękawy, jedyna w swoim rodzaju, dokładnie na rozmiar jego koszul.

Przed południem przez jednego z chłopców wystających całymi dniami w Rynku odesłała deskę do jego domu. Dałaby



wiele, żeby zobaczyć, jak Lora prasuje mu koszule, ale bez pewnych rzeczy, tak jak bez tego widoku, człowiek może się przecież obyć. Odwrotną pocztą otrzymała całą rentę Edwarda. Przeliczyła dwa razy - zgadzało się co do grosza.

- A od następnego miesiąca pani sama ma odbierać od listonosza, jak zwykle. Ma złożyć na pocztę jakieś upoważnienie - powiedział chłopak.

- No... Niech tam będzie. Żonie też się w końcu coś należy. Tylko jak on na to wpadł, że trzeba jakieś upoważnienie... Zawsze był od takich spraw z daleka.

- To ta pani mu podpowiedziała - wyjaśnił chłopak.

- Nie mów mi nic o tej pani, bardzo cię proszę.

- Dobrze. Powiedziała, że nic w pani życiu nie może się zmienić.

- A to zdzira - jęknęła Róża. - Takie to zawsze spadną na cztery łapy.

Wszystko się zmieni i na szczęście bez jej udziału. Pomóż mi na początek wywalić graty ze strychu. Jak masz na imię?

- Krzyś.

Krzyś odtąd codziennie pomagał Róży Lorenc. Rodzina zastępcza, w której się wychowywał, przepijała pieniądze, jakie państwo na niego łożyło, już pierwszego dnia po wypłacie. Potem było ciężko. Zjadł coś albo nie, przeważnie jednak poza domem.

Róża nie mogła się nacieszyć, widząc, jak do czysta zmiata wszystko z talerza. Kobieta powinna gotować dla mężczyzny, a mężczyzna powinien jeść. Nie tak jak Edward. Dziubnął widelcem parę razy po talerzu i szedł na strych. Były dni, że się wcale nie odezwał. Nawet jeśli byli w jednym pokoju.

„Mówiłeś coś?” - pytała czasem, ale on tylko kręcił głową. Nawet nie powiedział: „Nie”.

Krzyś bez przerwy jadł i buzia mu się nie zamykała. Dom wreszcie zaczął pachnieć domem. Ściany przestały odbijać od

siebie ciszę. Straciła męża, zyskała syna. Jakież to szczęśliwy los przywiódł Lorę na Wzgórze?

Podczas nieobecności Lory Matylda zrobiła wreszcie wielkie porządki na Wzgórzu. Z Lorą nie dało się sprzątać. Wszędzie zostawiała swoje ubrania, popiół z papierosa i szklanki po drinkach. Nigdy nie sprzątnęła po sobie od razu. „Zaraz - mówiła na upominania Matyldy. - Zdażę”.

Tydzień to aż za wiele, żeby wyszorować każdy centymetr domu. Nawet pokój Mateusza, do którego i tak żadna nie wchodziła, doczekał się po paru miesiącach odświeżenia. Ściany ostatecznie oddały jego zapach detergentom, wraz z nimi wylądował w rurach kanalizacji.

Potem poszła do szopy i zrobiła porządek z koszykami. Te, które nadawały się do sprzedania chłopom na kartofle, gdy przyjdą ciężkie czasy, poukładała na jednej ścianie. Resztę spaliła. Na koniec, bijąc się z myślami, zajrzała do schowka z komodą. Komoda wydawała jej się całkiem ładna. Musiała należeć do rodziców Mateusza albo nawet do jego dziadków i wstawił ją tam na długo przed przybyciem Matyldy na Wzgórze. Lora też nie pamiętała, żeby stała wcześniej w domu.

Kilka razy podchodziła do niej i oddalała się. Było w tym meblu coś magicznego, straszego, nawet złowrogiego. Było to po prostu coś, co Mateusz ukrył przed światem. Jeśli coś takiego się robi, musi być jakiś powód. Nawet jeśli zrobił to człowiek, który przed światem nie miał żadnych tajemnic, bo przez całe swoje życie wykonywał rzeczy proste, zwyczajne.

Każdy przedmiot do czegoś służy. Jeśli jest stół, to na tym stole coś powinno stać - przelatywało jej w myślach i nie pozwalało po prostu wyjść i zapomnieć. Jeśli jest komoda z całą masą szuflad... Dlaczego są puste?

Po jakiejś godzinie podeszła wreszcie do komody, zaparła się i odsunęła do ściany. Najpierw jednym rogiem, potem drugim. Na samym środku miejsca, na którym od lat stał mebel, w niewielkim wgłębieniu leżała papierowa torba. Nim zajrzała, spróbowała zgadnąć, co też w niej może być. Pistolet! - to pierwsze przyszło jej na myśl. Mężczyzna powinien mieć coś do obrony na takim odludziu. Mateusz był bardzo nieufny w stosunku do obcych. Nawet niewinne zatrzymanie się jakiegoś auta przy szosie na wysokości Wzgórza budziło w nim nerwowy niepokój. Kto wie, ile zła w przeszłości doznał od obcych?

Podniosła w końcu torbę i przez chwilę ważyła ją w dłoniach, po czym zajrzała. Był w niej paszport. Ze zdumieniem przewracała kartki gęsto usiane pieczęciami granicznymi z całego świata. Wróciła do pierwszej strony, by się przekonać, że paszport należy do Mateusza, a kiedy się przekonała, oparła się o komodę i zamknęła oczy.

Nie wierzyła.

O co tu chodzi? To nie może być tak, jak na to wygląda.

Nieprawdopodobne, wprost niedorzeczne. Mateusz całe życie siedział pod szopą i wyplatał kosze. A potem jechał je sprzedać. Nie mógł być w tych wszystkich miejscach. Meksyk? To śmieszne! Co Mateusz miałby robić w Meksyku? Tam, zdaje się, mają pod dostatkiem swoich plecionek...

Matylda usiadła na podłodze i pochyliła nisko głowę do kolan.

Te podróże kosztowały majątek. Majątek, o jakim ani jej, ani Mateuszowi się nie śniło. Nie. Nigdy. Nigdy na Wzgórzu nie było pieniędzy. Ani ostatnio, ani wiele lat temu, ani nigdy. Nawet Lora mówiła, że nie było za co kupić pieluch Julii, jak się urodziła. Gdyby Mateusz miał pieniądze, dałby jej. Dziecku by dał. A potem? Potem też na nic nie było. Na nic. Czasem miała dość kartofli i mleka. I on miał dość. Mówił: „Do cholery, ugotuj coś, co ma choćby sto kalorii”. Nie chciała się kłó-

cić, ale zdawało jej się, że nawet kartofle mają sto kalorii, a może więcej. Gdyby chciał zjeść coś porządnego, dałby jej pieniądze. Jeśli je miał. Miał! Nikt nie jedzie bez grosza do Meksyku, Tunezji, Egiptu i innych egzotycznych miejsc. A co z tysiącami ludzi, których w czasie tych podróży musiał przynajmniej mijać? W jaki sposób zniósł pewne kontakty, których nie dało się uniknąć? Za dobrze go znała. Wiedziała, jak proste spotkanie z listonoszem, kiedy od czasu do czasu musiał podpisać polecony, potrafiło mu zepsuć humor na wiele dni. Pamiętała, jak otrzępywał się, kiedy tamten przez przypadek dotknął jego ramienia, jak mył ręce... Pamiętała jeszcze ze sklepu Lewickiej, jak gwałtownie wyrzucał kosze na podłogę, tuż przy wyjściu, jak podsuwał fakturę do podpisania, a potem niemal ją wyrywał. Tolerował tych, których musiał. Nikt poza ludźmi, którym mógł sprzedać swoje koszyki, go nie obchodził. Nie istnieli. Nie wiedział nawet, jak ma na imię mąż Róży Lorenc. Ani sama Róża.

Wszystko było jasne. Wszystko oprócz pieniędzy. Ogromnych pieniędzy, przerastających jej wyobrażenie.

Przesunęła komodę z powrotem na to samo miejsce. Stać tak i zastanawiać się, co to wszystko znaczy, nie ma żadnego sensu. Nigdy się nie dowie, dlaczego jednej zimy okna pozamarzały, bo nie dał jej na węgiel. Spaliła wtedy wszystko, co nadawało się do spalania, i spała w kuchni na ławie, bo tu było najcieplej. Rano budziła się i koło niej leżał Tenor - grzał ją swoim ciałem.

Nie, to niemożliwe, żeby Mateusz miał wtedy jakieś pieniądze. Nie był przecież potworem. Tamtej zimy nie było go miesiąc, ale po powrocie (mróz akurat trochę zelżał) zapytał, czemu ma takie czerwone ręce.

Powiedziała, że z zimna, a on jej kazał założyć rękawiczki. Troszczył się o nią po swojemu. Oszczędnie, ale jednak. Bo chyba nie mówił o tych rękawicz-

kach tylko ze względów estetycznych. Mateusz był estelą, lo trzeba przyznać, ale przecież nie potworem. Na pewno nie.

- Wiesz, Matylda - zaczęła Lora po powrocie od Edwarda - powiem ci, że coś się we mnie uspokoiło. Tak, właśnie tak to można nazwać. Ta sytuacja z Edem... To wszystko... Powiem ci, on jest... Nawet nie chcę mówić, jaki jest, żeby czegoś nie zepsuć. Rozumiesz mnie? Nie wszystko da się wyrazić słowami.

- Rozumiem - ucięła krótko Matylda.

Postanowiła oszczędnie używać słów, żeby się czasem przed Lorą nie wygadać z tego, co odkryła w szopie. Zaraz po wyjściu z niej rzuciła paszport do pieca. Lora nie musi o tym wiedzieć. Zaraz by powiedziała, że wyjeżdżał, żeby odreagować życie z Matyldą na Wzgórzu lub coś w tym stylu. Lora umie wymyślać bez zająknięcia takie rzeczy. A potem przetrząsnęłaby całe Wzgórze w poszukiwaniu pieniędzy, które Mateusz musiał mieć, jeśli go było na coś takiego stać. Komu to potrzebne? Ani jej, ani Lorze, ani Edwardowi, który tyle dla niej poświęcił. Pomijając już fakt, że te pieniądze są tak nierealne, jak równoległe światy, o których Matylda kiedyś czytała, a które nawet jeśli są, to co z tego, jeśli nie można ich zobaczyć.

Zapomnieć.

Lora zapaliła papierosa, zrobiła sobie drinka, potem włączyła telewizor i rozłożyła się na kanapie.

- Uważaj na papierosa - ostrzegła Matylda. - Sprzątałam.

- Chodź, usiądź koło mnie. - Głos Lory był łagodny, pełen spokoju. -

Napij się, rozluźnij. Jak ja.

- Nie wiem... Myślę...

- O czym ty znowu myślisz.

- O przeszłości, o tym, co będzie...

- Chrzań przyszłość. Teraźniejszość lepiej smakuje. Wiesz, co masz, i wiesz, że to jest dobre.

- Jeśli jest dobre.
- Mówię ci, usiądź koło mnie. - Matylda usiadła. - Przestań być ciągle taka spięta tą swoją przyszłością. Radziłaś sobie przez całe życie, poradzisz i teraz.
- Właśnie w tym rzecz, że w ogóle sobie nie radziłam. Na nic nie miałam wpływu. Cały czas ktoś lub coś decydowało za mnie. Teraz się boję...
- Biedne, bezdomne zwierzątko. Nie nudź.
- Zawsze się dostosowywałam...
- Zaraz się rozplaczę - rzuciła Lora ze zniecierpliwieniem.
- Ty nie masz powodu płakać.
- Rzeczywiście. Ed dowartościował moje życie. To prawdziwy facet, jedyny prawdziwy, jakiego znam. Pracuje jak głupi osioł w tym warsztacie... Uwierzysz, że jemu to sprawia autentyczną frajdę?
- Chyba tak.
- Przychodzi... Zawsze ma coś dla mnie, jakiś drobiazg, ale trafiony, coś, co sprawia mi naprawdę radość. Skąd on mnie tak dobrze zna, jakim cudem wie, co mi się podoba, co lubię... W głowie mi od tego wszystkiego kołuje... Boję się, że zna mnie lepiej, niż ja siebie samą... - Odstawiła drinka, zamyśliła się na chwilę. - Mówi: „Chodź”, a ja idę do niego... Cały dzień myślę o tym, jak wróci i przywoła mnie tym swoim męskim głosem...  
Zgasiła nerwowo papierosa w podstawionej przez Matyldę popielniczce.
- Musiałam odejść na jakiś czas, złapać powietrza, odetchnąć...
- Powiedziałam, że chcę zobaczyć, co się dzieje na Wzgórzu; uwierzył. Jak mogę do niego nie wrócić?
- Dlaczego miałabyś nie wrócić?
- Właśnie: dlaczego? Niezła ze mnie kretynka! Przez całe życie o nim marzyłam. O takim facecie. - Parsknęła śmiechem. - Matka mówiła, że takiego nie znajdę. Powiem jej to.

- Powiedz.

- Tęsknię za nią... - ciągnęła tym samym, lekko rozmarzonym tonem Lora. - Za Julią... Ale kiedy tam jestem... - Wstrząsnęła ciałem gwałtownie, zapaliła nowego papierosa. - Drażni mnie ta jej wieczna dezaprobata, ten jej strach, że zrobię kolejne głupstwo... - Machnęła ze zniecierpliwieniem ręką, zwróciła się do Lory: - A ty?

- Co ja?

- Nie brakuje ci matki?

Matylda dopiero po chwili odpowiedziała.

- Kiedyś bardzo mi brakowało. Wieki temu... Tęskniłam... - W zamyśleniu upiła łyk ze szklanki Lory. - Czasem nie mogę sobie przypomnieć jej twarzy. Wiem, że była piękna, jak ty. Osiemnaście lat temu. Nie wiem, jak wygląda teraz.

- Żartujesz!

- Nie. To prawda.

Lora usiadła gwałtownie, spojrzała w oczy Matyldzie, w końcu podsunęła do jej ust drinka. Matylda wypiała i w wielkim skrócie opowiedziała jej historię swego życia. Lorę ta opowieść wytrąciła z równowagi.

- Nie wierzę - powiedziała, gdy Matylda skończyła. - Że byłaś brzydka i nie chciała cię dotknąć, przytulić... Każde niemowlę jest brzydkie. No dobrze, przyjmijmy, że to taki poporodowy szok, słyszałam o takich rzeczach, ale potem... Czy ta ciotka nie wcisnęła ci jakichś głupot? Cholera, co za matka!

- Rozumiem ją - przerwała gwałtownie Matylda. - W ogóle niepotrzebna była ta rozmowa.

- No pewnie - mruknęła Lora. - Lepiej o niczym nie mówić, nic nie wiedzieć...

- A ty co wiesz, że taka jesteś mądra?

- To, co powinnam. Znam relacje między mną a matką. Wiem, jak było kiedyś i jak jest teraz. Co do pewnych spraw nie mam złudzeń. Ojciec nie został agentem obcego wywiadu,

tylko zostawi! nas dla innej kobiety. Niełatwo było zrozumieć, że zrywając z żoną, zerwał jednocześnie z córką. Ale ja to rozumiałam i przez to było mi łatwiej. Może nie od razu, ale z czasem...

- Z czasem ja też rozumiałam pewne sprawy - powiedziała cicho Matylda i na chwilę zawiesiła głos, wpatrując się w okno. - Ciotki różne rzeczy szeptały, przychodząc w odwiedziny do swej najstarszej siostry. Nie musiały się specjalnie krępować, bo byłam za mała, żeby cokolwiek zrozumieć. Nie wzięły tylko pod uwagę, że dorosnę, wydobędę z pamięci ich słowa i zrozumieć.

-Co?

- Ze przyszłam na świat w wyniku gwałtu.

- Ach tak... - jęknęła Lora.

- Wtedy rozgrzeszyłam moją matkę. Zrozumiałam, że mój widok stale przypominał jej koszmar. Dlatego wołała mnie nie widzieć.

Lora podeszła do tego wyznania dość sceptycznie.

- Są różne kobiety - powiedziała. - Dla jednej dziecko jest po prostu dzieckiem, niezależnie od tego, w jaki sposób przyszło na świat. Dla innych...

- No właśnie - przerwała jej Matylda z takim wyrazem twarzy, że Lora nie miała odwagi o nic więcej zapytać.

Dopiero w kilka dni później, kiedy obie robiły coś w kuchni, Lora zapytała, co by się stało, gdyby one obie, Matylda i jej matka, spotkały się pewnego dnia.

- Pewnie nic - odpowiedziała Matylda z udawaną swobodą. - Obie jesteśmy dorosłymi kobietami. - I po chwili zamyślenia dodała: - W niczym już nie przypominam dziecka, które sprawiało jej ból.

Wyszła zaraz z domu pod byle jakim pretekstem, chcąc wreszcie zamknąć temat. Jeśli o czymś nie mówi się przez całe życie, nie ma potrzeby, żeby to potem nadrabiać w jakimś



niepojętym pośpiechu. Niech Lora zajmie się swoim życiem. Na pewno jest w nim niejedna rzecz, o której dotąd nie mówiła. Niech pilnuje swojego milczenia i da jej święty spokój.

Na szczęście Lora zatekniła pod wieczór za Edwardem, była więc nadzieja, że na parę dni zapomni w jego ramionach  
O bożym świecie. Tak też się stało.

Lora i Edward Lorenc żyli w związku idealnym. On był kochający, czuły i tolerancyjny. Ona była kobietą jego życia. Ani razu nie zapytał o jej pogmatwaną przeszłość. Jeśli w ogóle pytał, to tylko o to, kiedy znowu przyjdzie. A Lora przychodziła

1 odchodziła kiedy chciała.

- Nie wiem - mówiła. - Jak będę, to będę.

Cisza. Żadnego nagabywania, niecierpliwych gestów, pretensji.

Po tylu przykrych, wręcz wstydliwych doświadczeniach z mężczyznami intuicyjnie czuła, że jest zbyt wcześnie, by w to wszystko uwierzyć. Jeśli nawet był ideałem. Było jej dobrze z Edwardem, ale od czasu do czasu z dna jej świadomości odzywała się niepokojąca myśl: czy człowiek bez skazy jest prawdziwym człowiekiem? Jak to możliwe, że można się czuć przy mężczyźnie tak komfortowo: lekko, bezpiecznie, dobrze?

- Czego ty właściwie chcesz? - pytała Matylda, kiedy Lora wypowiadała swe ukryte myśli głośno.

- Dokładnie tego, co mam - odpowiadała Lora. - Tylko się boję.

Matylda nic z tego nie rozumiała. Czego można się bać przy kimś, kto tak pięknie mówi, z taką lekkością i czysto wypowiada zdania, z których żadne nie jest banalne. Już samo to świadczy o niezwykłej harmonii, w jakiej żyje ten człowiek. Gdyby kiedyś przyszło jej pokochać mężczyznę, bez zastanowienia pokochałaby Edwarda Lorenca.

Lora kompletnie nie zna się na ludziach i nie potrafi docenić szczęścia, jakie na nią spadło. Żeby być sprawiedliwym -chwilami. Przeważnie pieje Matyldzie nad uchem o urokach bycia z tym facetem. Swoją drogą mogłaby się opamiętać i nie nazywać go tak jak każdego, kto dotąd mieszał w jej życiu. Ten facet! Jakie to obraźliwe dla kogoś, kto wyciągnął ją z nałogu -odkąd była z nim, przestała się upijać - i nauczył myśleć o innych. Nie tylko o sobie!

- Wiesz - zaczęła melodyjnym głosem Lora któregoś ranka tuż po powrocie od Edwarda - martwiliśmy się z Edem o Różę.

- O! - zdziwiła się Matylda. -1 to bardzo.

- Zachowuje się całkiem normalnie, widziałam ją ostatnio na cmentarzu - pocieszyła Lorę Matylda. - Ukłoniła mi się nawet, wyobrażasz sobie? Michał mówił, że przychodzi tam do niej jakiś Krzyś...

- Ale to już nie jest tylko jakiś tam Krzyś! - przerwała Lora. - Ktoś mówił Edwardowi w warsztacie, że Róża zrobiła w swoim domu przytułek dla całej hołoty z okolicy, która nie ma się gdzie podziąć. Róża jak stara kwoka rozpostarła wielkie skrzydła nad tymi zbirami...

- Zaraz zbirami.

- Większość z nich miała kłopoty z prawem - uzasadniła z pewną satysfakcją Lora. - Niektórzy nawet wyroki.

- To dzieciaki - broniła swego Matylda. - W domu pijany ojciec albo matka, albo oboje. Prawdziwy obiad przy rodzinnym stole oglądają tylko w telewizji.

- Nie chrzań. Sprawa jest niestety poważna. Całą rentę Edwarda wydaje w parę dni na żarcie dla tej chmary. Słyszałam nawet, że jednemu kupiła buty. A potem chodzi po sklepach i żebrze, żeby jej dali, bo nie ma czym wykarmić sierot.

- Aż tak! - jęknęła Matylda. - Nie wiedziałam.

- No to teraz już wiesz.

Miłość czyni cuda, myślała tej nocy Matylda, nie mogąc zasnąć. Edward Lorenc martwi się o żonę! Nim Lora wkroczyła - śmiało tu trzeba dodać - w jego życie, nie interesowało go nic poza strychem zawalonym rzeczami niepotrzebnymi. W jego domu mogło się dziać wszystko - nic nie dostrzegał. Był zajęty swoim dziwactwem. Gdyby Róża nie podstawiła mu pod nos obiadu, umarłby z głodu, zapominając, że trzeba jeść. Lora martwiła się o Różę! Czy Lora kiedykolwiek martwiła się o coś prócz własnej osoby? Nawet jeśli to wyrzuty sumienia sprawiły, że oboje przeszli się losem Róży, jest to mimo wszystko pozytywny efekt ich grzesznego związku. Dziwactwa Edwarda i egoizm Lory gdzieś się podziały, odkąd byli razem.

- Nie żałuj węgla, jak mnie nie ma - karciała Matyldę Lora. - Nie marznij. - Nie marznę.

- Marzniesz. Oszczędzasz pod moją nieobecność. Jak wracam, w tym domu jest zimno.

Miesiąc temu Lora miała w nosie, czy ktoś marznie. Byle jej było ciepło. Biedna Róża Lorenc. Już z początku grudnia zaczęła chodzić po sklepach, biurach i z rozpaczliwym smutkiem w oczach błagała ludzi o każdy grosz.

- To takie biedne, nieszczęśliwe dzieci - tłumaczyła z głębokim przekonaniem. - Chciałabym im zrobić prawdziwe święta.

Sama wyglądała jak ostatnie nieszczęście. Schudła chyba ze dwadzieścia kilo, miała zapadnięte oczy i niewiele włosów na głowie. Właściwie nie była już osobą, tylko cieniem - każdy, kto na nią patrzył, odnosił takie wrażenie. Sunęła w klapkach po ośnieżonych ulicach, zaczepiała każdego i prosiła o wsparcie.

- Co też ta wywłoka, Lora, z panią zrobiła, pani Rózo?! -Tarnawska chwyciła się za głowę, kiedy Róża przyszła prosić o jakieś przeterminowane produkty albo czerstwy chleb.

- Ci biedni chłopcy wszystko zjedzą. Wszystko! Tacy wysocy i jeszcze rosną, wyobraża sobie pani?

- Do czego to doszło - lamentowała teatralnym głosem Tarnawska; zawsze to choćby na chwilę oddalało moment podzielenia się z bliźnim bodaj czerstwym chlebem - żeby taka bez-wstydnica ściągnęła na panią tyle nieszczęść. Tyle nieszczęść.

- A nie - zaoponowała stanowczo Róża. - Niech pani tak o niej nie mówi.

- O tej wywłoce? - Tarnawska lubiła się powtarzać.

- To dzięki niej moi chłopcy mają dach nad głową. I są kochani. Kto ich kiedy kochał?

Tarnawska pokręciła głową. Rzuciła do koszyka Róży dwa czerstwe chleby i bez słowa zaczęła obsługiwać następnego klienta.

- To i tak - powiedziała po wyjściu Róży ze sklepu - aż za wiele dla takich darmozjadów.

Róża podziękowała i za to. Potem poszła snuć się dalej po sklepach aż do zmierzchu. Po zmierzchu czekali na nią w domu na peryferiach Kamienia wysocy, wygłodniali, kochani chłopcy bez serca, pożerający wszystko, co udało jej się przydzwigać.

Lora któregoś dnia spotkała Różę w pobliżu domu Edwarda.

- Róża! - zawołała za nią.

Róża przystanęła, otworzyła koszyk, sądząc, że Lora chce jej coś dać.

- Róża, bój się Boga, jak ty wyglądasz! Chodź do domu, zjesz coś, wykąpiesz się... Możesz nawet zostać na noc. Jak będziesz szła taki kawał po nocy...

- Masz coś dla moich chłopców? - przerwała Róża słabym głosem.

Lora wcisnęła jej do ręki jakieś pieniądze. Wszystko co miała przy sobie, raczej niewiele. Róża podziękowała i odeszła.

- Opamiętaj się! - wołała za nią Lora. - Zanim będzie za późno!

Biedna Róża Lorenc. Kiedyś postrach całego Kamienia, teraz cień istoty ludzkiej. Zginęła straszliwą śmiercią, ale szybko. Od mocnego ciosu, zadanego przez jednego z kochanych chłopców, dryblasza metr dziewięćdziesiąt, w pierwszy dzień świąt, kiedy najedzeni i rozleniwieni zapragnęli czegoś więcej.

- Święta to święta, nie? - zeznawał później jeden z nielicznych zatrzymanych po tej tragedii chłopców. - Mogła dać na trawkę, jak ją Długi poprosił. Grzecznie ją poprosił. Co to za święta bez trawki.

Wszystko ma swoje granice. Miłosierdzie ludzkie i tolerancja również. Młodszy rangą oficer - ten sam, który w szaleństwie Róży Lorenc jako jedyny znalazł potwierdzenie własnej teorii na temat wyrozumiałego podejścia do trudnej młodzieży - złapał chłopaka pod szyję i w sile gniewu potrząsnął nim kilka razy.

- Dam ci, skurwysynu, święta, to popamiętasz!

Potem kazał go zamknąć w areszcie o chlebie, wodzie i chłodzie do czasu przyjazdu prokuratora. Ale prokurator przyjechał szybko i powiedział, że jak nie chcą sobie narobić kłopotów, niech mu przynajmniej ogrzewanie odkręcą w celi, bo adwokat nie będzie zadowolony. Adwokat zjawił się równie szybko i powiedział, że jak nie chcą sobie narobić kłopotów, niech puszczą chłopaka, bo nic na niego nie mają.

Nikt się nie upomniał o sprawiedliwość dla Róży Lorenc. Jakby każdy spodziewał się, że ona robi to sama i niektórzy to, co działo się na pogrzebie, tak właśnie tłumaczyli.

Kondukt żałobny wyruszył spod domu Róży w pierwszy dzień po świątach. Na czele, tuż za karawanem, wolno posu-

wającym się po ośnieżonej drodze, szli Edward i Matylda. Lora dwa kroki z tyłu, cały czas dbając o to, by nie zrównać się z nimi; znała swoje miejsce.

Śnieg, który tego dnia padał od rana wielkimi płatami, odkąd kondukt wyruszył spod domu, robił się coraz gęstszy i gęstszy, tak że ci z tyłu nie widzieli karawanu, a ci z początku nie widzieli końca. Wiatr wzmagął się nieustannie - zasy na polach i poboczu rosły na oczach żałobników, bezskutecznie usiłujących osłonić się przed zawieruchą, czym tam kto miał. Niektórzy osłaniali się wieńcami lub wiązanekami, a szarfy ze złożonymi napisami *Ostatnie pożegnanie* tańczyły jak oszalałe nad głowami.

Na wysokości Wzgórza rozpętała się prawdziwa burza śnieżna. Istne piekło, o ile piekło może być tak białe. Nikt takiego wiatru i śniegu w Kamieniu nie pamiętał. Karawan nagle utknął w zaspie i dwudziestu mężczyzn nie zdołało go z niej ruszyć.

- To Róża - zaczęli szeptać ludzie. - Zawsze musiała mieć ostatnie słowo.

- Ostatnie słowo należy do żywych, a nie zmarłych - rzucił sentencjonalnie dyrektor banku spółdzielczego, zapierając się przy prawym kole, jakby nagle uwierzył, że siłą woli ruszy z posad nie tylko karawan, ale cały świat, a przede wszystkim przełamie upór tej nieszczęsnej kobiety, która dawno temu była młoda i piękna, i w której kochał się do nieprzytomności z pewnością, jak mu się zdawało, wzajemnością, póki ten kuternoga-majsterkowicz nie pojawił się w Kamieniu i nie sprzątnął mu jej sprzed nosa. A teraz co? Przypomniawszy sobie, jaka była piękna i młoda, i zawstydził się słów. Pochylił głowę, westchnął i pierwszy odsunął się od karawanu i odszedł w stronę miasta. A za nim poszli inni w strachu, że to białe piekło za chwilę pokryje i unieruchomi nie tylko to, co martwe, ale i żywe.

Zostali tylko Matylda, Edward i Lora. Dopiero teraz Lora odważyła się stanąć z nimi w jednej linii i zapytać, co dalej. Wzruszyli ramionami jednocześnie i rozejrzeli się bezradnie,

ale nie było co się rozglądać. Dookoła nie było widać nic. Poddali się wobec tego jak reszta i odeszli na Wzgórze.

W jednej chwili zapadł zmrok, choć nie była to jeszcze jego pora. Róża Lorenc została sama między miastem a cmentarzem, w połowie drogi od martwych i żywych w białym jak suknia panny młodej karawanie, i był to najbardziej samotny karawan na świecie.

Nazajutrz pochowano Różę Lorenc bez większych ceregieli. Dzień był piękny, mroźny, ale słoneczny i bez odrobiny wiatru. Edward wynajął sprzęt do wyciągnięcia karawanu z zasy, a potem wystarczyło już tylko złożyć ciało w grobie. Zrobiono to szybko, niemal w pośpiechu. Matylda potem powiedziała, że nawet nie zdążyła się dobrze pomodlić.

- Dajże spokój! - huknęła Lora. - A na co mieliśmy czekać? Na odwilż? Widziałas, jak każdy odetchnął z ulgą.

- Widziałam.

- Ludzie bali się Róży tak samo po śmierci, jak i za życia.

- Ja się jej nie bałam.

- Akurat! Tobie chyba najbardziej dała się we znaki.

- Nieprawda!

- Może nie nachodziła cię, nie wypytywała o wszystko i nie nazywała dziwaczką?

- Tak było - zgodziła się Matylda. - Przynajmniej coś ją obchodziłam. Ją jedną.

- O! - uderzyła w dramatyczny ton Lora. - Można by powiedzieć, że była jak matka.

- Można - powiedziała cicho Matylda. - I teraz będzie mi jej brakować. Nim Lora zdążyła zareagować na to wyznanie, Matylda wyszła z domu. Lora wyjrzała oknem i patrzyła za nią, jak idzie z Tenorem łąką. Tenor wytarzał się trochę w śniegu, z ra-

dości, że nie jest sam, a potem stanął przy swej pani i razem z nią patrzył w dal.

- Kopnięta dziwaczka - mruknęła pod nosem Lora, wzruszając ramionami i starając się odgonić od siebie dziwne uczucie klucia w okolicach serca. Na pewne rzeczy nie ma rady, pocieszała się w myślach. Nikt nie kazał Róży Lorenc zadawać się z marginesem społecznym. Mogła siedzieć sobie w swoim domu albo chodzić po mieście i roznosić plotki. Mogła się wziąć za robotki ręczne albo zapisać się do kółka różańcowego, o ile takie istniało w Kamieniu. Mogła... Miała tyle możliwości. Ale nie! Musiała zadać się z tymi małoletnimi bandziorami. Musiała chodzić po mieście jak ostatnie nieszczęście i żebrać o cokolwiek dla swoich kochanych chłopców, bo już nawet nie dla siebie... Dla siebie nie wzięła nic pod koniec swego żalosego życia, ale jak mogła tak zababrać innym sumienie! Wystarczy spojrzeć na Matyldę, jak stoi na łące i bije się z myślami. Biedna Matylda, trzeba dla niej coś zrobić.

-Matylda! - wrzasnęła, otwierając na oścież drzwi. -Chodź tu, bo chcę ci coś powiedzieć!

Matylda wzruszyła ramionami, ale wróciła zaraz. Tenor, zawiedziony, został na zewnątrz.

- Wiesz co - zaczęła Lora, przechodząc z miejsca do sedna sprawy - powinnaś pojechać do matki.

Matylda wbiła wzrok w rozbiegane oczy Lory.

- Do jakiej matki?

- A jak myślisz?

- Do mojej?

- No pewnie.

Do Matyldy dopiero po chwili dotarł sens słów Lory. Lora jak coś wymyśli, to już naprawdę nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać.

- Ale po co? - spytała z bezgranicznym zdumieniem. - Nawet jej nie znam.



- O! - podchwyciła Lora. - I to jest najlepszy powód! Nie zna własnej matki. Może nie chciałaś jej poznać.

W napastliwym tonie Lory brzmiał fałsz i obie doskonale o tym wiedziały. Jeśli Lorze chodziło o to, by poruszyć Matyldę i zmusić ją do natychmiastowego działania, efekt był raczej żalospny. Matylda z westchnieniem opadła na krzesło i zapytała rzeczowo:

- O co ci chodzi?

Lora gryzła skórki przy paznokciach, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Rozumiem, że Róża Lorenc ze swym wścibstwem mogła wzbudzać w tobie tęsknotę za matką... - zaczęła po chwili, ale Matylda nie dała jej skończyć.

- Och, przestań, Lora. Powiedziałam tylko, że Różę - z jej wścibstwem, niech ci będzie - w jakimś tam stopniu interesowało to, co się ze mną dzieje. Wszyscy inni mieli to gdzieś. Nawet nie wiedzieli, jak mam na imię. Zresztą, dlaczego niby mieliby wiedzieć? A kim ja w końcu jestem?

- Człowiekiem.

- Naprawdę? Nagle zaczął cię interesować mój los?

- Gdyby mnie nie interesował, nie kazałabym ci spotykać się z matką.

- Daj mi jeden powód, dla którego miałabym to zrobić.

- Powinnaś porozmawiać z nią jak kobieta z kobietą - wypaliła Lora.

Matylda zerknęła na nią spod oka.

Zdaje się, że to był dobry powód. Sensowny. Nie było potrzeby nawet tego tłumaczyć. Lorze przez przypadek udało się strzelić w dziesiątkę.

Matylda nie jest już dzieckiem, które; wzbudzało w tamtej kobiecie negatywne uczucia. Pewne sprawy życiowe, choćby dla spokoju sumienia, powinno się zapinać na ostatni guzik.

- Daj jej po prostu szansę... - dorzuciła ostrożnie Lora, ale

Matylda zamachała nerwowo ręką, znowu nie pozwalając jej dokończyć. Pewnych spraw nie ma potrzeby nazywać po imieniu. Matylda kiwnęła głową.

- Pojadę tam - mruknęła najciszej jak mogła i zaraz ostrzegła: - Tylko bez żadnych cyrków. I wiesz, co mam na myśli.

- Nie wiem.

- Wiesz.

- Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz. - Lora przyjrzała się Matyldzie krytycznie. - Powinnaś tylko jakoś doprowadzić się do porządku. Ubrać się jakoś, iść do fryzjera.

- Właśnie to miałam na myśli. Od razu wiedziałam, że coś takiego powiesz. Poza tym nie mam zamiaru nigdzie jechać.

Lora stuknęła się w czoło, bo co innego mogła zrobić. Matylda z miejsca postanowiła zapomnieć o beztrąsko rzuconym przez Lorę pomysłem, głupim i bez sensu. Jednak myślała o tym bez przerwy. O świcie, kiedy doła krowę, opierając głowę o jej miękki bok, w południe na spacerze z Tenorem i kiedy kładła się spać. Wszelkimi siłami starała się o tym nie myśleć, ale myślała.

Matka. To słowo ożyło w niej po tylu latach sieroctwa, że aż się przeraziła jego realności. Może Lora ma rację: matka wyrzekła się dziecka, które wbrew jej woli przyszło na świat, ale teraz obie są dorosłymi kobietami. Dzieli je prawie dwadzieścia lat oddzielnego życia, ale jeden fakt pozostaje niezmienny: są dla siebie tym, czym się stały w momencie narodzin Matyldy, i tak będzie do końca życia. Matylda nigdy nie myślała o tym w ten sposób. Teraz ta świadomość sprawiła, że jej serce załomotało, jakby się chciało wyrwać z ciała. Usiadła przy stole i jęknęła cicho:

- Mam matkę.

Przez pewien czas czuła się jak nowo narodzona. Odkąd ciotka Mila opowiedziała jej o dniu, w którym przyszła na świat, niechętnie wspominała tamtą chwilę. Nauczyła się wy-

rzucać z głowy przykre słowa i myśli w tej samej chwili, w której się pojawiły. Kwestia wprawy. Teraz było inaczej. Tamta matka dawno umarła w przeszłości, była jak dzieciństwo, które zawsze wydaje się mroczne, tajemnicze (czasem po prostu szczęśliwe i pastelowe) i zawsze bardzo odległe.

Matylda najlepiej pamiętała drzwi, za którymi chowała się, gdy matka przychodziła powiedzieć ciotce Mili, że jest już bardzo gruba i jak tak dalej pójdzie, niełatwo będzie ją włożyć do trumny, a tego by chyba nie chciała, prawda? Prawda? Jej głos był miękki jak koty ze schodów, które Matylda tuczyła pączkami. I chodziła jak one: cicho, z gracją. Tylko pachniała ładniej.

Matylda zatęskniła za matką. Jak mogła na tyle lat wyrzucić ją z pamięci? Nie pomyśleć ani razu, nie wspomnieć, nie wiedzieć, jak żyje...

Odchodząc ze sklepu gospodarczego, zamknęła za sobą przeszłość, jakby przeszłość była koszmarem. A nie była. Niczego jej nie brakowało. Nigdy nie była głodna ani bezdomna jak kochani chłopcy, którzy zabili Różę Lorenc.

Między szóstą a siódmą po południu pewnego styczniowego dnia Matylda rozgrzeszyła matkę za swoje życie.

Chciała natychmiast powiedzieć o tym Lorze, ale Lora miała swoje sprawy na głowie. A konkretnie chodziło o Edwarda, który od śmierci Róży stał się zaborczy, niecierpliwy i jak dziecko. Zupełnie nie ten Edward. Stale domagał się jej obecności, bezustannych zapewnień, że jest i nigdy jej nie zabraknie. Tu jest jej miejsce, a nie na Wzgórzu, powinna o tym wiedzieć. Po co on kupił ten dom? Po to, żeby była w nim, kiedy wychodzi do warsztatu i kiedy z niego wraca.

- Inna sprawa, czy ja potrafię siedzieć tam i czekać na niego cały dzień - zaczęła nienaturalnie swobodnym głosem Lora, by na koniec dodać: - Muszę w końcu sprzedać to Wzgórze, nie ma rady.

Miało wyjść tak samo naturalnie, ale nie wyszło. Matylda posłała jej chłodne spojrzenie, od którego Lorze odechciało się wszystkiego, toteż dorzuciła tonem usprawiedliwienia:

- To już nie jest ten sam Edward, nie ma co!

Jakie to ma znaczenie, pomyślała Matylda, wlepiając pusty wzrok w ekran telewizora. Właściwie nie oglądała telewizji. Czasem tylko słuchała wiadomości, krzątając się po kuchni; miała też swoje ulubione programy dokumentalne. Widząc relacje z całego zła nagromadzonego na świecie - bo przecież nikt zdrowy na umyśle nie opowiada o rzeczach pięknych i dobrych - powtarzała niezmiennie: „Miałam szczęście”. Lora natomiast włączała telewizor od razu po przebudzeniu i bez względu na to, czy robiła coś w domu, czy poza nim, wyłączała go dopiero kładąc się z powrotem do łóżka. A i to nie zawsze. Lawina obrazów i dźwięków towarzyszyła jej od rana do nocy i inaczej być nie mogło. Nieraz z wypiekami na twarzy śledziła jakiś film albo serial, po czym całość kwitowała pogardliwym stwierdzeniem: „Ale chała”. Dla Matyldy natomiast cały ten chaos wylewający się z estetycznej skrzynki nie istniał, bo nigdy nie skupiła na nim dostatecznej uwagi.

Teraz jednak, stojąc trzy metry od ekranu, całkiem przypadkiem zatrzymała na nim spojrzenie, nie zastanawiając się nawet, co ma powiedzieć, bo wszelkie słowa były już zbędne, wcześniej czy później stanie się to, co ma się stać i koniec. Mimo to powiedziała:

- To on!

Lora zerknęła w telewizor, gdzie w wiadomościach pokazywano materiały operacyjne policji z jakiejś akcji i zapytała obojętnie:

-Kto?

- Ten mężczyzna, który tu był.

- Gdzie?

- Zaraz po śmierci Mateusza...

- Tu? Na Wzgórzu? - Lora zatrzepotała rzęsami, jak zwykle, kiedy coś wprowadzało ją w absolutne zdumienie.

- W takim samym za dużym garniturze. To on.

Lora na chwilę skupiła uwagę na materiale filmowym, po czym wydeła pogardliwie usta.

- To jakiś bandzior, Matyllda...

- Był tu.

- Akurat. Typ spod najciemniejszej gwiazdy... Zajmował się organizowaniem siatki płatnych morderców, słyszysz? - Parsknęła śmiechem. - Pośrednik, jak w handlu nieruchomościami.

- Pośrednik? - Matyllda zapytała w taki sposób, jakby wcale nie oczekiwała odpowiedzi.

- Słyszałaś. Dostawał zlecenie od mafii lub kogo tam jeszcze i docierał do odpowiedniego człowieka. Zleceniodawca i płatny morderca nigdy się nie spotkali, robota była wykonana, zapłacona, nikt o niczym nie wie. Czego to ludzie nie wymyślą - dodała z uznaniem.

- Ale on tu był - powtórzyła Matyllda z naciskiem.

- Tak? I czego niby miałby tu szukać?

- Mateusza.

- Stuknij się.

- Był tu - zakończyła Matyllda dobitnie, a Lorze nie chciało się nawet stukać w czoło.

Wieczorem, leżąc w łóżku z Edwardem, Lora odezwała się udręczonym głosem:

- Co ja się z nią mam. Co ja się mam...

- Z kim? - zapytał czujnie Edward. Nie podobało mu się, że Lora mogła mieć cokolwiek z kimkolwiek.

- No nie wiesz z kim, Ed? Nie wiesz?

- A... z Matylldą...

- Ta kretynka sama już nie wie, co wymyślić, żeby odwrócić moją uwagę od sprzedaży Wzgórza. A przecież wie dobrze, że muszę je w końcu sprzedać.

- Musisz - zgodził się Edward. Jego ton wprawdzie bardziej zabrzmiał rozkazująco niż zgodnie, ale Lora nie zwróciła na to uwagi.

Rankiem zaprotestował, kiedy Lora chciała wrócić na Wzgórze.

- Ciągle cię nie ma i nie ma - mówił, chodząc po pokoju i gestykułując z ożywieniem, czego nigdy dotąd nie robił. - Nie mam pojęcia, gdzie jesteś, co robisz; tak dalek być nie może.

Lora wytrzeszczyła oczy, ale kiedy podszedł i objął ją, serce załomotało jej z dumy, że tak wiele dla niego znaczy. Dla żadnego innego mężczyzny nie znaczyła tak wiele. W pewnym wieku i po pewnych przejściach kobieta powinna takie rzeczy docenić i nie zawracać sobie głowy sentymentami. Zresztą, co tu mówić o sentymentach! Od miesiąca utrzymuje Wzgórze i Matyldę za pieniądze, które Edward ciężko zarabia, babrząc się przy samochodach w warsztacie. Dla Edwarda pieniądze znaczą tyle co nic, ale to nie powód, by miał pracować na utrzymanie dwóch domów. Zresztą on sam tego wszystkiego ma już chyba dość.

Tego ranka powiedział:

- Nigdzie nie pójdziesz. Ja też.

- Co to znaczy, Ed?

- To, że nie chcę się z tobą rozstawać. Nigdy.

Nie bardzo wiedziała, o czym mówi, ale rozczuliła się i tuląc się do niego, powiedziała:

- No dobrze, już dobrze.

Był jak dziecko. Naiwny i zaborczy, spragniony ramion kobiety, powietrza przesyconego jej zapachem, głosem, nieustanną obecnością. No dobrze, dobrze... Jakie to piękne i jedyne w swym rodzaju, niepowtarzalne... Dziesiątki banalnych słów tłoczyły

się w głowie Lory na określenie chwil, jakie przeżywali, ponieważ jednak dla niej były to chwile na wskroś nowe, wołała już ich nie nazywać, tylko po prostu trwać. Dzień, dwa... Trwać przy Edwardzie, to takie cudowne, bo on jest jedynym mężczyzną w jej życiu, przy którym warto tak trwać i nie interesować się niczym, niczym... Trzy, cztery... Ciekawe, jaki to dziś dzień? Czy to w ogóle dzień? Dzień. Odsunięte zasłony wpuściły oślepiająco przejmujące, odbite od zamarzniętego śniegu światło. No dobrze, już dobrze, po co nam światło, po co nam wszystko... Pięć, sześć... Ile można! Edward, ile można? Zjadłabym coś. Nie, nie chleb tostowy wygrzebany w pośpiechu z folii i połknięty jeszcze szybciej, bo szkoda czasu. Mamy przed sobą całe życie. Ed, pozwól mi coś zjeść, coś innego... Nie można być zazdrosnym o jedzenie.

- Chce mi się jeść!

Krzyk Lory zdumiał Edwarda tak bardzo, że na chwilę wypuścił ją z ramion. Wtedy udało jej się zarzucić płaszcz i odgrodzić się od niego powstrzymującym gestem, nim spróbował ją znowu objąć. Przez chwilę jakby nie wiedział, co się dzieje; zaczął chodzić po pokoju i niespokojnie chwytać i wypuszczać powietrze nozdrzami, jak nie Edward, tylko - do ostatniej chwili broniła się, żeby tego tak nie nazwać - jak zwierzę. Za długo byli razem. Nie można tak długo przebywać poza światem. Nawet we dwoje. Sparaliżowana strachem -strachem?! - czekała na jego kolejny ruch.

- Za dużo było tych dni takich samych, Ed, to wszystko. Ludzie nie mogą tak żyć. Muszą od czasu do czasu wyjść, zobaczyć się z innymi ludźmi, zrobić zakupy, poplotkować z tą czy inną, obejrzeć wystawy w sklepach...

- Najedz się - przerwał jej - i zaraz wracaj.

Wyszła, nim skończył. Łapczywie wdychając powietrze w płuca, dotarła do Wzgórza. Zimowe, mroźne powietrze ma w sobie moc uzdrowicielską. Jest cudowne. Prawie tak cudow-

ne jak to, co jest między nimi. W najśmielszych myślach nie marzyła o takiej miłości. I nie pozwoli tego zniszczyć. Nikomu. Zrobi porządek na Wzgórzu i wróci. Będą razem już na spokojnie, bez niezłaławionych spraw na głowie. Dobrze by było, żeby Edward w tym czasie poszedł do warsztatu i zarobił jakieś pieniądze. Póki nie sprzeda Wzgórza, muszą z czegoś żyć. Samą miłością się nie da. Nawet taką.

Jeszcze tego samego dnia Lora zawiadomiła klienta - tego, który wydawał się jej najbardziej wiarygodny i autentycznie zainteresowany - że mogą zacząć rozmowę o sprzedaży Wzgórza.

Przyjechał po dwóch dniach. Wysiadł z samochodu i rozejrzał się z nieukrywanym zadowoleniem. Zima sprawiła, że Wzgórze prezentowało się nie mniej korzystnie niż latem, a może jeszcze lepiej. Lora akurat miała w nosie lśniący w słońcu szron na drzewach i nieskazitelną biel jak okiem sięgnąć, ale rozumiała, że na niektórych ludziach takie rzeczy robią wrażenie.

Szybko przeszli do rzeczy. Jej się teraz śpieszyło, on po życiu pełnym wrażeń (Nie uwierzyłaby pani, gdybym to wszystko opowiedział!) chciał wreszcie zaznać odrobiny spokoju. Normalności.

- Chcę, żeby wreszcie było normalnie.

Zgodził się trochę dołożyć, ona trochę spuścić. Stanęli przed szopą, oboje prawie szczęśliwi, że tak szybko udało się dojść do porozumienia. Lora uśmiechnęła się szeroko do mężczyzny, czując, jak spływa z niej cały niepokój ostatnich miesięcy, a może i lat, ale kiedy spojrzała w okno kuchni i dostrzegła w nim Matyldę, wiedziała, że zaraz będzie po wszystkim.

- Mogłabyś się z panem przesunąć w jedną albo drugą stronę? - powiedziała Matylda, otwierając okno.

- Bo co?! - ryknęła Lora, przewidując najgorsze.



- Bo weszliście na Mateusza.

Mężczyzna odruchowo odsunął się w bok, obejrzał dookoła i zatrzymał pytający wzrok na Lorze. Ta roześmiała się nerwowo.

- Mateusz nie żyje od ośmiu miesięcy - wyjaśniła, starając się wszelkimi siłami zapanować nad głosem. - Niech pan jej nie słucha.

Mężczyzna odsunął się jeszcze bardziej, wytrzeszczył oczy na Lore, potem na Matyldę. Matylda posłała mu wdzięczny uśmiech.

- Mateusz mówi, że bardzo pan uprzejmy...

- Jakoś do tej pory jeszcze nigdy nie mówił! - wrzasnęła Lora, chwytając mężczyznę za rękaw. - Powiedz mu, niech się zamknie. I ty się zamknij! Nie widzisz, że mam ważną sprawę do załatwienia?!

- Nie musisz przy tym wchodzić Mateuszowi na głowę, prawda? - Matylda zatrzasnęła okno.

Lora posłała jej żądne krwi spojrzenie.

- Załatwię, co mam załatwić, a potem kark ci skręcę. Tobie i Mateuszowi, jeśli nadal będzie tu siedział.

Właściwie było już po sprawie. Mężczyzna nerwowo spojrzął na zegarek, nagle mu się przypomniało, że ma obejrzeć jeszcze jeden dom. Na próżno Lora starała się go zatrzymać, zaklinając się na wszystkie świętości, że nie ma w całej tej sytuacji nic nienormalnego. Naprawdę! Tylko ta kretyńska jest nienormalna, ale ona nie ma tu nic do powiedzenia.

- Mateusz też - dodała. - Przecież nie żyje od ośmiu miesięcy. Zresztą, ta idiotka łże jak pies, on tam przesiaduje dopiero od zmierzchu... Cholera! To nie tak! Oczywiście, że ani teraz, ani o zmierzchu... Jak może tam siedzieć, skoro od ośmiu miesięcy... Dokąd pan idzie?!

Mężczyzna odszedł do samochodu, ani razu się nie obejrzał. Lora popatrzyła za nim smętnym wzrokiem, mruknęła pod nosem:

- Chrzanić to! Jakiś przewrażliwiony dupek miałby kupić moje Wzgórze? Obejdzie się.

I poszła do domu.

Matylda siedziała przed telewizorem, udając, że z wielką uwagą śledzi wiadomości. Bez przekonania szepnęła dwa razy: - Ale miałam szczęście...

Lora jakby tylko na to czekała.

- A jakie ty miałaś, do ciężkiej cholery, szczęście?! - ryknęła.

Matylda popatrzyła na Lorę, zdziwiona konkretnym pytaniem na swe do głębi retoryczne, tyle razy już powtarzane, stwierdzenia. Zastanowiła się chwilę i powiedziała:

- A takie, że mnie to wszystko ominęło. Całe zło tego świata...

Lora parsknęła pogardliwym śmiechem.

- No to uważaj, żeby cię w końcu nie dopadło. Ze zdwojoną siłą.

Matyldzie przemknęło przez myśl, że podobne słowa już kiedyś słyszała. Tylko kiedy i gdzie nie mogła sobie przypomnieć.

Lora wyjęła z szafy trochę swoich rzeczy, upchnęła je do reklamówki, zakręciła się po saloniku, jakby się zastanawiała, co by tu jeszcze zabrać, omijając wzrokiem skuloną na kanapie Matyldę.

- Edward na mnie czeka, nie wiem, kiedy wrócę. Może jutro, może za tydzień... A ty się nad tym wszystkim zastanów. Chcę, żebyś wiedziała, że wcześniej czy później sprzedam to cholerne Wzgórze. I nie przeszkodzą mi w tym twoje żalosne wygłupy.

Rzeczywiście, jakie to wszystko żalosne. Tylko się rozpłakać. Pod warunkiem, że płacz może być czymś naturalnym. Powinien, ale nie jest. Matylda nigdy dotąd nie płakała. Nie miała powodu.

Zeszła z kanapy i poczłapała do obory. Wydoiła krowę i rzuciła jej świeżej słomy, pozbierała jajka, ale wszystkie potłukła, potykając się o zlodowaciałą bryłę śniegu przy szopie. Pal licho jajka, pal licho wszystko. Wylała udojone mleko Tenorowi do miski. Niech pije. Pozamykała oborę i kurnik i zawołała Tenora do domu. Niech się ogrzeje. Ugryzła kawałek chleba i odłożyła go zaraz - miał dziwny smak, właściwie w ogóle nie miał smaku. Nie była głodna. Przez chwilę stała przy telefonie, w końcu podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Michała Dusznego. Jakby mógł przyjechać jutro i dojrzeć zwierząt, to niech przyjdzie. Michał zgodził się, ale był ciekaw, co się stało. Nic się nie stało. Ubrała się, powiedziała Tenorowi, żeby pilnował Wzgórza, potem wlała do baku resztkę paliwa na czarną godzinę, sprawdziła opony, płyn w chłodnicy, wsiadła do samochodu i pojechała. Do matki.

Miłość Edwarda była dla Lory, rozpaczliwie starającej się przez tyle lat o prawdziwe uczucie ze strony jakiegokolwiek mężczyzny, prawdziwą nobilitacją. To dla niej została na Wzgórzu dłużej niż powinna, dzięki niej także zniosła dezaprobatę miasteczka i śmierć Róży. Zwłaszcza śmierć Róży nie była łatwym przejściem. Jej przejmująca nieobecność stawała się z dnia na dzień coraz bardziej nie do zniesienia. Lora przestała wychodzić do miasta, by tej nieobecności tak boleśnie nie odczuwać. Ale długie sam na sam z Edwardem już od wielu dni przestało być słodką przyjemnością. Chodził za nią krok w krok jak dziecko stawiające pierwsze kroki za matką. I te jego ramiona, nieustannie zagarniające ją do siebie. Bliżej i bliżej. Nie odchodź. Z warsztatu wracał biegiem. Wpadał do domu, rozglądał się zdyszany, wołał: „Lora!”. Wychodziła z łazienki albo z kuchni... Zasypywał ją gorącymi pocałunkami, rozgar-

niał dopiero co uczesane włosy, rozpaczliwie usiłując dotrzeć do każdego miejsca, którego parę godzin nie widział i nie czuł.

Pomyślała, że to jest ponad jej siły. Taka miłość to szaleństwo. Nocą, kiedy spał, próbowała wyrwać się z jego objęć, poczuć wyłącznie swój oddech choćby na chwilę, ale on kochał ją nawet we śnie. On oddychał jej oddechem. Była jego płucami, a po wielu godzinach w warsztacie maską tlenową, sercem i skórą. Miłość Edwarda miała wszelkie cechy psychozy. Kochał ją bezwarunkowo. Tak potrafią kochać tylko psy swego pana. I nie zdołały tego zmienić ani złe języki, ani wyrzuty sumienia po śmierci Róży. Resztki rozsądku kazały mu chodzić codziennie do warsztatu i przynosić pieniądze, by mogli przetrwać. A więc nie był do końca szalony. Lora nie mogła tego zrozumieć.

- Dlaczego ty mnie tak kochasz? - pytała z rozdrażnieniem, kiedy sama w żaden racjonalny sposób nie mogła sobie tego wytłumaczyć.

Od czasu rozstania z Mateuszem nigdy nie zaakceptowała siebie do końca. Wiedziała, że czegoś jej brak, a dowodem były przygody z kolejnymi mężczyznami, z których żaden nie traktował Lory jak kobiety swego życia.

Zupełnie rozbita nawałem sprzecznych odczuć, od rana do nocy próbowała coś z tego wszystkiego zrozumieć. Ale nie rozumiała nic. Ani siebie, ani swego nienasyconego kochanka.

Pewnego ranka, wchodząc do kuchni, zobaczyła na stole czerwoną różę. Skojarzenie było natychmiastowe. Zatrzęsa się, położyła dłonie na policzkach i obeszła kilka razy stół dookoła. Na koniec zamknęła oczy, ale kiedy je otworzyła, róża wciąż tam była. Zawołała więc:

- Edward! Co to do cholery ma znaczyć?

Stanął za nią, jego spojrzenie ledwie przemknęło po blacie stołu.

- Nic - powiedział.

- Po co przyniosłeś tu tę różę?
- Nie przynosiłem jej.
- A więc sama tu przyszła?
- Możliwe...
- Edward! Nie jestem idiotką. Kwiaty same nie chodzą. -Nie?
- Proszę cię... Zabierz ją... Zrób z nią coś w drodze do warsztatu.
- Dobrze - powiedział i zabrał różę.

Kiedy wrócił, nie zapytała, co z nią zrobił. Następnego dnia róża była znowu na kuchennym stole. Edward zabrał ją w drodze do warsztatu, a Lora nie zapytała, co się z nią stało. Przestała sypiać. O świcie skradała się na palcach do kuchni, jakby chcąc kogoś przyłapać na głupim kawale, ale nigdy nie było śladu po czyjejkolwiek obecności ani w domu, ani za oknem. Natomiast róża leżała codziennie na stole. Lora pewnego dnia chwyciła tasak i zamierzyła się na nią. Edward powstrzymał ją, przytulił do siebie. Po długim czasie odnalazła radość z bycia w jego ramionach.

- Ed... ja już nie wiem, nie wiem...

Znowu stał się prawdziwym mężczyzną, a nie łkającym o każdy jej oddech kochankiem, chociaż potrzebował go tak samo jak dotąd, a może jeszcze bardziej. W jego zachowaniu nic się nie zmieniło. To Lora zobaczyła go takim, jaki był na początku. Jak co dzień zabrał ze stołu różę, wychodząc, a Lora, opadając bez sił przy tym samym stole, pomyślała, że to wszystko sprawka Róży Lorenc. Może bolała ją samotna miłość męża? Może chciała coś naprawić między nimi?

Z niecierpliwością czekała na powrót Edwarda, nie mogąc się doczekać jego ramion i oddechu, skóry i pełnych niecierpliwości gestów. „Dziękuję ci Róża” - powiedziała, chodząc: po pokoju, a potem znieruchomiała nagle na środku kuchni.

- Zwariowałam.

Chwyła z wieszaka przy lodówce kluczyki od samochodu i biegiem opuściła dom Edwarda. Siedząc do późnej nocy w Piekiełku w towarzystwie przypadkowego faceta, parskała śmiechem, by po chwili wybuchnąć płaczem, paląc jednego papierosa za drugim.

- Cholerne miasto - mamrotała pod nosem. - Wyjeżdżam stąd natychmiast. W jakieś normalne miejsce, gdzie umarli leżą sobie na cmentarzu i nie wtrącają się do świata żywych.

- Aa... aa... le najpierw chodźmy do mnie... - wybełkotał dobrze już wstawiony facet.

Spojrzała na niego z obrzydzeniem i wyszła z knajpy. Późnym wieczorem była na Wzgórzu. Pijana jak dawniej.

-Gdzieee byłaś parę dni teemu? Dzwoniiiiałam cały dzień, żebyś mi zdjęła ze... ze strychu poprane swetry. - Lorze zdawało się, że atak będzie najlepszą obroną; nie miała ochoty na pytania Matyldy, dlaczego znowu piła. - No? Więc gdzieee byłaś? Możesz mi powieeedzieć?

- U matki - odparła Matylda.

- U jaaakiej matki?

- U mojej matki. - I co?

- I nic.

- Chrzanisz - powiedziała Lora i spadła z werandy. Matylda popatrzyła na nią z niechęcią - można się było nie łudzić, że Lora przestanie kiedykolwiek pić. Zresztą, jakie to ma znaczenie: pije, czy nie pije. Jej życie, jej sprawa.

- Przestało mnie to obchodzić - mruknęła. - Nic mnie już nie obchodzi - dodała tępym głosem, schodząc z werandy.

Znowu to samo: podaj to, podaj tamto, ugotuj rosółu... Nie ugotuje jej rosółu. Nie ma kur do zabicia. Wszystkie niosą. Skończyło się.

Lora spróbowała podnieść się o własnych siłach. Prawie jej się udało. Popatrzyła na zagniewaną Matyldę z drwiną.

- No i co ci powiedziała... ta matka? - Parsknęła śmiechem.
  - Nie twoja sprawa - odpowiedziała bojowo Matylda. - Zajmij się swoją matką. Albo córką. Kiedy ostatnio z nią rozmawiałaś?
- Lora w jednej chwili oprzytomniała. Przytrzymując się barierki, patrzyła na Matyldę przymrużonymi oczyma. Wyglądała żałośnie. Ale jeszcze bardziej żalosne było to, co z siebie wykrzyczała:
- Nigdy! Nigdy nie rozmawiałam ze swoją córką!
  - Zawsze brakowało czasu, prawda? - zakpiła Matylda.
  - Nie, cholera! Nie rozmawiałam z nią, bo ona nie mówi. Tylko krzyczy.
  - Twoja córka? - Matylda nie była pewna, czy dobrze zrozumiała.
  - Moja córka! Nie mam z nią kontaktu! Żadnego! Nie rób takiej kretyńskiej miny. Dotarło?

Nie od razu. Najpierw zobaczyła tamto rodzeństwo z domu dziecka i jego groteskowe próby nawiązania kontaktu ze światem. Widziała teraz dokładnie ich gesty i bezgłośnie otwierające się usta, i niemoc w oczach. Zobaczyła siebie ukrytą za drzwiami sypialni, wdychającą łapczywie zapach konwalii, który roztaczała przez krótką chwilę swej niecierplivej obecności ta kobieta... Dopiero na koniec dotarła do niej wizja Julii zamkniętej w ścianach niemocy i tęsknoty. Od śmierci Róży Lorenc nie czuła w sobie takiego żalu. Pustkę, jaka zaraz potem ogarnęła jej zdrętwiałe z żalu zmysły, dane jej było odczuć po raz drugi w ciągu ostatnich dni.

Oddałyby wszystko, żeby tamto się nie zdarzyło. Żeby nie było tych schodów, po których wchodziła z ostatnią w swoim życiu nadzieją, i tych drzwi, w które zapukała, a jeśli już, to żeby nigdy się nie otworzyły. Ale otworzyły się. Wzrok matki spoczął na niej z niechęcią. Matylda zamarła z przerażenia. Stała przed nią stara,

zniszczona kobieta, trzymająca w połamanych reumatyzmem palcach papierosa. Zdumienie na twarzy Matyldy przyjęła pogardliwym mruknięciem, jakby chciała powiedzieć: „A czego się spodziewałaś?”. Matylda spodziewała się, że tak piękne istoty zawsze są piękne. Nie było nawet zapachu konwalii, tylko przytłumiony zaduch przedwczesnej starości.

- To ja... Matylda - powiedziała cicho, zadowolona, że udało jej się ominąć słowo: „Mamo”.

- Czego chcesz? - Zachrypiły głos matki odbił się od odrapanych ścian, tak odrapanych, że w niektórych miejscach widać było żywy tynk.

Wszystko: i dźwięki, i obrazy urągały wyobrażeniu Matyldy o tym spotkaniu. Jeszcze przed chwilą miała nadzieję, że kiedy otworzą się drzwi, padną sobie w objęcia, dwie dorosłe kobiety, które zgubiły się w rządzącej się swoimi prawami minionej rzeczywistości. Czasem chce się tak, a wychodzi inaczej. Matylda to rozumiała i nie czuła żalu o przeszłość. Teraz, kiedy obie nie mają już poza sobą nikogo i niczego na świecie, mogłyby odnaleźć się w przyszłości.

- No? - odezwała się ze zniecierpliwieniem matka. Matylda postanowiła w wielkim skrócie powiedzieć to wszystko, co ułożyła sobie w myślach, jadąc tu.

- Wiem, że przyszedłam na świat wbrew twojej woli...

- O czym ty, cholera, mówisz? - zaskrzeczała matka, przerywając każde słowo kaszlem.

- ...w wyniku gwałtu... - szepnęła niemal Matylda. Śmiech matki był tak nieprzyjemny jak schody, odrapane ściany i widok zagraconego wnętrza za jej plecami. Umilkła nagle, prześlizgując się spojrzeniem możliwie najszybciej po sylwetce Matyldy.

- Słyszałam nieraz - spróbowała jeszcze bronić ostatniej nadziei Matylda - jak ciotki szeptały różne rzeczy...

- Wyciągnęłaś fałszywe wnioski! - przerwała jej ostro mat-



ka. I znowu ten zimny do szpiku kości, krótki śmiech, a po nim złość: - Co ci przyszło do głowy, głupia dziewczyno? Czy myślisz, że pozwoliłabym jakiemuś mętowi siłą... Co za nonsens! W moim życiu zdarzyło się tylko to, na co pozwoliłam.

- Pozwoliłaś mi się urodzić - jęknęła Matyllda.

- I tylko na tyle ci pozwoliłam. Nie dotarło to do ciebie przez tyle lat? Miałaś być inna. Przerażałaś mnie swoją niezgrabnością... łapczywością, z jaką chciałaś wyssać ze mnie młodość...

Nieemożliwe, żeby prawda była tak banalna: dokładnie taka, jak ją wyrzuciła z siebie w złości ciotka Mila.

- Od samego początku było w tobie coś tak natrętnego... Nie mogłam się opędzić... Nie chciałam... Przez ciebie z rodzoną siostrą nie mogłam pobyć tyle, ile bym chciała. Zawsze stałaś za tymi drzwiami, gotowa w każdej chwili ucześcić się jak kleszcz, gdybym tylko zrobiła jeden zachęcający gest... - Znowu krótkie parsknięcie i kaszel. - Zresztą, co tu dużo mówić, Mila nie była lepsza. Nieprzyjemnie było na nią patrzeć i jej słuchać. Mnie otaczało zawsze piękno. Piękne rzeczy, piękni mężczyźni... Nawet twój ojciec...

Matyllda nie chciała nic o tym wiedzieć. Przyzwyczaiła się do myśli, że był nieznany.

- Gdzie to wszystko teraz jest? - zapytała, patrząc tej kobiecie prosto w oczy. Chłód w jej głosie jakby zbił z tropu matkę. Jej wzrok zaczął biegać po kątach, zatrzymał się na jednym z nich. Powiedziała niespodziewanie: - Masz jakieś pieniądze?

Gdyby w jej głosie był choć cień prośby, skruchy... Matyllda usłyszała tylko podszyte wstrętem ponaglenie. Dokładnie takie samo, jakie dotarło do niej podczas jednej z wizyt u ciotki Mili, kiedy odważyła się podać matce płaszcz: „Daj mi to na Boga, nie trzymaj tak kurczowo, nie wyrywaj mi! Mila! Powiedz tej dziewczynie, żeby nie dotykała moich rzeczy! Prosiłam cię”.

- Mam - skłamała Matylda, patrząc matce chłodno w oczy. - Do widzenia pani.

Odwróciła się wtedy i zbiegła szybko po schodach. Przez całą drogę, aż do tej chwili, nie czuła nic oprócz pustki.

Teraz poczuła ją ze zdwojoną mocą: za siebie i za Julię. A przyczyna tego, słodka i śliczna Lora, stała kilka kroków niżej, obrzydliwie żalosa.

- Powinnaś nauczyć się kilku słów w języku migowym -powiedziała Matylda bez emocji. - Służę pomocą.

- Jaaakich słów, cholera?

- Jak poprosić swoją córkę o pieniądze, kiedy będziesz stara i wypalona alkoholem.

Lora podniosła na Matyldę wzrok, starając się wszelkimi siłami utrzymać głowę na swoim miejscu. Nic do niej nie dotarło. Na Matyldę patrzyły pozbawione ludzkich uczuć oczy matki. Powiedziała:

- Dość.

Chwyliła Lorę za kark i zaciągnęła za szopę. Lora była zbyt zdumiona, żeby protestować. Zresztą, wszystko stało się tak nagle, bez jednej chwili na jakąkolwiek reakcję. Przy pieńku, na którym kończyły swój pożyteczny żywot kury, Matylda szarpnęła Lorę i z gwałtowną siłą powaliła na kolana. Dopiero kiedy jej głowa spoczęła na pieńku, Lora wydusiła z bezgranicznym zdumieniem:

- Co... co robisz?

- A jak myślisz? - warknęła Matylda, biorąc opartą o pie-niek siekierę.

Lora szarpnęła się gwałtownie, ale Matylda siłą zahartowanych w polu mięśni przygwoździła ją z powrotem do pnia.

W ułamku sekundy Lora zrozumiała, że nie jest w stanie nic zrobić.

Matylda przewyższała ją trzy razy siłą, a pięć de-

terminacją. Życie jest krótkie i pozbawione niekiedy sensu. Lora nie znalazła jednego powodu, który miałby powstrzymać Matyldę przed zabiciem jej. Po co było tak szarpać się ze sobą, ze wszystkim naokoło, po co było wchodzić tyle razy i wychodzić z ramion mężczyzn, nic w nich nie znajdując. Po co le wszystkie beznadziejne próby nadania swemu życiu jakiegokolwiek namacalnego celu, kiedy ma skończyć jak zwykła kura.

Godząc się z tym, co miało za chwilę nastąpić, widząc kątem oka wiszącą nad sobą siekiere, jęknęła:

- Powinnaś coś powiedzieć.

- Co?! - Matylda, zdeorientowana, znieruchomiała z siekiere w powietrzu.

- Tak jak mówisz do kur, nim je zabijesz. Chyba mnie też się należy parę słów... Bez względu na wszystko.

Matylda znieruchomiała w pozie kariatydy, dźwigającej na swych barkach sklepienie ludzkiej bezsilności. Swojej bezsilności. Akt, który miałby za moment nastąpić, byłby tego wyrazem.

Nie! Niech Lora sama się unicestwi. Niech się pogrąży w nienasyconej pazerności chwytania z życia, co tylko się da i ile się da. Jednak wszystko ma swoje granice. W pewnym momencie nic z życia nie da się już wziąć i wtedy zabraknie bodźca do radości. Matylda do końca swych dni mogłaby się cieszyć każdym porankiem i wieczorem na Wzgórzu.

Niczego, prócz prostych rzeczy, nie potrzebowała do szczęścia. Wzgórze było wszystkim, ale teraz jest już tylko wspomnieniem.

Upuściła siekiere wzdłuż nogi i odeszła.

Lora przez wiele dni nie mogła dojść do siebie. Na samą myśl o tamtym wydarzeniu dostawała dreszczy i pot jej występował na czole. Kłęła Matyldę do woli, ale ta nie reagowała na nic.

Siedziała przy oknie i patrzyła. Tenor leżał przy niej i tylko co jakiś czas zaskomlał żałośnie, zwracając łeb w jej stronę. Matylda nawet go nie pogłaskała. W końcu zniecierpliwiony upomniał się o jedzenie, przynosząc z przedpokoju miskę. Wtedy dała mu jeść. Nakarmiła także inne zwierzęta, wydoiła krowę i znowu usiadła przy oknie.

- Długo zamierzasz jeszcze tak siedzieć? - nie wytrzymała Lora. - Może powinnam cię jeszcze przeprosić za to, że chciałaś mnie zabić? Niewiele brakowało.

Jedno uderzenie siekierą i po wszystkim. Łatwo jest umrzeć, żyć o wiele trudniej. Jakie to żalosne, że człowiek od dnia narodzin walczy ze swym największym wrogiem, nieuniknioną śmiercią, najpierw płaczem dopominając się o pokarm, potem nabierając nawyków, które pozwalają jej uniknąć, by i tak skończyć w chłodnych objęciach przeznaczenia. Człowiek każdego dnia walczy o przetrwanie, a wszystkie te zabiegi, poza ekstremalnymi sytuacjami, znajdują się poza wszelką świadomością. Nikt zdrowy na umyśle nie zastanawia się, czy ma przeżyć kolejny dzień, tylko - jeśli już - w jaki sposób. To ciekawe, pomyślała Lora, z ilu jeszcze oczywistych rzeczy można sobie na tym odludziu zdać sprawę. W normalnym świecie nie ma czasu ani miejsca na podobne dylematy czy też podobne sytuacje, albo dziwolągi, jak Matylda. Co się stanie z Matyldą, jeśli będzie zmuszona w końcu opuścić Wzgórze? Telefon wybawił Lorę od konieczności udzielenia sobie odpowiedzi na to pytanie. Dzwoniła koleżanka ze starej redakcji z informacją, że przyszedł na ten adres do Lory list. Z Anglii.

- Z Anglii? - zdziwiła się Lora. Kto i czego może od niej chcieć z Anglii? Tego samego dnia po południu, zostawiając Matyldę przy oknie w kuchni, wyjechała do Warszawy, by się wszystkiego dowiedzieć.

Odrzucona przez ojca w dzieciństwie. Zapomniana jak zabawka, która przestała być ulubioną zabawką. Ile razy zadawała sobie pytanie, dlaczego ojciec nigdy nie szukał z nią kontaktu, nie walczył o weekendowe spotkania. Gdyby chodziła do psychoanalityka, wszystkie swoje niepowodzenia z mężczyznami tłumaczyłaby tym bolesnym faktem. Nie chodziła do psychoanalityka, ale sama doszła do wniosku, że ma skazę, która nie pozwala facetom zostać przy niej na długo. Za każdym razem, gdy związała się z kimś, na kim jej zależało, był w niej strach, że zaraz wszystko się skończy. I kończyło, bo mężczyźni nie lubią strachu. Mateusz dopełnił miary. Biedna Lora, zostawiona przez wszystkich mężczyzn świata z wyjątkiem Edwarda Lorenca, ale kto wie, o co tak naprawdę chodzi Edwardowi i czy jej tak samo nie zostawi, jeśli tylko uwierzy w jego miłość.

Siedząc w redakcyjnym korytarzu i miętosząc w rękę list od kobiety, która dwadzieścia parę lat spędziła u boku jej ojca, mimochodem obserwowała za witryną oddzielającą korytarz od dziennikarskich boksów (przyszło jej na myśl, że kury Matyldy mają w kurniku więcej miejsca na swe kurze sprawy) nerwowy rój, na który składali się jej dawni koledzy, koleżanki, a nawet przyjaciele. Jedni sprawdzali coś w Internecie, inni wrzeszczeli do słuchawki telefonu stacjonarnego, drudzy do komórki, trzeci do obydwu naraz. Nowy naczelny, jak się dowiedziała, miał ambicje uczynienia z gazety, która do tej pory reprezentowała jaki taki poziom, wysokonakładowego szmatławca. Przez moment, kiedy tu weszła, zastanawiała się, czy nie wrócić do redakcji, odnaleźć się w dawnej atmosferze, odzyskać normalne życie, ale z miejsca zorientowała się, że przynajmniej atmosfera już nie taka. Chciała z kimś uczciwie porozmawiać, powspominać, ale po paru minutach miała dość wymiany frazesów i banałów. O wypiciu kawy w barze (w tym barze, w którym gromadnie jeszcze nie tak dawno spędzali długie godziny) nie było mowy. Kto ma czas na wysiady-

wanie w barze, żartujesz! Masz ochotę na kawę? Jest w automacie. Ohyda, ale można się przyzwyczaić.

Nim otworzyła list, trzasnęły główne drzwi i ze swych klatek wyszło dwóch jej dobrych znajomych. Uśmiechnęła się na samą myśl, ile godzin spędzili ze sobą przy barze, rozmawiając nieraz do świtu o wszystkich sprawach tego świata, prostych i skomplikowanych. Każdy temat jest ważny w grupie przyjaciół. Wspaniałe chwile. Teraz jeden z nich wykrzyknął zbulwersowany:

- Facet popełnia samobójstwo z powodu ośmiu tysięcy długu w banku? I to jest, uważasz, temat?! Jak się masz, Lora! Nie wpuszczaj mnie w jakiś kanał, zgoda? Gdyby jeszcze podpalił się pod tym bankiem, to co innego...

Znikli za drzwiami, a Lora poczuła w sobie całą nędzę tego świata. Zrobiło jej się głupio i nieprzyjemnie jak nigdy dotąd. Gdyby była jeszcze dziennikarką, poświęciłaby biednemu człowiekowi, którego banalny dla niektórych dług postawił w sytuacji bez wyjścia, całą pierwszą stronę. Ale nie była i nie chciała już być. Zresztą, czy aby na pewno byłoby ją jeszcze stać na jakiś ludzki odruch? Facet nie zrobił tego dla pośmiertnego artykułu na czołówce w pierwszym lepszym szmatławcu. Dla niektórych inne rzeczy są ważniejsze. Ważniejsze niż cała ta miałość i małość, wypływająca ze sztucznie napędzanej bezlitosnej konkurencji. Kto się nad tobą teraz pochyli, biedny człowieku, zapyta, czemu to zrobiłeś... Niektórzy powiedzą, że taka jest kolej rzeczy. Na powierzchni zostają ci, którym dla ośmiu tysięcy nie chciałoby się splunąć. Jak się masz, Lora.

Wcześniej kobieta, która jej przekazała list (jeszcze rok temu brały nieraz jeden temat i pracowały nad nim wspólnie, oddając zawsze jeśli nie wystrzałowy, to przynajmniej solidny materiał), powiedziała w przerwie między jednym a drugim telefonem:

- Chcesz wrócić? Uczciwie ci powiem, że nie będzie łatwo. Na rynku są tysiące takich jak ty. Z prędkością światła wpasowują się w każdą wolną niszę. I tylko z jakąś bombą, rozumiesz. Pamiętasz, jak robiłyśmy jakiś temat? Czasem nam się nie chciało, odkładałyśmy na jutro, na potem... Zapomnij o tym. Teraz liczy się czas. Musisz być pierwsza! Wykryć aferę, nim ona powstanie, być na miejscu zbrodni, nim morderca wyciągnie szczyryk czy kałacha. Łapiesz?

Co zrobić z listem z Anglii od kogoś, kto zadał sobie tyle trudu, by ją odnaleźć? Otworzyć. Przeczytać wreszcie. Wyjść z tego budynku i przeczytać list. Nie ma się co bać. Nikt, kto ma odrobinę serca, nie przekazuje w liście bardzo złych wiadomości.

Nie odpowiadając na kolejne „Jak się masz, Lora”, wyszła z redakcji, zjechała windą z dwoma młodzieńcami o plastikowych półuśmiechach, którzy z całą pewnością wiedzieli wszystko o giełdzie i najnowszych trendach w gospodarce światowej, ale nic o sąsiedzie z góry bądź z dołu, od którego odeszła żona, bo stracił pracę, syn nie ma dla niego czasu, a córka od dawna się go wstydzi. Od którego czuć tani alkohol. Może został mu chociaż pies?

- Och, do diabła, odbija mi - mruknęła do siebie, wchodząc w tłum, ale nikt nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Wydarła z koperty list i idąc, zaczęła go czytać. Parę osób obejrzało się na nią ze zdumieniem. Kto teraz dostaje listy?

Jak ci ludzie pędzą z pochylonymi karkami niczym szczury w bezlitosnym labiryncie, jak biegają, nie oglądając się na nic... Kilku osobników opanowało trudną sztukę wyjścia z każdej sytuacji, reszta odbija się od linii wyznaczającej granice istnienia, biega w kółko, miota się tam i z powrotem. W nieskończoność. Co zrobić po przeczytaniu listu, w którym kobieta jej ojca pisze, że tyle razy próbowali się z nią skontaktować? Tyle razy chcieli jej powiedzieć, że ojciec tęsknił za nią

zawsze, od samego początku, mogła przyjechać, kiedy dorosła, tyle lat minęło, w końcu przestali pisać, bo domyślili się, że Lora nigdy nie dostała żadnego listu, ale próbowali mimo to co jakiś czas, mając nadzieję, że tym razem list nie wróci, że Lora otworzy go wreszcie i dowie się, że tatuś zawsze miał ją w sercu przed wszystkim innym... W końcu zdobyli adres tej redakcji. Jeszcze raz próbują, może się uda. Lora przeczytała list dwa razy, potem schowała go do torebki, wyjęła, przeczytała jeszcze raz i dopiero wtedy poszła do matki.

- Mamo - powiedziała, ledwo drzwi przymknęły się za jej plecami - nie mam zamiaru robić ci wyrzutów i rozumiem, że chciałaś się zemścić na ojcu za to, że wybrał inną kobietę, ale dlaczego, u diabła, nie wyprowadziłaś mnie w końcu z błędu? Od tylu lat jestem już bardzo dorosłą kobietą. Ty też miałaś czas, żeby w końcu pozbyć się tej zawiści i zrobić mi prezent na dwudzieste pierwsze albo choćby trzydzieste urodziny, powiedzieć parę słów, sprostować jeden fakt, albo oddać mi wreszcie jeden z dziesiątków listów od ojca. Mamo!

- Chciałam...

- Nieprawda! Myślałaś tylko o tym, żeby mu dopiec. Jeszcze miałaś czelność wyrzucać mi, że nie potrafię zatrzymać przy sobie żadnego faceta, że moje życie to jeden wielki chaos, gdzie nie ma miejsca na dziecko, które urodziłam i tyle razy mi to powtarzałaś, aż w końcu uwierzyłam. Przygotuj Julię.

- Na co?

- Jeszcze nie wiem dokładnie, ale ją przygotuj.

- Nie pozwolę ci!

- To moje dziecko.

- Twoje dziecko to kaleka.

- Nie wiem, czyje kalectwo większe, jej czy moje. Przygotuj ją.

Wyszła szybko z domu, żeby nie dać się znowu omamić i uwierzyć po raz kolejny, że nie nadaje się na matkę dla Julii.



Może i się nie nadaje, ale to jeszcze nie powód, by jej córka miała żyć z kimś, kto nie potrafi ani zapomnieć, ani wybaczyć, ani kochać. Nie ma powodu też, by dalej wpajano w nią, że lo ona, Lora, pozbawiła ją ojca. Jeśli matce nie chce się zrozumieć, a potem wytłumaczyć, że nie było innego wyjścia, to tym bardziej - najwyższa pora pewne sprawy zakończyć.

Jeden list, zwykła kartka papieru wystarczyła, żeby dokonać rozrachunku z pogmatwaną przeszłością? To by było za proste. Nic nie może być tak proste, ale wszystko jedno, postanowione, coś się powinno zmienić. Coś się musi zmienić. Gdyby była dobrą matką i w ogóle kobietą, która wie, czego chce, wiedziałyby. A tak nie wie. Nie ma pojęcia. Co zaoferować dziecku takiemu jak Julia? Co zrobić, żeby nie wystawiać w nieskończoność na próby tej nadzwyczajnej wrażliwości. Nie ma pojęcia, żyje jak wariatka. Bez żadnego planu, bez celu.

Matylda siedziała przy kuchennym stole od wielu godzin. Zrobiła, co miała zrobić, i teraz czekała.

Kiedy wstała o świcie i zaczęła wyjmować z szaf swoje rzeczy, na moment wpadła w panikę, bo przyszło jej do głowy, że nie ma żadnych waliz, w które mogłaby się spakować. Jeśli się opuszcza jakieś miejsce, trzeba się spakować, nie ma rady. Wtedy jest jasne, że się dane miejsce opuszcza, a nie tylko wychodzi na godzinę lub dwie do miasta.

Podręczna torba podróżna Mateusza, znaleziona na dnie szafy (jak to się stało, że jej nie spaliła?), ratowała w pewnym stopniu sytuację. Wyjęła ją, wytarła z kurzu, rozpostarła na podłodze i włożyła do niej swoje rzeczy.

Okazało się, że bez specjalnego upychania pomieściła wszystko.

Niedowierzając, jeszcze raz pootwierała szafy i powysuwała szuflady, ale wszystko, co w nich znalazła, należało do Lory. Cała jej przeszłość zamknęła się w jednej torbie podróżnej. Nie ma się co

oszukiwać, rzeczy mówią same za siebie - takie życie, taki dorobek. Całej reszty: zwierząt, z których każde było ważniejsze od tych paru męskich koszul, swetrów i jednej spódnicy, nie zamknie w żadnej torbie i nie zabierze ze sobą.

Czekała.

Przed południem zniecierpliwiona wyszła z domu i wyrwała siekierę z pieńka przy szopie. Pewnych rzeczy nie da się odkładać w nieskończoność.

W kilka minut wybiła połowę kur. Wchodziła do kurnika, wyciągała je po kolei, kładła na pieńku i uderzała siekierą. Raz, dwa, trzy... W pewnym momencie zawahała się i to wystarczyło, żeby zobaczyć przerażenie kur, obijających się po ścianach kurnika. Wtedy przeraziło ją do szpiku kości to bezosobowe, mechaniczne zabijanie. Kury ginęły anonimowo, jak w wielkich hodowlach, bez słowa pocieszenia i bez zgody na śmierć.

Upuściła siekierę i zatrzęsała się całym ciałem.

Do czego to doszło? Po tylu latach dobrego i spokojnego życia, kiedy największym problemem był brak deszczu lub jego nadmiar. A to jeszcze nie koniec, tylko początek. To, co najgorsze, dopiero się zaczyna. Ptactwo ostatecznie można jeszcze wymordować. Zamknąć oczy i uderzać po kolei, skoro już się zaczęło. Ale jak przeżyć śmierć innych zwierząt, poczynając od Białej Damy, która z nieznaną dotąd nieufnością patrzyła na Matyldę zza rogu szopy, kończąc na krowie, do boku której tysiące razy przytulała głowę przy dojeniu.

Niech ten Michał w końcu przyjedzie i niech to się raz wreszcie skończy. A wystarczyło zabić Lorę. Wtedy jak przyjechała i rozpanoszyła się ze swą zachłannością. Jak wracała pijana i zwała się ze schodów werandy. Albo nie stchórzyć w tamtym momencie, gdy siekiera wisiała już nad jej głową. Wystarczyło się nie zawahać. Nie byłoby tego.

W południe przyjechał Michał Duszny. A zaraz za nim bora. Jak śmiała! Popatrzyła na torbę na schodach werandy, na Michała Dusznego zmierzającego w stronę skulonej przy szopie Matyldy, na krew przy pieńku i poniewierające się zwłoki kur. Zapytała:

- Co tu się dzieje?

Michał także zawiesił pytający wzrok na Matyldzie. Może ktoś by mu wreszcie coś wyjaśnił. Czy wszystkie zwierzęta nagle zachorowały, że kazała mu przyjechać „ze wszystkim”?

Lora bezustannie dopytywała: - Matylda, co tu się dzieje? - ale Matylda ignorowała ją. Nie chciała na nią nawet patrzeć.

- Trzeba je uśpić. - Z ust Matyldy wyrwał się wreszcie jakiś bełkot, bo na pewno nie słowa, chociaż każde z osobna można było w tym bełkocie wyodrębnić.

Oboje, Michał i Lora, spojrzeli na siebie. Po krótkiej chwili Lora wzruszyła ramionami.

- Mówiłam, że jest nienormalna? Czysty kretynizm, usypiać zwierzęta w samo południe; przecież dopiero co wstały.

Wtedy Matylda wykrzyczała z siebie wyraźnie:

- Zabić! Trzeba je wszystkie zabić!

Po czym cicho dodała, że nie zostawi zwierząt na pastwę losu. Kury jeszcze można wyrznać, jeśli ktoś zdoła, bo ona już nie, albo rozdać ludziom. Kury to kury, przyzwyczajają się. Ale Bela, Tenor i Kreska, a nawet Biała Dama! Nie przyzwyczajają się. Wie to, bo była z nimi całe życie.

- Co cię nagle opętało? - mruknęła Lora, lecz Matylda konsekwentnie nie zwracała na nią uwagi.

Michał wreszcie zrozumiał, o co chodzi Matyldzie.

- Nie mogę uśpić zwierząt. Nie wolno mi...

- Dlaczego? - jęknęła Matylda.

- Tylko w wypadku choroby... - tłumaczył delikatnie. - Żeby skrócić cierpienie...

- Właśnie tak do tego podejź. Uśpij je, żeby nie cierpiały.

Michał pokręcił głową. Dał znać Lorze, żeby odeszła. Zrobiła to niechętnie, z wielkim ociąganiem oddaliła się do domu. Wtedy Michał ogarnął ramieniem skulone plecy Matyldy.

- Naprawdę chcesz odejść? - zapytał.

- Wiesz, że nie mam wyjścia. Dawno powinnam to zrobić i nie łudzić się w nieskończoność, że coś się w końcu ułoży. Nic się nie ułoży. Nic.

Michał milczał przez chwilę, obejmując z wielką delikatnością jej plecy.

Otwierał usta i zamykał je na nowo; widać było, że to, co chce powiedzieć, nie jest łatwe. W końcu jednak powiedział:

- Mogłabyś zamieszkać ze mną. Znalazłoby się miejsce. Może nawet dla Tenora i Kreski...

Matylda gwałtownie pokręciła głową.

- Nie. Czas już to przerwać. -Co?

- Ten ciąg zdarzeń, który nie prowadzi do niczego. Zawsze zjawia się ktoś i ratuje mnie od bezdomności. Na rok, dwa albo siedem... Już nigdy nie uwierzę, że coś jest na zawsze, jak ostatnio. To bardzo boli, Michał...

Pierwszy raz powiedziała do niego po imieniu. Nawet kiedy się kochali, nie nazwała go, jak na to czekał. Mówił do niej: „Matylda, moje życie, moja Matylda...”. Odpowiadała: „Obejmij mnie mocniej”. Obejmował i czekał całą wieczność, aż go w tej wieczności zidentyfikuje. Był tylko mężczyzną, chciał wiedzieć. Ale ona nigdy go nie nazwała.

Trudno się dziwić, że teraz omal nie zwariował. Ruszyła wyobraźnia: już widział ją w każdym zakamarku swego smutnego i nieśmiałego jak on domu. Już budził się i zasypiał przy niej. Już pakowała mu torbę i czekała, aż wróci z wizyty... Niczego w życiu tak nie pragnął, jak Matyldy.

- Wzgórze było moim ostatnim miejscem - zakończyła całą sprawę i ponagliła w tej samej chwili: - Zrób to dla mnie.

- Oczywiście - skinął z rezygnacją głową. - Wiesz, że zrobię dla ciebie wszystko.

Otworzył torbę, znalazł strzykawkę i zaczął szukać zastrzyku.

Z domu wyszła Lora.

-Matylda, co, do cholery, robi na schodach jakaś torba z twoimi rzeczami? Może mi wreszcie powiesz, co tu się dzieje?

Matylda odwróciła się gwałtownie plecami do Lory, objęła ramionami, znieruchomiła.

Michał, szykując zastrzyk, wyjaśnił z prawdziwą rozpaczą w głosie:

- Ona odchodzi. Nie wiesz? Dlatego każe uśpić zwierzęta.

- Ach tak... - Lora pierwszy raz w życiu nie wiedziała, co powiedzieć.

Patrzyła to na Michała, wyprowadzającego z obory krowę, to na Matyldę zamkniętą w sobie jak skała. - Psa też?

- Też - przytaknął Michał.

- No i dobrze! - Lora straciła cierpliwość. Odkąd to takie sprawy dzieją się za jej plecami? - Niech sobie usypia. I te kury też niech podobija. Niech mi tu nie łażą i nie gdakają jak najęte. A na koniec siebie, jak taka mądra.

Daj jej podwójną dawkę! Albo i potrójną. Będę cię kryła.

Wróciła do domu, zatraskując za sobą drzwi z taką siłą, że z dachu spadła bryła śniegu, leniwie drzemiąca tam od pierwszych mrozów.

Michał wyprowadził krowę, zerkając kątem oka na Matyldę.

- Może najpierw... - zaskomliła.

- Najpierw Tenora? - podpowiedział.

- Nie... Może najpierw...

- Ale co za różnica! - Wreszcie pozbył się całej łagodności, którą miał nadzieję ją jeszcze powstrzymać. Nie chciał tego robić. Wiedział, że będą cierpieć wszyscy troje: ona, on i zwierzę. Rzucił obcesowo: - Przytrzymaj Tenora. Obejmij go. Zaraz będzie po wszystkim.

- Myślisz, że jego najpierw? Że się zorientuje? - próbowała sobie jeszcze coś tłumaczyć.

Skinął głową.

- To mądry pies.

Zdawało mu się, że Tenor już wie. Sam podszedł do Matyldy i dotknął łbem jej kolana.

Lora znowu pokazała się przed domem. Zapaliła papierosa i wydmuchując dym z namaszczeniem, kiwała z uznaniem głową.

- Dobrze, że o tym wszystkim pomyślałaś - zawołała do Matyldy - i nie zostawiasz mi tej menażerii na głowie. Cholerne zwierzęta! Co robisz Tenorowi?

- Daję mu zastrzyk.

Michał wbił już w szyję psa igłę, kiedy Lora dopadła do nich i wyrwała Tenora z litościwego uścisku Matyldy.

- Po moim trupie! - warknęła. - Pies zostanie w domu, tam gdzie jego miejsce.

Matylda zaprotestowała:

- Nie zostawię ci psa. Pójdiesz w tango, a on będzie się błakał po okolicy.

- Dużo masz do powiedzenia.

Lora machnęła ręką lekceważąco, po czym zagnała trzęsącą się z zimna - albo z przeczucia tego, co było blisko - krowę do obory. Kreska sama popędziła z bekiem pod ciepły dach. Biała Dama z zaciekawieniem kręciła łbem na wszystkie strony, w końcu Lora kopniakiem, jak zawsze, pokazała jej wejście do kurnika.

Kiedy wreszcie na podwórku zapanował spokój, Lora syknęła do oszołomionej Matyldy:

- Do domu! Dość już tego cyrku. Michał, nie masz jakiegoś pilnego wezwania, że tak stoisz bezczynnie?

- Akurat nie...

- To idź się migdalić z Matyldą na górę. Lepsze to, niż stać na mrozie i zastanawiać się, co by tu uśmiercić. - Łypnęła

wzrokiem na Matyldę. - A ty powinnaś się leczyć. Strach pomyśleć, co się może zdarzyć, jak ci się siekiera nawinie pod rękę. Ciekawa jestem, co teraz zrobisz z tymi kurami. Chciała iść do domu, ale Matylda zatrzymała ją.

- Lora! Ja tak dalej nie mogę. Muszę wreszcie zacząć jakieś życie...

Lora przywołała na swą śliczną twarz pobłażliwy uśmiešek.

- Nie chrzań. W pewnym wieku i po pewnych przejściach nic się już nie zaczyna, tylko trzyma tego, co się ma. Właż do domu, nie denerwuj mnie.

Matylda potulnie poszła do domu za Lorą. Michał sam się zaprosił. Na werandzie potknął się o torbę podróżną. Lora skwitowała to śmiechem.

- Widziałeś ją? Chciała wyruszyć w ten popapwany świat z takim bagażem. Masz pojęcie!

- Cóż, jedni mają bagaż, inni nie - skwitował tyleż filozoficznie, co dyplomatycznie Michał.

Lora rozparła się na kanapie, zrzuciła buty i podkułiła stopy pod siebie. Westchnęła z zadowoleniem.

Matylda z zachmurzoną miną nastawiła wodę na kuchence. Lora delectowała się ciepłem i wygodą. Masując delikatnie zmarznięte stopy, powiedziała cicho do Michała:

- Za każdym razem, jak dam stąd nogę na dzień czy dwa, tęsknię jak cholera za tym wszystkim.

Michał żadnego innego dnia nigdy nie wypowiedziałby połowy tych słów, jakie dziś padły z jego ust. Ciągłe ośmielony zwiększoną dawką adrenaliny, która wciąż w nim buzowała, podpowiedział:

- Może po prostu pokochałaś Wzgórze.

- Zaraz wielkie słowa! - zachnęła się Lora. - Nie wiem... Jakoś tak...

Tęsknię za tym, bo to jest prawdziwe.

- A Matylda?

Lora westchnęła z rezygnacją.

- Matylda jest najprawdziwsza. Taka jest, niestety, prawda. Michał, patrząc na Matyldę, jak krząta się przy kuchni, udając, że nic nie słyszy, powiedział:

- Ja też za nią tęsknię.

Lora omiotła wzrokiem salonik, kuchnię i zmurszałe schody prowadzące na górę; jeśli nie wszystko, to te schody wymagały natychmiastowej renowacji.

- No tak - westchnęła - to teraz jestem już naprawdę bez grosza.

Bezpowrotnie. Głupia jestem jak nic, ale chrzanić to.

Do Matyldy dopiero w tej chwili dotarło, co chce zrobić Lora, a raczej czego już nie robi.

- Nie sprzedajesz Wzgórza? - wyrzuciła bez tchu.

- Nie sprzedajesz Wzgórza... Nie sprzedajesz Wzgórza... - przedrzeźniała z udawaną złością Lora. - Dobrze wiedziałas od początku, że nigdy go nie sprzedam.

Pal licha to „dobrze wiedziałas” (przecież nie wiedziała), ale „nigdy”?

- Lora, naprawdę nigdy? To znaczy, że zawsze?

- Nie ma nic na zawsze, idiotko. - Lora pogardliwie wydeła usta. - W każdej chwili wszystko może szlag trafić. O! i właśnie dlatego nie sprzedam tego cholernego Wzgórza. Nie myśl sobie, że z twojego powodu albo coś takiego.

- W ogóle tak nie myślałam.

- No to nastawiaj wodę na rosół, skoro już tak poszalałaś z tymi kurami.

- Lora, nie...

- Co nie?

- Nie z tych kur. One są jak... jak trupy... Lora chwyciła się za głowę.

- Matko święta, co za różnica! Przecież tak samo zabiłaś je siekierą!

- Zamordowałam je, to co innego. Nie mogę.

-No więc spraw im pogrzeb, a potem oddaj się w ręce policji! - wybuchła Lora. W gruncie rzeczy potrzebny był jej ten wybuch; nagromadzone obawy i wątpliwości zamieniły się w jakieś konkretne emocje. Zrobiło się jej lżej. - Tyle zmarnowanego drobiu - dodała z niesmakiem. - Pomyśl teraz, co zjemy na obiad, bo ja nie mam pomysłu. A jeszcze mamy gościa...



- Ja nie... Ja... - Michał poderwał się, znów onieśmielony -muszę jechać! -  
I już go nie było.

Matylda zakopała kury za oborą - poukładała je z wielką czcią jedną przy drugiej, przysypała kilkoma łopatami przemarzniętej ziemi i powiedziała na koniec parę słów, które im się należały. Potem wróciła do domu. Lora spała na kanapie. Patrząc na nią przez chwilę, Matylda pomyślała, że wygląda jak zmęczone długą zabawą dziecko. Wiele razy widziała ją śpiącą, ale jeszcze nigdy nie dostrzegła na jej twarzy takiego spokoju jak tego popołudnia. Dotąd nawet Lora we śnie była Lorą ciągle szukającą nie wiadomo czego. Teraz jakby wbrew woli podjęta decyzja o losach Wzgórza złagodziła jej rysy i dała spokojny oddech. Matylda okryła ją kocem, usiadła na oparciu kanapy i dopiero wtedy, po raz pierwszy od miesięcy, odetchnęła z ogromnym spokojem i ulgą. I niemal w tej samej chwili zaczęła drżeć na całym ciele. Obejmowała się ramionami i łapała głębokie oddechy, ale ciało za nic nie mogło się uspokoić. Wiedziała, że spływa z niej wielomiesięczne napięcie, więc ciągle trzęsąc się jak w gorączce, wyszła z domu i stała na mrozie, póki wszystko nie minęło. Potem ugotowała kartofle, obsmażyła je na resztkę oleju, dołożyła do tego ogórki konserwowe ze słoika i dopiero wtedy obudziła Lorę. Zjadły kolację w milczeniu, spoglądając leniwie i bez żadnej nadziei w okno, a kiedy potem Matylda sprzątała ze stołu, Lora mruknęła pod nosem, że nawet to było niezłe. Takie; nic.

Przez pewien czas życie na Wzgórzu toczyło się z pozoru normalnie. Chwila mijała za chwilą, godzina za godziną. Dni robiły się coraz dłuższe i cieplejsze. Każdy dzień zdawał się być cichszy i spokojniejszy od poprzedniego. W Matyldzie tkwił jednak mimo wszystko nieustający niepokój, a senna apatia Lory, leniwe spojrzenia przesuwające się po przedmiotach i drżenie rąk - wszystko to przypominało stany, w jakich Lora znajdowała się na kacu. Ale nie piła od wielu dni i Matylda dobrze o tym wiedziała.

- Wszystko jest takie niestałe i nie wiadomo do czego prowadzi - odezwała się wreszcie pewnego popołudnia, kiedy robiły porządki w szafkach kuchennych, jakby zmęczona własnym stanem. -

Powierzchowne - dodała, ledwo otwierając usta.

- Co? - odważyła się zapytać Matylda, przeczuwając, że filozoficzna nutka w tonie Lory nie wróży nic dobrego.

Życie, usłyszała w odpowiedzi, całe jej życie. Płytkie jak wyschnięta rzeka, do której suchą nogą może wejść każdy mężczyzna. I wyjść. Nie czuje do siebie odrobiny szacunku. Jak w takim układzie liczyć na szacunek ze strony innych? I żeby stawała na głowie, nic nie może w sobie zmienić. Wie, że już się nie zmieni, tak będzie do końca. A potem? Żałosny finał żalosnego życia.

- Nie mam pojęcia, czemu nagle tak to roztrząsas - zareagowała Matylda, chcąc przerwać wywody Lory. - Czemu nagle zabolęła cię własna moralność? I co to właściwie jest? Ja nie oceniam nikogo, ale wiem, że ci na wskroś moralni wyrządzają innym większe lub mniejsze krzywdy... Ty nikomu nie robisz krzywdy. Chyba że sobie samej.

- A Róża?

- Och, Róża... - Matylda wysunęła pustą szufladę i zaczęła ją dokładnie wycierać. - Widać tak to miało być.

- Nie broń mnie. Wiem, jaka jestem. W każdej chwili mogę dokumentnie schrzanić sobie życie. Sobie lub innym.

- Do czego zmierzasz? - zapytała Matylda wprost. Lora jakby czekała na to pytanie.

- Nie zasługuję na Edwarda. Nie mam prawa poniżać go czy wręcz ośmieszać. Nie jego. Pewnego dnia jakiś facet znowu zawróci mi w głowie, a ja nie znajdę w sobie żadnego hamulca, żeby kolejnej żalösnej sytuacji zapobiec.

- On cię tak kocha.

- Odchrzań się, Matylda - warknęła Lora. - Nie udawaj, że nie rozumiesz, o czym mówię.

- Mówisz o sobie, ale mam wrażenie, jakbyś mówiła o jakimś śmieciu i tego tylko nie rozumiem.

- Daj spokój. Nigdzie i przy nikim nie zagrzeję miejsca na czas, który pozwoliłby mi się do kogoś czy czegoś przywiązać. To wszystko.

Matylda poddała się.

- Byłabym dumna i szczęśliwa - zauważyła jednak na koniec - gdyby ktoś mnie tak kochał jak ciebie Edward.

- Myślałby kto, biedna, niekochana przez nikogo Matylda. Wkurza mnie, jak robisz z siebie taką ofiarę losu. A Michał to co? - zaatakowała Lora otwarcie.

- Michał? Michał Duszny?

- Nie, Michał Anioł!

Matylda posmutniała nagle. Usiadła na podłodze, skrzyżowała nogi i objęła je rękoma.

- Michał od czasu do czasu ma ochotę się ze mną przespać. Ja też, więc to proste.

- A nie przyszło ci czasem do głowy, że potrzebuje twojej bliskości nie tylko fizycznej?

Matylda wzruszyła ramionami.

-Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć... Dla Michała jestem dużym zwierzątkiem o wrażliwości małej kobietki.

- Sama na to wpadłaś? - Lora pochyliła głowę, żeby ukryć rozbawienie.

- On mi to kiedyś wymamrotał.
- W jakiej sytuacji? - Lora nie próbowała już ukryć rozbawienia.
- Intymnej. Interesują cię szczegóły?

W jednej chwili parsknęły śmiechem. Matylda poczuła się prawie szczęśliwa, że ponury nastrój Lory gdzieś się ulotnił. Usiadły na ławie, popatrzyły na siebie z uśmiechem i wtedy Lora powiedziała:

- Też nie mogę powiedzieć, żebym cię nie lubiła. Matylda nigdy w życiu nie słyszała takiej nedorzeczności.

- Ale... ale jak to?
- Normalnie, idiotko. Nawet cię lubię. Czasami. Jak siostrę.
- Nikt nigdy mi nic takiego nie powiedział.
- Ja też ci więcej tego nie powiem. Dość tych czułości.

Matylda zaczęła chodzić po kuchni z rękoma przyciśniętymi do policzków, nie mając odwagi spojrzeć na Lorę, obgryzającą jakby nigdy nic paznokcie.

- Ale ja przecież chciałam cię zabić! - zawołała nagle w olśnieniu.
  - Wiem. Ze sto razy o tym mówiłaś - skwitowała Lora ze spokojem.
  - Raz o mało... prawie że...
  - To prawda. Mało brakowało. Już czułam ostrze siekiery na szyi i chyba zaczęłam się wtedy modlić. Nie wiem, o co. Chyba tak ogólnie; człowiek w szoku nie jest w stanie myśleć trzeźwo. - Wypluła bezceremonialnie kawałek paznokcia. -Ale byłaby heca, gdybyś mnie wtedy zabiła.
- Przez kilka sekund patrzyły na siebie, a potem wybuchły jednocześnie głośnym śmiechem. Śmiejąc się, upadły na podłogę i zaczęły się po niej tarzać jak dzieci, a nie dwie dojrzałe kobiety po przejściach, poszukujące miłości, spokoju, azylu dla ciała lub skołatanych myśli w jednej chwili, w następnej wszystko to odrzucając. Te dwie kobiety, ogień i woda, nigdy

dotąd nie były tak bardzo podobne do siebie jak w chwili beztróskiego śmiechu.

Po krótkim pukaniu, którego nie słyszały, wszedł Michał. Popatrzył ze zdumieniem, jak leżą na podłodze, jedna i druga wsparta na łokciu, i patrzą na siebie z radością.

- Czy coś się stało?

W odpowiedzi parsknęły śmiechem. Wycofując się, powiedział zawstydzony:

- To ja... ja poczekam.

Kiedy wyszedł, spoważniały nagle, zerknęły na siebie ze zrozumieniem. Nie musiały nic więcej tłumaczyć. Lora rozumiała Matyldę lepiej, niż Matylda siebie samą, i odwrotnie.

- Zawsze bałam się - zaczęła ostrożnie Matylda - jak wracałaś pijana samochodem, że jakieś drzewo stanie ci na przeszkodzie. Albo że wypijesz o jednego za dużo i już się nie obudzisz.

- Dlaczego?

- Wszyscy przy mnie umierali - zakończyła Matylda, wstała z podłogi i pozamykała wytarte z kurzu szuflady.

Potem wyszła z domu, wzięła za rękę Michała, czekającego na werandzie, i zaprowadziła do swego pokoju na górze.

Kochali się bez słów, z rozpaczliwą czułością i tęsknotą, jak za pierwszym razem. Zapinając bluzkę, kiedy było po wszystkim, Matylda powiedziała:

- Ale nie łudź się, że zamieszkać z tobą albo wyjdę za ciebie za męża.

- Dlaczego?

- Ja wiem dlaczego.

Wieczorem, kiedy do Matyldy dotarło wreszcie, że dla Lory nastął właśnie czas ostatnich powrotów i ostatecznych pożegnań, zaczęła czesać jej włosy przed lustrem i namawiać łagodnym głosem, by pobyła z Edwardem jeszcze jakiś czas, nim odejdzie od niego na zawsze.

- To już postanowione, Matyllda - powiedziała Lora z takim samym przekonaniem, z jakim Matyllda mówiła Michałowi, że za niego nie wyjdzie.

- Niemniej jakieś pożegnanie każdemu się należy.

- To prawda - zgodziła się Lora.

Nim dotarła do Edwarda, zaszła na cmentarz i położyła pęk czerwonych róż na grobie Róży Lorenc. Stała chwilę, wpatrując się w czarny marmur, który razem z Edwardem dla niej wybrali, po czym zdecydowała się coś powiedzieć.

-Nie wiem, co powiedzieć, Róża... Wszystko będzie tak śmieszne, że boki zrywać... Więc powiem tylko: nie gniewaj się.

Prosto z cmentarza poszła do domu Edwarda. Spał już, więc położyła się obok i objęła jego plecy. Nie odwrócił się do niej ani nie odezwał. Wziął tylko jej rękę, przysunął ją sobie do piersi i tak dotrwali do świtu. O świcie Lora wyszła. W drodze na Wzgórze wpadło jej nagle do głowy, że wychodząc, nie spojrzała na stół w kuchni, na którym każdego innego ranka leżała samotna róża.

To już bez znaczenia, pomyślała. Komu teraz przyda się ta wiedza? Może tylko Edwardowi, chociaż i to nie jest pewne. Pragnęła tylko jednego: żeby jak najmniej boleśnie odczuł jej odejście i jak najszybciej się z nim pogodził.

Edward Lorenc pogodził się z odejściem Lory w tej samej chwili, w której zamknęły się za nią drzwi. Odwrócił się od ściany, rozejrzał po obcym mu mieszkaniu i zrozumiał, że coś się w swoim czasie zaczyna i w swoim czasie kończy. Pewnych rzeczy nie da się zatrzymać, jak nie da się zatrzymać wiatru. Jeśli nie da się czegoś zmienić, należy się z tym pogodzić. Jeszcze tego samego dnia opuścił mieszkanie, które kupił dla Lory, i wrócił do domu za miastem, gdzie tyle lat żył obok Róży. Tam pierwsze kroki skierował na strych, gdzie pośród

starych pudeł i odwiecznych pajęczyn mijającego czasu leżało jego samotne miasto marzeń w takim stanie, w jakim je zostawił. Miał nadzieję odnaleźć w sobie tyle siły i spokoju, aby nigdy tego miasta nie skończyć i od razu zabrał się do niedokończonej wieżyczki kościoła ewangelicko-augsburskiego.

W jego mieście wszystkie domy były wykonane wyłącznie z kamienia i drewna. Na pierwszy rzut oka jednakowe, po bliższym przyjrzeniu się jednak inne, o własnym charakterze i duszy, otoczone zielenią, wśród wybrukowanych malowniczych uliczek, otoczone parkanami, wykonanymi tak samo tylko z tego, co daje natura. Porządek ulic, placów i parków był najprostszy, jaki można sobie wyobrazić. Po co komplikować rzeczy, które skomplikowane być nie muszą.

Takie miasto wyobraził sobie pewnej sztormowej nocy na Atlantyku i takiego szukał, wchodząc do Kamienia, w jakiś czas po zejściu ze statku. Nim rozejrzał się dobrze i zorientował, że to nie jest miejsce, jakie chciał odnaleźć, dostrzegł Różę rozwieszającą ze swoją matką prześcieradła na sznurach przed domem.

Za takim obrazem, pełnym prostoty i piękna, tęsknił przez wszystkie lata na wszystkich morzach świata. Usiadł więc na kamieniu przed domem, siedział i patrzył. Róża, najładniejsza dziewczyna w Kamieniu, o względy której starało się przynajmniej kilku kawalerów z miasteczka i której buzia od dnia, kiedy zaczęła mówić, nie zamykała się prawie wcale, zaniemówiła na widok przystojnego, zamyślonego mężczyzny o ogorzałej twarzy marynarza z dalekich portów.

Jej matce, która miała dość nieustannego potoku słów z ust córki i jej wiecznych dywagacji, za którego kawalera warto pójść, a za którego nie, wystarczył jeden rzut oka. Ten albo żaden - pomyślała i zaprosiła nieznanego do domu.

Róża była do tego stopnia zauroczona swoim księciem z bajki, że odezwała się dopiero dwa dni po ślubie. I z chwilą,

kiedy się odezwała, Edward Lorenc pomyślał: To nie ta kobieta. A potem rozejrzał się po Kamieniu i zrozumiał, że to także nie to miejsce, więc wszedł na strych i zaczął tworzyć wymarzone miasto, do którego nigdy nie dotarł.

Róża natomiast, kiedy tylko dotarło do niej, że nie jest księżniczką dla tego królewicza, ignorowana przez niego i niekochana, szybko zaczęła starzeć się i brzydnąć, tak że wkrótce nikt nie pamiętał, ile miała w sobie wdzięku i jaka była piękna. Jeden tylko dyrektor banku spółdzielczego, najbardziej wytrwały w wystawianiu pod jej oknem, który - widać to było gołym okiem - miał u niej największe szanse, nigdy tego nie zapomniał. Nawet wtedy, gdy zrobiła się zgorzkniała i zgryźliwa. Nigdy się nie ożenił i dopóki nie dopadła go skleroza, nosił w sercu obraz pięknej Róży, wychylającej się do niego oknem, uśmiechniętej i gotowej na miłość.

Nie chcąc sobie dawać czasu i sposobności na niepotrzebne dylematy, Lora prawie natychmiast po powrocie od Edwarda opuściła też Wzgórze. Matylda, obserwując ją, jak szykuje się z niespotykanym u niej zdecydowaniem, a potem idzie do samochodu, odniosła wrażenie, że po raz pierwszy, odkąd ją poznała, Lora robi coś z tak wielkim przekonaniem. Każdy jej gest zdawał się nieprzypadkowy. Przyzwyczajona do chwiejności jej zachowania, bała się zapytać, co właściwie Lora zamierza zrobić. A Lora nie zadała sobie trudu, żeby cokolwiek Matyldzie tłumaczyć.

Wróciła po kilku dniach z tajemniczą miną i pudłem maszynopisów do przetłumaczenia.

- Muszę jakoś stanąć na nogi, nie? - wytłumaczyła to drugie. - Dosłownie wyżebrałam to tłumaczenie. Czasy są niestety ciężkie... Rozłóż mi laptopa w saloniku, napal dobrze w piecu; będę pracować.



I kiedy Matylda zrobiła to wszystko, zadowolona, że przez jakiś czas będzie widzieć Lorę pochyloną nad klawiaturą laptopa, bo był to zawsze dobry widok, Lora z papierosem w ustach stanęła przy oknie w kuchni i powiedziała:

- Niczego tak nie znoszę, jak załatwiania czegośkolwiek w urzędach... Ale było minęło, załatwiłam, teraz mam święty spokój. Ty poniekąd też.

- Ja?

Ponieważ Lora nie odpowiedziała, Matylda nie starała się dociec, z jakiego to powodu one obydwie mają nagle, ni stąd, ni zowąd, mieć spokój albo go nie mieć. Przeszła nad słowami Lory do porządku dziennego, bo Lora wiele razy mówiła słowa, z których nie wynikało nic. Matyldzie od wielu dni to nie przeszkadzało. Właściwie, gdyby się nad tym mocno zastanowić, nie przeszkadzało jej to nigdy. Lora mogła sobie mówić wszystko - najważniejsze, że była tu, siedziała trzeźwa przy swoich tłumaczeniach i nie miała zamiaru sprzedawać Wzgórza. Nic pewnego z tej sytuacji nie wynikało dla Matyldy, ale Matylda pojęcia stuprocentowej pewności nawet co do swego istnienia nie znała, więc było dobrze tak, jak było. Do pewnych rzeczy można się przecież w końcu przyzwyczaić i Matylda się przyzwyczaiła. Modląc się każdego wieczora, dziękowała Bogu za kolejny dzień przeżyty ze zwierzętami na Wzgórzu. - I z Lorą - dodawała na końcu, dziwiąc się, że to w ogóle dodaje.

Oddając tłumaczenie w terminie, Lora przekonała się, że sumiennosc nawet - a może przede wszystkim - w ciężkich czasach popłaca: z miejsca dostała nowy materiał, a potem następny i następny, aż ją to lekko wyprowadziło z równowagi.

- A co to?! Czy ja powiedziałam, że zamierzam do końca życia siedzieć tu i zarabiać na życie tłumaczeniami?

Przecież chciałaś stanąć na nogi - przypomniała Matylda.

- Tak, ale niech się nikomu nie zdaje, że tak będzie zawsze.

- Mnie się nigdy nic nie zdaje, wiesz o tym dobrze - odezwała się Matylda zmęczonym głosem.

Lora na to tonem usprawiedliwienia:

- Po prostu, wiesz... To tylko środek do czegoś, nie cel sam w sobie.

Matylda kiwnęła głową.

- Wiem, dla ciebie wszystko jest środkiem... Czasem odnoszę wrażenie, że celu nie masz żadnego.

- A dla ciebie wszystko jak zwykle jest proste. Znowu mnie wkurzasz.

- Jeśli coś jest proste, to jest proste.

- Powtarzasz się.

- A ty nie potrafisz niczym się cieszyć. Lora pogardliwie wydeła usta.

- A czym tu się, do diabła, cieszyć?

- Byłabym dumna, gdybym potrafiła robić coś tak dobrze jak ty. Jesteś świetną tłumaczką. Gdyby tak nie było, nikt by ci nie dał kolejnej szansy. Jeśli robisz coś dobrze, rób to, a nie szukaj ciągle czegoś nowego.

- Ty robisz niektóre rzeczy równie dobrze - warknęła Lora, sięgając po papierosa.

Matylda wyjęła go jej z ust, pokazując na dopiero co zgaszonego w popielniczce.

- Ciekawa jestem co?

- Wiele rzeczy.

- Żeby choć jedna z nich pozwoliła mi zarobić na życie jak tobie te tłumaczenia. Z miłości do zwierząt i sadzenia marchewki pieniędzy nie ma żadnych. Gdybym umiała cokolwiek, jakąś drobną rzecz, która pozwoliłaby mi na niezależność... Przez całe swoje życie nie nauczyłam się niczego.

- Matylda...

- Zawsze ktoś mnie utrzymywał, zawsze na kogoś musiałam liczyć. A wiesz dlaczego? Bo do niczego nie mam talentu. Owszem, może i niektóre rzeczy potrafię zrobić, ale to każdy potrafi. Dlatego tak mnie denerwuje to, że nie potrafisz docenić tego, co masz. Inni ludzie za taki dar...

- Matylda! - wrzasnęła Lora. Matylda spojrzała na nią zdziwiona. -Co?

- Może wreszcie przestałybyśmy wytykać jedna drugiej różne rzeczy. Bo ty jesteś taka i owaka, to robisz tak i siak, a tamto jeszcze gorzej. Tyle razy już sobie to wszystko wytykałyśmy, więc chyba pora do pewnych spraw przywyknąć, zwłaszcza że ciągle gadamy o tym samym i nic z tego nie wynika.

Matylda w lekkim osłupieniu patrzyła na Lorę.

- Masz rację - powiedziała nagle, wywołując z kolei na twarzy Lory lekką konsternację.

Popatrzyły na siebie i uśmiechnęły się. Potem Lora wyjrzała oknem i stwierdziła, że ładny dziś dzień, z czym trudno było się nie zgodzić.

Ubrały się więc i wyszły z domu. Tenor o mało nie oszalał z radości: w szczenięcych podskokach biegał od jednej do drugiej, ciągnął je za kurtki i szcekał, jakby chciał zmusić, by w ten sam sposób okazały swoje uczucia. Przytulały go i tarnosiły, obchodząc dookoła całe Wzgórze, wszystko w całkowitym milczeniu, jakby się chciały skupić nad spokojem tego popołudnia i zapamiętać na zawsze. Na północnym stoku jeszcze leżały w ocienionych miejscach łachy stwardniałego śniegu, ale południowy już wdziały się do świata bladą zielenią.

Dzień był naprawdę piękny i nic tego dnia nie zapowiadało, że stanie się to, co się stało. Matylda w jakimś momencie odniosła wrażenie, że to wszystko: podobne popołudnie, atmosfera, taka sama chwila już się kiedyś zdarzyły, i długo się

nie mogła z tego otrząsnąć, nawet wtedy, gdy zobaczyła przed bramą mężczyznę wysiadającego z granatowego volvo i idącego w ich stronę z porażającą wręcz pewnością siebie. Przytrzymała Tenora przytomnie przy nodze, a potem już słuchała i patrzyła na to wszystko, co się wokół niej działo, jak na jakiś sen, ale nie swój, tylko kogoś obcego. Nawet nie Lory, bo Lora z właściwą sobie swobodą warknęła, co pan tu do cholery, wtedy on z taką samą pewnością siebie jak szedł, machnął im przed oczyma odznaką Centralnego Biura Śledczego i zapytał, która z nich to żona Mateusza Borysa, tego skurwysyna. Lora, na której odznaka i rzeczowy ton faceta zrobiły niespodziewanie mocne wrażenie, pokazała jakimś nieśmiałym gestem na siebie, wyjaśniając prawie natychmiast, że właściwie to widziała go dziesięć, nie! jednaście lat temu, przez ostatnie lata natomiast to Matylda żyła z nim, prała mu, gotowała i opiekowała się w czasie choroby. Co nie zmienia, oczywiście, faktu, że to ona, Lora, była cały czas jego prawowitą żoną, a teraz, ma się rozumieć, od prawie roku wdową... Po tych słowach odgarnęła z niezrozumiałą w tych okolicznościach kokieterią włosy z czoła i zaczęła mówić, jaką to gehennę przeszła z tym człowiekiem w krótkim czasie ich pożycia, ale on zlekceważył zarówno jej kokieterię, jak i słowa, i odtąd całą swą uwagę skupił na Matyldzie, której ciągle się zdawało, że uczestniczy w czymś śnie i jeśli to jeszcze nie koszmar, to zaraz będzie. Mrużyła więc oczy i przenosiła wzrok z jednego miejsca na drugie, jakby widok realnych miejsc miał w jakimś sensie zatrzymać ją, przynajmniej fizycznie, w dobrej rzeczywistości ofiarowanego jej po raz drugi Wzgórza.

- Czy pani wie - zapytał mężczyzna - co przez ostatnie lata robił ten... człowiek?

Zadowolona, że wbrew przeczuciu pyta ją o taką prostą sprawę, skwapliwie kiwnęła głową i powiedziała, no jasne, przecież siedział tu cały czas pod szopą i wyplatał kosze.

Chciała jeszcze dodać w rozpędzie, że ciągle tam siedzi, ale w porę ugryzła się w język. Obcy człowiek nie musi wiedzieć takich rzeczy, pomyślała.

On popatrzył na nią z niejakim zaskoczeniem, omiótł ją właściwie spojrzeniem, a dopiero po chwili wbił skoncentrowany na jej naiwnych oczach mocny wzrok, jakby chciał przebić się do samego dna jej duszy. Matylda wytrzymała to. Nie było powodu, żeby miała nie wytrzymać, nigdy w życiu nie miała nic do ukrycia. Mężczyzna jakby to zrozumiał.

- A więc pani nie wie - powiedział z niesmakiem. Potrząsnęła głową, rozpaczliwie chcąc jeszcze ocalić coś z tych ostatnich, najszcześniejszych lat swego życia. Wtedy on wyciągnął fotografię.

- A ten człowiek... Czy pani go kiedykolwiek widziała? Matylda przyjrzała się fotografii i zamiast odpowiedzieć, zawołała z triumfującą radością do Lory:

- Widzisz! Nie wierzyłaś mi, jak mówiłam, że był tu... na Wzgórzu. Lora zerknęła tylko raz i mruknęła: - Ty idiotko.

Lora już wiedziała. Nerwowym gestem, już bez cienia kokieterii, odgarnęła włosy z czoła i westchnęła ciężko. Potem nagłym ruchem objęła Matyldę, jakby ją chciała jeszcze przed czymś osłonić; wtedy on powiedział jakby od niechcenia:

- Mateusz Borys był płatnym mordercą.

Matylda nie zareagowała ani w tej chwili, ani potem. Z auta wysiadło trzech podwładnych mężczyzny i na jego znak przez kilka godzin z precyzyjną zawziętością przeszukiwali dom. Lora kilka razy odezwała się, że to na darmo, bo po Mateuszu w tym domu nie zostało nic, a mężczyzna za każdym razem odpowiadał, że to niemożliwe, po każdym człowieku coś zostaje. Na koniec, kiedy dom wyglądał, jakby przetoczyło się przez niego stado dzikich zwierząt, z niechęcią przyznał jej rację. Rzeczywiście, nic, to niesamowite, jakby nie istniał.

Jadąc tu, wiedział już od miejscowej policji, że drań wymknął się im wiele miesięcy temu, ale miał nadzieję znaleźć jakiś dowód, który ponad wszelką wątpliwość pozwoliłby określić go mianem płatnego mordercy. Tego wymaga elementarna sprawiedliwość, a i on sam poczułby się lepiej, bo ostatnią ofiarą był prokurator Sawicki, jego wieloletni przyjaciel. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że na miesiąc przed zabójstwem Sawickiego Biuro wpadło na trop prowadzący do tego skurwysyna; wtedy kazał swoim ludziom dokładnie go sprawdzić, ale usłyszał tylko tyle, że to jakiś pieprzony wyplatacz koszyków - siedzi całymi dniami pod szopą i wypłata kosze, a potem jeździ i je sprzedaje. Żyje skromnie, żeby nie powiedzieć nędznie. Młoda kobieta prowadzi mu gospodarstwo. Sprawdzono także odbiorców - wszystko się zgadzało. Fakty i logika (żaden płatny morderca nie żyje w ten sposób] mówiły za siebie. Skierował śledztwo na inne tory, bo nie miał na drania nic. I w dalszym ciągu prócz zeznań „pośrednika” nic nie ma.

- Może chociaż pieniądze... - zwrócił się, jakby z ostatnią nadzieją, do Matyldy i wtedy na jego twarzy pojawiła się bezradność, pierwsze i jedyne ludzkie uczucie, odkąd stanął na Wzgórzu. - Nie zauważyła pani, żeby w pewnych okresach dysponował niespodziewanie dużą sumą pieniędzy?

Matylda z niespodziewaną przytomnością spojrzała mu w oczy.

- Tak - przyznała cicho. - Raz dał mi na ziemię, którą użyźniłam pole.

Mężczyzna nie bardzo zrozumiał.

- Ile to było? - zapytał mimo to.

- Tysiąc sto dwadzieścia złotych.

- Żartuje pani.

Niecierpliwym gestem wyjął z kieszeni wizytówkę, podał ją Matyldzie, mrucząc pod nosem: - Na wszelki wypadek -i rozejrzał się dookoła przenikliwym wzrokiem. Matylda obra-

cała wizytówkę w palcach, nie czując nic prócz wściekłej bezsilności tego mężczyzny.

Ze złością odwołał swoich ludzi, mruknął: - Powodzenia - i wszyscy opuścili Wzgórze.

Wieczorem siedziały w kuchni, otulone kocem, bo w piecu dawno wygasło. Lora paliła jednego papierosa za drugim, Matylda nie robiła nic. Nim usiadły, powiedziała tylko o paszporcie, a potem już na dobre zamilkła.

Siedziały tak od dwóch godzin, nie zwracając najmniejszej uwagi na pobojuwisko, jakie zostawili tamci. Pewne było tylko to, że kiedyś trzeba będzie to wszystko posprzątać, ale nie starały się nawet w myślach umiejscowić tej czynności w jakiegokolwiek bliższej lub dalszej przyszłości, tak jakby przyszłości miało nie być już żadnej.

Matylda kilka razy zatrzymała wzrok na starej kapocie, wiszącej w przedsionku i za każdym razem starała się nie myśleć, że to jedyna rzecz w domu, której ci ludzie nie przeszukali. Ten zniszczony, wielopokoleniowy łańcuch wciąż przypominał jej prawdę. Dotąd nie miała pojęcia, że są takie prawdy, o których chciałoby się nie wiedzieć.

- A ja nawet nie jestem zdziwiona - odezwała się ni stąd, ni zowąd Lora. Miała już dość milczenia, powiedziała, co chciała powiedzieć i nie musiała tłumaczyć, co ma na myśli. Po chwili dodała już z nutką refleksji: - Nawet mnie to nie zaskoczyło.

Nie chciało jej się już nic więcej mówić. Był taki wszechobecny bezruch, taka beznadziejność i marazm, że nawet nie chciało jej się sięgnąć po papierosa. Prawdę mówiąc, ich leż miała już dość. Wszystkiego miała dość, dlatego z ulgą przyjęła płacz Matyldy.

Matylda płakała po raz pierwszy w życiu i zanim to sobie uświadomiła, było za późno na powstrzymanie łez. Płakała

więc z całą swoją otwartością nad ciotką Miłą, która do końca życia nie straciła jednego deka ze swych stu dwudziestu i pół kilograma i nie było nikogo prócz Matyldy, kto by z powodu jej niepohamowanego obżarstwa ulitował się nad jej samotnością; nad starą Lewicką, która swym dzieciom nie przekazała w genach nic prócz miłości do pieniędzy, tak że nie uroniły jednej łzy po jej śmierci; i nad Różą Lorenc, która przez całe swoje życie nienawidziła wszystkiego, czego tylko dało się nienawidzić, by skończyć jak pies pod płotem z powodu ślepej, późno odnalezionnej matczynej miłości. Wreszcie zapłakała nad sobą i nad sobą płakała najkrócej. Tenor podszedł do niej i położył łeb na jej kolanach. Pogłaskała go, otarła łzy.

- Co chcesz - odezwała się Lóra. - Podobno przyzwyczaiłaś się, że byłaś nikim i nic nie znaczyłaś.

- Ale nie dla płatnego mordercy - powiedziała Matylda. Potem odechciało jej się żyć i powiedziała o tym Lorze. Nie chce jej się żyć, bo w obliczu tego, co się stało, jakiego sensu nabrało jej życie. Czy po to z takim rozpaczliwym uporem od dziecka starała się dla siebie o odrobinę szczęścia i spokoju, by odnaleźć je u boku mordercy? Zgodziła się być psem pilnującym jego dobytku, ale nie kamuflażem dla zaplanowanych i wykonanych z porażającą precyzją zbrodni.

Kim był ten człowiek? Jaka matka go urodziła i jak wychowała, że był w stanie zrobić tyle strasznych rzeczy?

- Z tego co wiem - zaczęła grobowym głosem Lóra - chociaż nie mam pojęcia skąd, jego rodzice byli bardzo dobrymi ludźmi. Tłumaczenie tego nieszczęśliwym dzieciństwem odpada.

- W takim razie dlaczego? Dlaczego, dlaczego?! Lóra wzruszyła ramionami. Tacy ludzie po prostu są. Mają zimne oczy jak Mateusz i noszą w sobie niedającą się ukryć nienawiść do wszystkiego, co żyje, a przede wszystkim do innych ludzi. Żeby nie wiem co, nie pozbędą się do końca życia



tej nienawiści i zrobią wszystko, by w niej przetrwać i zawsze znajdą sposób, by poza wszystkim innym stworzyć sobie swój lodowaty świat i w nim bez względu na wszystko żyć. Jeśli jeszcze dzięki temu uda się realizować swoje plany, żeby nie użyć słowa „marzenia”, to już jest wszystko. Ten człowiek, z którym obydwie próbowały odnaleźć swoje szczęście na Wzgórzu, z wyrachowaniem urządził sobie życie w ten sposób, by wyciągnąć z niego maksymalnie wszystko i tylko dla siebie. By to osiągnąć, równocześnie funkcjonował w dwóch światach, przy czym jeden stanowił alibi dla drugiego. W pierwszym jako Mateusz Borys, w drugim jako zabójca, dla którego zabicie człowieka znaczyło tyle, co wyjazd na kolejną egzotyczną wyspę, na której był szanowanym turystą, jak na Wzgórzu szanowanym wyplataczem koszy. Z obydwu światów to on brał wszystko. Matylda tylko przez przypadek brała z jednego z nich coś dla siebie, bo była, jaka była, bo tylko tyle jej było potrzeba. Żadnej innej kobiecie by to nie wystarczyło i on o tym dobrze wiedział. Wiedzę tę dała mu Lora.

- Nie zabrał cię ze sobą, żebyś mu pilnowała domu - mówiła Lora bez cienia emocji - bo w tym domu nigdy nie było nic do pilnowania. Wziął cię, żebyś tworzyła tło dla jednego z jego chorych światów, bo każdy świat musi mieć swoje tło. Nikomu do głowy nie przyjdzie, gdyby nawet coś poszło w wyniku nieprzewidzianych okoliczności nie tak, podejrzewać biednego, żyjącego w ubóstwie wyplatacza koszy o coś złego, a już na pewno nie o takie zbrodnie. Gdyby jeszcze żył samotnie na Wzgórzu, można byłoby mieć jakieś wątpliwości, zadawać pytania, gdzie i właściwie w imię czego znika na długie dni, czasem tygodnie, ten młody, zdrowy i na swój sposób bardzo przystojny mężczyzna. A tak? Tak nie ma nic dziwnego, czy nawet dziwaczego w jego egzystencji. Jest dom, są zwierzęta, jest kobieta... Jak u milionów innych ludzi. Komu miało przyjść do głowy coś złego? Jest wiele sposobów na zdo-

bycie dużych pieniędzy małym kosztem. Trudno sobie wyobrazić, żeby któryś z nich był uczciwy. Można kraść, robić przekręty, pasożytować na naiwności i dobrym sercu innych... Jednak nie chce się wierzyć, by Mateusz miał sobie zadawać tyle trudu. Co innego zabić. Strzelić raz w tył głowy. Albo prosto w serce. Co najwyżej poprawić, dla pewności. Taki jest świat.

Matylda pokręciła głową.

- I ten świat cię właśnie dopadł - zakończyła bezlitośnie Lora.

Matylda najpierw przestała jeść, potem spać. Nie spała, nie jadła, skuliła się w sobie, zmalala i nikt by nie powiedział, że to Matylda. W wiklinowym bujanym fotelu, ustawionym w saloniku naprzeciw drzwi, wyglądała jak małe, żałosne stworzenie, które niczego się już od życia nie spodziewa, nie oczekuje; usiadło, żeby siedzieć i dotrwać do jakiegoś momentu, ale nie wiadomo po co.

Lora każdego ranka próbowała ją jakoś pobudzić do życia. Zaczynała dzień od zrzędzenia, któremu towarzyszyło trzaskanie garów na kuchni.

- No jasne, najłatwiej tak usiąść i czekać nie wiadomo na co, chyba tylko na śmierć, bo na co można czekać, tak siedząc. Oczywiście masz gdzieś, że chodzę koło twoich zwierząt, chociaż zupełnie się na tym nie znam. Najlepszy dowód, że kury przestały się nieść. Może byś się otrząsnęła i coś im powiedziała, bo w lodówce mamy dwa jajka, no? A ta głupia krowa patrzy się na mnie, jakbym przybyła z innej planety. Dobrze, że Michał przyjedzie dziś i ją wydoi, bo ja nie mam zamiaru.' Przy okazji powiem mu, żeby cię obejrzał, może będzie wiedział, co dalej z tobą robić, bo ja nie wiem... Matylda, na litość boską!

Matylda nawet nie drgnęła. Michał przyjechał, wydoił krowę, zamruczał pod nosem, że najwyższa pora - krowa zarycza-

ła z wyraźnym zadowoleniem - potem obejrzał Matyldę, wzruszył ramionami i powiedział, że on nie jest psychologiem, można tylko czekać i liczyć na to, że coś się nagle stanie. Lora wytrzeszczyła oczy.

- Ale co?! Co jeszcze może się tu stać?

Michał jeszcze raz wzruszył ramionami i odjechał. Był bezradny. Lora popatrzyła na przezroczytą twarz Matyldy i jej wyblakłe od ciągłego patrzenia w jeden punkt oczy i zrobiło jej się żal. Przykucnęła przy fotelu, objęła jej skulone kolana i powiedziała łagodnie:

- Matylda, powiedz sobie po prostu, że przez siedem lat żyłaś tu ze zwierzętami, które były najszcześliwszymi zwierzętami na świecie. Zamknij oczy i pomyśl, że twój świat jest dobry, ciepły... Wiosną znowu będziesz sadzić warzywa i grzebać się w ziemi, skoro to lubisz, a latem obserwować z werandy wylatujące ze strychu nad twoim pokojem złote nietoperze...

- Nie chrzań, Lora - przerwała jej chropowatym, ale niespodziewanie przytomnym głosem Matylda. - Nie ma złotych nietoperzy.

Lora zerwała się z kolan, prychnęła jak kotka, której nie udało się wejść na ulubiony fotel.

- Skoro tak - warknęła ze złością - to tego bandyty też tam nie ma pod szopą.

- Jest - powiedziała Matylda. - I zawsze tam będzie. Dłużej nie mogę z nim żyć na jednym Wzgórzu. Po prostu już nie mogę.

Matylda wstała - Lora odetchnęła z ulgą, sądząc, że mimo wszystko skłoniła ją do jakiejś reakcji kładącej kres wielodniowemu odrętwieniu - poszła do łazienki, a kiedy z niej wróciła, napiła się wody, usiadła na ławie narożnej w kuchni i widać było po niej, że przez najbliższych parę dni się stamtąd nie ruszy.

Lora machnęła z rezygnacją ręką. Rób sobie, co chcesz, siedź albo leż, patrz na drzwi, na ściany, albo nie patrz na nic,

wszystko jest i tak dostatecznie skomplikowane i trudne, i pogmatwane, a jeszcze te twoje oczy, ten upadek twojego świata, myślałby kto, że tobie jednej coś takiego się przydarzyło, a jeśli nawet, to trzeba do tego jakoś podejść, jakoś walczyć, podjąć taką czy inną decyzję... Ona podjęła!

- Tak, podjęłam decyzję! - powiedziała mocnym i pewnym głosem Lora, stojąc pośrodku kuchni, jakby chcąc dodać sobie odwagi. - No i co z tego, że nie ma to nic wspólnego z tym, co się stało? Po prostu w pewnym momencie trzeba podjąć konkretną decyzję. I ja to właśnie robię.

To mówiąc, zarzuciła na siebie płaszcz, wzięła kluczyki i wyszła z domu. Słychać było, jak klnie na zewnątrz, próbując uruchomić samochód. Za którymś razem wreszcie silnik się odezwał i Lora odjechała.

Wróciła późnym popołudniem z wysokim, bardzo szczupłym jedenastoletnim stworzonkiem o zaciśniętych ustach i zagniewanych oczach, które siłą wyciągnęła z samochodu i siłą wprowadziła do domu.

- To jest Julia - powiedziała do Matyldy, nie spodziewając się z jej strony specjalnej reakcji, chociaż mimo wszystko dziwiąc się odrobinę jej brakiem, a do Julii: - To jest Matylda.

Zagniewane oczy Julii na moment zabłysły i Lorze przemknęło przez myśl, że gdyby nie znała swojej córki, pomyślałaby, że ta z miejsca pokochała Matyldę. Odrzuciła jednak tę myśl jako zupełnie nierealną, bo Julia nawet babki, która poświęcała jej każdą chwilę swego życia, nie znosiła, i zakończyła prezentację:

- A to jest od dziś twój dom.

Julia na powitanie swojego nowego domu potłukła wszystko, co nadawało się do potłuczenia, i zrzuciła, co było do zrzucenia. Lora poczekała, aż się uspokoi, a potem dokończyła:

- Daję ci tydzień na zaadaptowanie się w tym domu, potem zapiszę cię do szkoły. Od razu ci powiem, że w Kamieniu są tyl-

ko trzy szkoły, więc jeśli wyrzucą cię już z trzeciej, zrobię to, czego przez cały czas nie pozwoliłam zrobić twojej babce: oddam cię do szkoły specjalnej. Tam nie będą się z tobą certolić.

Julia zacisnęła w gniewie usta tak mocno, że przegryzła wargę, rozejrzała się z wściekłością, jakby w poszukiwaniu aprobaty dla swego gniewu, po czym wybiegła z domu. Lora wyglądała za nią przez chwilę zaniepokojona, a kiedy upewniła się, że jej córka krąży po Wzgórzu, wzięła szczotkę, szufelkę i zaczęła sprzątać. W pewnym momencie zdawało jej się, że Matylda powiedziała: „Nie powinnaś po niej sprzątać”, ale kiedy spojrzała na Matyldę, ta siedziała tak samo, jak przed chwilą i jak godzinę czy dwie godziny temu, więc nie była pewna, czy padły z jej ust jakieś słowa, czy tylko jej się zdawało. Sprzątnęła więc, potem wzięła rzeczy Julii i zaniósła na górę, do pokoju Mateusza.

Chwilę później była na dole. Sprawdziła, że Julia jest na zewnątrz, ale cały czas w zasięgu wzroku i w obecności Tenora, po czym zwróciła się do Matyldy:

- Takie więc, jak widzisz, są relacje między mną a moją córką. Chciałaś mnie zabić, bo myślałaś, że jest inaczej... Coś jak z tobą i twoją matką... Nie, jest całkiem odwrotnie: to ona mnie nienawidzi... Nienawidzi zresztą wszystkiego.

- Twoja córka jest zła - niespodziewanie odezwała się Matylda. - Zła jak Mateusz.

Lorę mimo wszystko zaszokowały te słowa.

- Być może - odezwała się po chwili. - Nigdy aż tak nie myślałam. Proszę cię, miej na nią oko, muszę na chwilę skoczyć do miasta.

Nie czekając na odpowiedź, wyszła z domu. Julia chodziła wzdłuż ogrodzenia, w tę i z powrotem, szybko, nerwowo; sprawiała wrażenie dzikiego zwierzątka schwytanego w klatkę. Mogła w każdej chwili wyjść za ogrodzenie, ale nie zrobiła tego. Zamachnęła się na stąpającego za nią krok w krok Te-

nora i prychnęła ze złością. Nie mogła znieść tej czystej przestrzeni wokół, bolały ją oczy od nadmiaru światła, a głowę rozsadzała wszechobecna cisza. Chciało jej się krzyczeć, ale nie było tu babki, która tolerowała jej krzyk i jedna z wszystkich ludzi potrafiła go przetrzymać, nie było ścian, które wygłuszały i brały na siebie część jej wściekłości, tylko te drzewa naokoło, nieprzyjazne, obce i tak patrzące, jakby chciały w każdej chwili na nią runąć. Nienawidzi tych drzew! I tej rozległości pól i łąk, i tego psa.

- Pilnuj Matyldy! - krzyknęła do niej matka, podjeżdżając samochodem do bramy. - Wrócę za godzinę, więc radzę ci, pilnuj jej!

Nie wiedziała, że ktoś może od niej kiedykolwiek wymagać takich rzeczy. Co ją obchodzi Matylda, która nie zechciała na nią nawet spojrzeć, jakiś jej dom i jakieś Wzgórze, które z miejsca znienawidziła. Chce z powrotem swoje ściany i babkę, która bezradnie rozkłada ręce, kiedy krzyczy do czterech ścian, i pozwala jej do nich krzyczeć, i tylko przed Lora, kiedy ta przyjeżdża, udaje, że panuje nad wszystkim i że tylko ona jedna może nad tym wszystkim zapanować.

Kopiąc z nienawiścią grudki ziemi, wróciła do domu i usiadła na werandzie. Było jej zimno, ale to dobrze, niech jej będzie zimno.

Lora prawie godzinę czekała na Michała Dusznego, nim skończył przyjmować czworonożnych pacjentów. Przywitał ją bardzo uprzejmie, jak to Michał, ale było widać, że jest nieludzko zmęczony. Zaraz zresztą przyznał:

- Są dni, że zwyczajnie nie daję rady. Ze wszystkich stron zjeżdżają, jakbym był jedynym weterynarzem na tym terenie. A jeszcze, nierzadko w środku nocy, wyjazdy do rolników... Coś nie tak na Wzgórzu?

- Matylda odchodzi - przeszła od razu do rzeczy Lora.
- Jak to odchodzi? - zdziwił się Michał. - Dokąd? Lora westchnęła.
- Do Pana Boga.

Michał zamarł na moment.

- Żartujesz. -Nie.
- Jest chora?
- Widziałeś jej chorobę: nic nie je, tylko siedzi... Jest już prawie przezroczysta. Ona chce odejść, bo już nie chce być z Mateuszem. Nie ma dokąd, więc w ten sposób, a ja nie wiem, co mam jeszcze zrobić. Dałam jej Wzgórze, przywiozłam Julię...

- Przywiozłaś Julię?

- Myślałam... - Parsknęła gorzkim śmiechem. - Byłam pewna, że jak ją tylko zobaczy... Że coś między nimi zaiskrzy... Rozumiesz?

Michał pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Ale ona mnie przejrzała, nie dała się nabrać. A w małej zobaczyła tylko Mateusza. Powiedziała mi o tym i to... było straszne. Mateusz był jedyną świętością w jej życiu, mimo że traktował ją jak psa. Miała coś, czego była pewna, bo chyba każdy coś takiego chce mieć. Teraz okazało się, że nie było w jej życiu żadnej świętości, żadnej pewności, tylko jedno wielkie zło...

- A ona częścią tego zła.

- W tym właśnie rzecz. Dokładnie tak rozumuje Matylda. A ja nie mam pojęcia, co robić.

Milczeli przez chwilę oboje.

- Zupełnie nie wiem, co robić - powtórzyła Lora. - Także z Julią. Ubzdurało mi się, że wszystko będzie takie proste. Tymczasem wszystko dodatkowo skomplikowałam. Do matki jej z powrotem nie oddam.

- Dlaczego?

- Bo to się musi kiedyś skończyć. Nigdy nie byłam dobrą matką i już nigdy nie będę, ale przynajmniej muszę spróbować coś dać temu dziecku. Jeśli jest zła, to jest w tym także moja wina. Nie tylko matki, nie tylko genów...

- Nie rozumiem.

- Musiałbyś to zobaczyć - zakończyła smętnie. Przed wyjściem poprosiła:

- Gdybyś mógł mi jakoś pomóc...

- Spróbuję. Nie wiem jeszcze jak, ale spróbuję.

Pomoc Michała sprowadziła się do tego, że przyjechał jeszcze tego samego popołudnia i zaproponował Matyldzie pracę. Sam nie daje rady, a roboty z każdym dniem przybywa. Są chwile, że nie wie, w co ręce włożyć, więc staje na głowie, żeby to wszystko jakoś objąć, nadażyć, mając nadzieję, że za godzinę będzie po wszystkim, ale po godzinie jest jeszcze gorzej. Wziął kredyt na rozbudowę lecznicy, na gabinet z prawdziwego zdarzenia, a obok niego oddzielną salkę operacyjną. Taka była zresztą sugestia uczestników ostatniej kontroli i, w zasadzie, warunek dalszej jego działalności. Wszyscy jak jeden złapali się za głowę, widząc, w jakiej ciasnocie i bałaganie przyjmuje zwierzęta. Lora przytaknęła ze zrozumieniem. Matylda mogłaby zapanować jakoś nad tym bałaganem, zajęłaby się papierkową robotą i pełniła rolę asystentki podczas przyjęć...

Matyldzie nie drgnęła nawet powieka podczas tego potoku słów, a kiedy Michał skończył, odwróciła się w stronę Lory i uśmiechnęła do niej z ironią. Lora prychnęła ze złością swoim zwyczajem, po czym rozłożyła ręce.

Michał odjechał.

Przed wieczorem Lora wzięła się do przygotowania kolacji, znajdując doskonałą przy tym okazję do okazania swej frustracji i bezsilności.

Poobijała wszystkie garnki, przestawiając je



w tę i z powrotem na palnikach kuchenki, po czym z rozmachem zaczęła kroić na desce wyhodowany na parapecie okna szczypiorek, wyzywając siebie przy tym do woli od ciężkich idiotek i kretynek. Dawno już powinna sprzedać to wszystko w cholerę i urządzić się z daleka od tego pokręconego świata. Zawsze tak tu było, tak jest i tak będzie. Trzeba się było stuknąć najpierw w czoło, nim się pomyślało, że cokolwiek może się tu udać, jeśli się nigdy nie udawało. Też najchętniej siadłaby sobie przy stole w kuchni i kontemplowała w nieskończoność wszystkie swoje życiowe porażki - a było ich niemało -ale pewne sprawy trzeba wreszcie za sobą zostawić i przynajmniej spróbować coś zmienić.

- A ty - zwróciła się do siedzącej na stołku przy wyjściu Julii - idziesz jutro do szkoły! I rozbierz się wreszcie, godzinę temu wróciłaś z dworu, weź się za coś, a przynajmniej nie patrz tak, jak patrzysz.

Julia zerwała się ze stołka, spojrzała na matkę gniewnie, po czym z pasją zrzuciła ubłocone gumiaki na środek pokoju. To samo zrobiła z kurtką i czapką. Lora niczego nie bała się tak bardzo, jak prawdziwej wściekłości Julii.

- Rozebrałaś się - powiedziała łagodnie - to teraz czekaj na kolację.

Matylda wstała i poszła do łazienki, a kiedy z niej wracała, znieruchomiła naprzeciw kuchennego okna. Patrzyła w nie przez chwilę, a potem powiedziała zduszonym głosem:

- Jak śmiesz siedzieć tam nadal i patrzeć mi z taką kpina w oczy.

Lora w jednej chwili wrzuciła patelnię ze skwierczącymi kawałkami boczku do zlewu.

- Matylda! Na litość boską! - zawołała z rozpaczą w głosie, opadając przy tym na stołek przy kuchni. Po chwili dodała ciszej: - Wcześniej to było zabawne, nawet mnie śmieszyło. Ale teraz mnie już nie śmieszy!

Zerwała się i skierowała prosto na górę. Na schodach przystanęła i odwróciła się w stronę saloniku.

- Jest tylko jeden powód, dla którego jeszcze tu nie zwariowałam. Bo nie chcę zwariować w tym miejscu - powiedziała i poszła na górę, dodając: - Same sobie zróbcie kolację.

Następnego dnia Lora, nie zwracając uwagi na siedzącą przy kuchennym stole Matyldę, zaczęła szykować Julię do szkoły. Przygotowała jej czystą bluzkę, sweterek i spodnie. Układała to wszystko na krześle, sprawdzając, czy jest na pewno czyste, czy nie ma gdzieś plamy albo dziury i w pewnej chwili doznała niespodziewanego wzruszenia, zdając sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu bierze udział w tej prawdziwie matczynej ceremonii.

Julia stała przy schodach z zaciśniętymi ustami i zdawało się, że każdy jej mięsień przygotowuje się na odparcie ataku ze strony matki. Pierwsze zadrgały mięśnie twarzy, kiedy matka zbliżyła się do niej z białą bluzką, a za nimi poszła reszta, kumulując się razem z głosem w jednym, nieokiełznanym wybuchu:

- Nie chcę szkoły! Jest okropna! Wszyscy są okropni! Patrzą na mnie i chcą mówić. Nie chcę, żeby do mnie mówili! Niech milczą! Niech się nie patrzą, bo ja nie chcę. Nienawidzę! I ten dom jest okropny! Nie chcę tu być! Zawieź mnie do babki! Do moich ścian! Ty jesteś okropna! Zostaw mnie! Odebrałaś mi ojca! Nie chciałaś z nim być! Dlaczego z nim nie byłaś?!

- Bo... - jęknęła Lora.

- Bo jesteś okropna!

Matylda nagle wstała od kuchennego stołu, podeszła do Julii i nim ta zdążyła jakkolwiek zareagować, uderzyła ją mocno w twarz. Uderzenie było tak silne, że Julia przeleciała przez

stojący za nią fotel i uderzyła o schody. Lora znieruchomiała na moment, przerażona spojrzała szeroko otwartymi oczami na Matyldę, a potem zrobiła krok w stronę leżącej Julii. Julia gwałtownie wyciągnęła rękę w powstrzymującym geście i skuliła się pod ścianą przy schodach. Lora położyła ręce na twarzy, nie mając pojęcia, jak się teraz zachować. Matylda wiedziała.

- Nigdy więcej tak nie mów do swojej matki! - powiedziała opanowanym głosem, stojąc nad Julią. - Nigdy więcej nie waż się tak do niej mówić, bo nie masz do tego prawa. Nawet jeśli popełniła i jeszcze popełni tysiące błędów. Nigdy nie wyrzuciła nikomu świadomie krzywdy, jestem tego pewna, bo wiem, jaka jest. Jeśli twoja matka prasuje dla ciebie białą bluzkę do szkoły, pozwól jej na to, bo inaczej do końca życia będziesz za tym tęsknić. A twój ojciec...

- Nie! - krzyknęła Lora.

Ale to nie powstrzymało Matyldy.

- A twój ojciec - dokończyła - był mordercą. Zabijał ludzi i brał za to pieniądze. Jakie masz szczęście, że matka ci go odebrała, że nie kupował ci czekolad i sukienek za te pieniądze. Chociaż być może rozumielibyście się bez słów, bo tak jak ty nienawidził wszystkiego, co żyło.

Powiedziała to, odwróciła się, wzięła z kuchni wiaderko do dojenia krowy i wyszła z domu. Lora zasłoniła dłońmi łzy kapiące z oczu, a Julia gwałtownie pochyliła głowę na kolana.

Ani tego dnia, ani nazajutrz, ani nigdy potem żadna z nich nie odezwała się jednym słowem na temat tego wydarzenia. Julia do końca dnia siedziała skulona przy ścianie. Lora obserwowała ją ukradkiem, czy aby nic się jej nie dzieje, w końcu uderzenie było mocne. Zdawała sobie sprawę, że sama nigdy nie uderzyłaby w ten sposób dziecka ani nie powiedziała mu takich słów, mimo to łapała się co chwila ze zdumieniem na tym, że nie ma tego za złe Matyldzie.

Matylda, jakby nagle wyrwana z transu, zajęła się oborą, kurnikiem, gdzie Biała Dama wyraźnie stęskniona za jej obecnością żalonym gęgotem poskarżyła się na swój gęsi los a w szczególności na kury. Matylda tym razem pożałowała jej i nawet pogłaskała. Potem poszła z Tenorem na długi spacer Obeszła całe Wzgórze, potem wyszła za ogrodzenie i dotarła prawie pod sam dom Edwarda Lorenca. Postąpiła tam chwilę, popatrzyła w brudne, małe okienka na strychu i wróciła inną drogą. W domu wykapała się i poszła do swego pokoju na górze. Ale ani kąpiel, ani zmęczenie długim spacerem nie przyniosły żadnej ulgi - tak samo jak przedtem nie chciało się żyć. Mimo to nie siadła już więcej w bujanym fotelu naprzeciw wyjścia ani przy kuchennym stole na dłużej, jak tylko dla odpoczynku czy wykonania kónkretnej czynności. Robiła wszystko to, co dawniej: dbała o zwierzęta, o dom, przygotowywała jedzenie, jadła o właściwych porach i spała w godzinach przeznaczonych na sen. Nie zastanawiała się nad niczym, nic nie planowała. Nie myślała o tym, co będzie jutro, pojutrze czy za rok. Jej ciało żyło.

Ubranie, które Lora naszykowała Julii do szkoły, wisiało przez kilka dni na oparciu krzesła, aż któregoś ranka spostrzegła ze zdumieniem, że to ubranie się porusza. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że jej córka ma je na sobie. Wtedy bez słowa wzięła ją za rękę, zaprowadziła do szkoły, a tam powiedziała, że wróci sama i odtąd sama będzie też tam chodzić, bo jest dużym dzieckiem.

Przez pierwsze dni musiała walczyć ze sobą, by nie iść do szkoły i nie zapytać, jak się sprawuje Julia, ale rozumiała, że byłby to wyraz kompletnego braku zaufania do córki, więc' jakimś cudem udało jej się od tego powstrzymać. Ale to, czego się najbardziej bała, przyszło samo w postaci kartki od na-

uczycielki z prośbą o pojawienie się w szkole, którą bez słowa podała jej któregoś dnia Julia. To i tak długo - pocieszyła się i następnego dnia z bijącym sercem poszła do szkoły. Tam, ku pewnemu zdziwieniu, dowiedziała się, że jej córka ma ogromne luki w wiedzy.

- Wiem. Jest w tym, niestety, dużo mojej winy - przyznała i czekała na resztę, ale reszta nie nadchodziła, więc po chwili odważyła się zapytać: - A... jej zachowanie?

- Jest bardzo cicha - usłyszała od nauczycielki. - Powiedziałabym nawet: mało kontaktowa, ale to w jej sytuacji chyba zrozumiałe.

- Tak, to zrozumiałe - zgodziła się gorliwie Lora i obiecując, że popracuje z dzieckiem nad zaległościami, opuściła szkołę.

Do domu wracała jak na skrzydłach. Podzieliła się radością z Matyldą, ale Matyldę niewiele to obeszło.

- Powiedz swojej córce - powiedziała tylko - żeby nie chodziła za mną krok w krok, bo mnie to denerwuje.

Rzeczywiście, od jakiegoś czasu zamknięta w sobie i ponura jak zawsze Julia zaczęła krążyć wokół Matyldy, towarzysząc jej jak cień przy każdej niemal czynności. Kiedy Matylda wchodziła z sianem na widłach do obory, Julia stała na progu i zaglądała do środka, jakby właśnie w tej chwili przyszła jej ochota obejrzenia wnętrza obory; gdy Matylda sypała kurom ziarno, Julia siadała na pieńku do rąbania drewna i omiatała wzrokiem podwórko; w domu była na wyciągnięcie ręki, tak że Matylda potykała się ciągle o coś, chcąc ją z daleka ominąć. Kiedyś na rytualnym obchodzie Wzgórza z Tenorem Matylda odwróciła się nagle i widząc Julię podążającą jej śladem, rzuciła chłodnym głosem:

- Wynoś się. Matka ci nie powiedziała, żebyś się trzymała ode mnie z daleka?

Julia przystanęła i stała tak dobrą godzinę, rozglądając się tylko od czasu do czasu dookoła bezradnie. Całe to Wzgórze

było wciąż dla niej tylko obcym, złym miejscem, którego nie mogła w żaden sposób polubić, nie mówiąc już o tym, by się do niego przywiązać. Czowała przejmującą potrzebę oparcia się

O coś, ale w pobliżu nie było nawet drzewa.

Odtąd zaczęła chodzić sama. Wrogie spojrzenia Matyldy, kiedy zdała sobie sprawę, że są naprawdę wrogie, zaczęły boleć. Chciało jej się krzyczeć i tłuc wszystko z nienawiścią, ale tamtego dnia, kiedy siedziała skulona przy schodach, postanowiła, że już nigdy nie okaże nienawiści, ale to było bardzo trudne. To wszystko, całe lata krzyku i bezsilnej wściekłości tkwiły w niej nadal i po krótkotrwałym uspieniu obudziły się znowu, gdy Matylda z takim chłodem ją odsunęła. Kiedy więc nadchodziła fala wściekłości, wychodziła z domu i godzinami błąkała się po okolicy, dopóki nie poczuła, że wszystko mija. Dopiero wtedy odważała się wrócić do domu, usiąść przy stole obok Matyldy, wytrzymać to, że ta odruchowo się odsuwa jak najdalej, i nie wybuchnąć. Czasem wystarczyło tylko obejść Wzgórze dookoła, ale nie zawsze.

Najczęściej trzeba było iść dalej, snuć się po okolicy

1 w upływającym czasie szukać wytchnienia.

Któregoś dnia Julia zaszła dalej niż zwykle, aż pod miasto. Widząc dom stojący na jego skraju, zbliżyła się do niego, bo wydawał jej się najbardziej samotnym domem na świecie. Weszła bez zastanowienia, jakby on na to tylko czekał. Od razu rzucił jej się w oczy kurz, pokrywający równo wszystkie meble oraz wypielegnowane kiedyś kobiecą ręką chodniki i serwety. Nie było bałaganu, tylko wszechobecny kurz zapomnienia. I cisza. Stała tak chwilę, napawając się nią, bo ta cisza miała w sobie coś kojącego. Potem usłyszała jakiś szmer w górze.

Odnalazła schody na strych, weszła tam.

Minęła chwila, nim jej oczy, oślepione słońcem, wdzierającym się oknem w dachu, odnalazły zaniedbanego, lecz bardzo pięknego, spokojnym męskim pięknem, mężczyzną. Po-

chylony nad rozpościerającą się na całej powierzchni strychu makieta, nie zauważył jej wejścia. Dopiero kiedy stanęła obok, zdziwił się odrobinę i zapytał, jak się nazywa.

- Julia - odpowiedziała. - A ty? -Ed.

- Tylko Ed?

Skinął głową łagodnie. Julia, stojąc bardzo blisko, poczuła w jednej chwili całą tę łagodność i spokój, jaki emanował z otoczenia. Wzdrygnęła się w pierwszej chwili, bo to było jakieś niespodziewane i niepoznane nigdy dotąd uczucie.

- Co to jest? - zapytała, żeby tylko o coś zapytać.

- Miasto.

- Czy to jest najpiękniejsze miasto na świecie?

- Tak.

Domy, najrozmaitsze budowle, place, parki tworzyły w swej prostocie coś, co można było nazwać tylko nieustającym spokojem. Nie było jednej ściany budynku, jednego zaułka ogrodu czy nawet przesła ogrodzenia, które nie współgrałoby w swej prostocie i pięknie z całą resztą. Na pewnym etapie budowy, jakiś czas po tym, jak odeszła Lora, Edward wymontował wszystkie bezsensowne urządzenia elektroniczne które miały cały ten świat sztucznie wprawiać w ruch; zginęły więc światła, ruchome rondo, na którym poruszały się maleńkie samochody, rozbrzmiewające dzwonami wieże kościołów nawet wesołe miasteczko na jednym z placów zamarło w bezruchu - wszystko umarło jakby w jednej spokojnej i kojącej ciszą chwili.

- Jak się nazywa to miasto? - zapytała poruszona nieznanym uczuciem Julia.

Popatrzył na nią chwilę, jakby nagle zdziwiony, skąd się tu wzięła.

- Dzień, w którym przyszła Lora - odpowiedział, a ona nie zdziwiła się, że tak można nazwać miasto, wręcz przeciw-

nie, uśmiechnęła się nawet, choć bardzo oszczędnie, i zapytała, czy może przychodzić tu i patrzeć, a on odpowiedział, że może.

W domu powiedziała do matki, że znalazła taki dom gdzie jest pan, który chyba od bardzo dawna go nie opuszczał i być może od dawna nic nie jadł, bo nigdzie nie ma śladów, które świadczyłyby o tym, że to robił, wtedy Lora bez słowa napełniła głębokie porcelanowe miski jedzeniem i kazała Julii mu to zanieść.

Odtąd Julia codziennie zanosila obiad Edwardowi, a on za każdym razem zjadał go z wielkim smakiem. Potem oboje pochylali się nad makietą i doklejali bądź też tworzyli kolejny element wspaniałego świata, wspierając się wzajemnie w samotności, która w tych wspólnych chwilach nie była niczym innym, jak tylko podwójną samotnością. Lora w żaden sposób nie starała się ograniczać swobody Julii tym bardziej, że otrzymała spory materiał do tłumaczenia i zadowolona z wynegocjowanej stawki od rana do późnej nocy siedziała przy komputerze. Znajdowała jedynie czas na to by przygotować obiad dla Edwarda, przejrzeć zeszyty Julii i raz czy dwa dostrzec chłód, z jakim Matylda odnosi się do jej córki. Wnikliwszą ocenę ostatniego problemu odkładała cały czas na później, mając nadzieję, że może coś się tymczasem stanie zmieni na lepsze czy gorsze - tego nie mogła przewidzieć. I stało się.

Pewnego dnia Lora po wielu godzinach tłumaczenia wstała od komputera i rozprostowując na środku pokoju zbolale plecy, machinalnie zerknęła w kuchenne okno. Znieruchomiała na moment, po czym odezwała się cicho do sprzątajacej kuchnię Matyldy:

- Matylda, chodź tu szybko.



W jej głosie było coś tak niepokojącego, że Matylda od razu podeszła.

- Patrz - ponagliła Lora, wskazując wzrokiem okno.

Matylda powędrowała za jej wzrokiem i tak samo znieruchomiła na chwilę. Pod szopą, przy nieskończonym koszu siedziała Julia i w skupieniu oplatała jego szkielet mało elastyczną ze starości wikliną.

Nigdy nie dowiedziały się, co kazało Julii usiąść pod szopą, wyciągnąć z kąta resztki wikliny i karykaturalnie wręcz dokończyć dzieło ojca, ale póki tego nie zrobiła, stały nieme naprzeciw okna i patrzyły. Widziały, jak przez cały ten czas każdy fragment ciała Julii był skupiony na tej jednej czynności, a w jej oczach dostrzegły wielki smutek i samotność.

Lora objęła się ramionami i jęknęła żałośnie, ale nie odważyła się ruszyć.

Godzinę później, kiedy zapadał zmierzch, Matylda znowu stanęła naprzeciw okna i bardzo powoli, jakby ostrożnie, spojrzała.

- Nie ma go - powiedziała natychmiast, a w jej głosie po raz pierwszy od wielu tygodni Lora usłyszała coś więcej prócz obojętności.

- Kogo? - zapytała równie szybko.

- Mateusza. Nie ma go pod szopą.

- Przecież nigdy go tam nie było - skwitowała Lora obojętnie, po czym stanęła za plecami Matyldy. - Żartujesz!

Matylda pokręciła głową.

- Nie ma go tam. Nareszcie umarł.

Lora odruchowo ścisnęła łokieć Matyldy, Matylda oparła się lekko o

Lorę. Julia, która od godziny pisała coś w zeszycie przy kuchennym stole bez najmniejszej reakcji pochyliła głowę niżej nad blatem i pisała nadal.

W nocy, idąc spać, Matylda stanęła przed uchylonymi drzwiami sypialni Julii. Weszła po chwilowym wahaniu bez-

szelestnie i stanęła przy jej łóżku. Zaskoczył ją bezgraniczny spokój na twarzy śpiącej Julii i ogólne wrażenie bezradności dziecka, które póki jest dzieckiem, zawsze od kogoś zależy. Miała ochotę otulić ją kołdrą, ale zaraz przyszło jej do głowy, że ten najzwyczajniejszy w świecie akt może sama odebrać jako wyrażenie pewnych emocji, a jeszcze nie wiedziała, czy jakiegokolwiek emocje chce okazać. Wyszła tak samo bezszelestnie i dopiero rano, kiedy zdumiało ją w lustrze jasne spojrzenie jej własnych oczu, dotarło do niej, że od tej pory Wzgórze jest pozbawione wszelkich złych uczuć, czyste. Włożyła machinalnie przygotowane kanapki do plecaka Julii, a potem zaczęła ją czesać.

Kiedy Julia poszła do szkoły, Matylda stanęła przed Lorą, pijącą świeżo zaparzoną kawę, i powiedziała:

- W nocy była u mnie Róża Lorenc. Lora zakrztusiła się kawą.
- Znowu zaczynasz?!
- Nie, nie... Była u mnie we śnie.
- No... - Lora odetchnęła z ulgą. - I co?
- Powiedziała, żebym opiekowała się Edwardem, kiedy odjedziesz.
- Tak ci powiedziała?
- Czy ty masz gdzieś odjechać, Lora? - Matylda wbiła w Lorę wzrok, ale ta odwróciła się i zaczęła wycierać ręcznikiem resztki kawy z bluzki.
- Wiesz, że Róża zawsze plotła bzdury - skwitowała i siadła do komputera.

Matyldy to nie przekonało. Wodziła za Lorą przez pół dnia badawczym wzrokiem i nie podobało jej się to, że ona jej wzroku unika. Żeby się nad tym zbyt długo nie zastanawiać, po południu wsiadła do forda i pojechała do miasta. Odebrała Julię ze szkoły, a w drodze powrotnej zatrzymała się przy kwaciarni i kupiła kwiaty.

Lora wytrzeszczyła oczy, kiedy położyła je na szafce z butami w przedsiionku.

- Matyllda, dobrze się czujesz?

- Chyba tak.

- Chyba? To po co kupiłaś te kwiaty? Matyllda wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- Jak to nie wiesz?

- Kiedy je kupowałam, nie wiedziałam.

- A teraz?

- W drodze do domu przyszło mi do głowy, że mogłabym z nimi pojechać na cmentarz... Tak sobie pomyślałam.

Lora mierzyła ją przez chwilę wzrokiem, a potem nagle powiedziała:

- To ja też pojedę.

- Ty? Przecież nigdy tam nie chciałaś jechać.

- Ale teraz chcę. Może właśnie przyszła na to pora. Julia! - zawołała do córki bez namysłu. - Nie rozbieraj się, pojedziemy do twojego ojca. Jeśli oczywiście chcesz.

Julia nie odpowiedziała, tylko z powrotem zarzuciła na ramiona na wpół zdjęty płaszczyk.

Grób Mateusza sprawiał ponure wrażenie, mimo że stał w ładnym, jasnym miejscu. Niewiele się zmieniło, kiedy Matyllda położyła na nim kwiaty. Lora skrzywiła się.

- Myślisz, że ta kanalia na to zasługuje? - zapytała z nagłą złością.

- Może jakaś część jego duszy była dobra... - wyjąkała Matyllda. - To dla tej właśnie części. A gdyby nawet nie, to we mnie już nie ma nienawiści. Mogę spokojnie położyć kwiaty na jego grobie.

- Masz rację. Ja chyba też nie przyszłam tu po to, żeby się nad sobą pastwić, tylko ostatecznie go pogrzebać. Tak... -Spodobało jej się wyraźnie to, co powiedziała. - Po to tu właśnie przyszłam.

Matylda przeżegnała się.

- A więc niech będzie ostatecznie pogrzebany. Spojrzały na Julię. Julia patrzyła nieruchomym wzrokiem na zwał ziemi. Wzięły ją za ręce i odeszły. Lora pociągnęła je w stronę grobu Róży Lorenc. Kiedy zobaczyła na nim świeżo, jakby dopiero co położoną różę, zatrzęsała się.

- Nie wiem, co tu jest grane... Skąd się biorą te kwiaty... -wydusiła Lora. - Gdybym była tobą, doszukiwałabym się pewnie metafizycznych znaczeń... Ale nie jestem tobą i myślę tylko, że to wszystko jest cholernie, banalnie melodramatyczne.

- Nie przeklinaj nad grobem Róży - zganiła ją Matylda. -Ciagle tylko przeklinasz. Może to sprawka jednego z tych chłopców i tyle.

Lora zerknęła na Matyldę z nagłym olśnieniem. Przekonało ją to wytłumaczenie, więc pomodliła się chwilę, a potem odeszła.

W ciągu kilku następnych dni Lora była bardzo aktywna. Ciagle gdzieś jeździła, wydzwaniała, coś załatwiała. Matylda nie wsłuchiwała się, co konkretnie, bo nic nie chciała wiedzieć. Najgorsze zawsze przychodzi niespodziewanie, ale tym razem Matylda spodziewała się najgorszego na długo przedtem, nim się stało.

W końcu któregoś dnia Lora zabrała ją do banku i tam kazała złożyć podpis na karcie podanej przez pracownika. Matylda nigdy nie była w banku i nigdy niczego nie podpisywała, więc spojrzała na Loreę pytająco.

-No podpisz, do cholery! - warknęła Lora. Pracownik banku zerknął na nią karcąco, ale się tym nie przejęła. - To konto Julii, do którego będziesz upoważniona - wyjaśniła.

- Po co mam być upoważniona do konta Julii? - spytała Matylda po wyjściu z banku.

- Po to. Załatwiłam Julii rentę po Mateuszu. Należy jej się to po tym su... po ojcu.

Z banku pojechały do notariusza. Tam Matylda musiała podpisać o wiele więcej dokumentów, ale o nic już nie pytała. Z naburmuszoną miną składała je mechanicznie jeden za drugim.

- Od dziś - zaczęła Lora, gdy wracały - jesteś właścicielką mojej części Wzgórza. Druga połowa należy do Julii. Żeby się paliło, waliło nikt ci tego nie odbierze. Wiesz, mam nadzieję, co to dla ciebie oznacza? - Ponieważ Matylda, wciąż naburmuszona, nie raczyła odpowiedzieć, Lora zrobiła to za nią: -Będziesz żyć sobie tu ze swoimi zwierzętami i do końca życia nie bać się, że ktoś może ci w każdej chwili to odebrać. To swego rodzaju wolność, rozumiesz?

- Gdzieś mam taką wolność - warknęła Matylda - bez ciebie.

- Powinnaś się chyba cieszyć. Przecież zawsze mnie nienawidziłaś.

- I dalej cię nienawidzę.

- Renta Julii pozwoli wam jakoś przetrwać - kontynuowała Lora, nie zważając na to wyznanie. - Zostawię wam jeszcze na początek trochę pieniędzy z tłumaczeń, a potem zobaczymy. Oczywiście nie oczekuję z twojej strony zapewnień, że zajmiesz się Julią i tak dalej... O to jestem spokojna. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała: - Myślę, że Bóg mi ciebie zesłał, Matylda.

Matylda mocno objęła się ramionami.

- Dlaczego? Dlaczego? Czy gdyby mnie nie było, nie zajęłabyś się sama córką?

- Nie o to chodzi, czy bym się nią zajęła, czy nie... Chodzi o to, że ciągle mam ochotę wypić drinka, nie jednego, tylko kilka, iść gdzieś, zabawić się... Taka już jestem. I nie o to chodzi, że nie potrafiłabym się powstrzymać... Może bym i potrafiła, tylko że ciągle coś mnie gdzieś ciągnie. Może po prostu nie znalazłam, jak ty, swojego miejsca. Zresztą, żadne słowa nie oddadzą tego, co naprawdę czuję, czego chcę...

- Właśnie. Więc mi tego wszystkiego nie tłumacz. Nie lubię takich tłumaczeń, takich wyznań... Wszystko powinno być o wiele prostsze...

- Sama się przekonałaś w ostatnim czasie, że nic nie jest proste, tak jak sobie to przez trzydzieści lat zakładałaś, więc nie chrzań. Pewnie, że wcale nie muszę ci tego wszystkiego tłumaczyć, ale z czystego szacunku dla ciebie pewne słowa powinny paść.

- Gdzieś mam taki szacunek. Zostawiasz córkę i tyle.

- Z tobą. Kocha cię... Od początku cię pokochała, choć mogło się zdawać, że nie była genetycznie do czegoś takiego zdolna. A przy mnie zawsze była niepewna, zawsze był jakiś niepokój. Któregoś dnia wypiję o jednego za dużo... Nie chcę, żeby moja córka na to patrzyła. Nie chcę też być patetyczna ani tym bardziej nieuczciwa i mówić, że robię to właśnie z jej powodu, dla niej, ale pomijając wszystkie inne przyczyny, coś w tym jednak jest.

- Nie twierdzą już, że nie kochasz swojej córki. - W głosie Matyldy zabrzmiała nutka smutku. - Jest tylko jedna matka na świecie do tego zdolna.

-Przejmujesz się? - Lora strzeliła w jej stronę wesoło oczami.

- Odkąd mam kogo kochać, już nie.

- I o to właśnie chodziło, moja ty ponura siostrze. Bóg czasem lituje się nad takimi pokręconymi duszami i wzajemnie je sobie zsyła.

- Nie zamierzałam ci nigdy tego mówić, ale przecież ty i tak wiesz.

- Wiem - przytaknęła Lora. - Może kiedyś pokochasz też moją córkę. Przyspieszyła nagle, jakby chciała zwrócić swoją i Matyldy uwagę na sam fakt przyspieszenia.

Kilka dni później wyjechała do Londynu.

Najpierw Matylda zajęła się Julią. Kupiła wszystko, co dziecko w jej wieku powinno mieć. Potem odświeżyła pokój, który zajmowała Lora, urządziła go na nowo i tam przeprowadziła Julię, a pokój po Mateuszu zamknęła na wieki. Każdego ranka pomagała Julii wyszykować się do szkoły, a po południu czekała na nią z obiadem. Kupiła rower i Julia codziennie wozila Edwardowi ciepły posiłek. Kiedy wracała z naczyniami, Matylda wypytywała ją o Edwarda: co robi, jak wygląda... Julia chętnie opowiadała o starszym panu, zajęтым bez reszty budowaniem wspaniałego miasta. Nie była pewna, czy zdaje sobie sprawę, kim ona jest i czemu przychodzi codziennie z obiadem, ale któregoś dnia zapytał ją o Lorę, wtedy powiedziała mu, że pojechała tam, gdzie spędziła swoje dzieciństwo, a on się ucieszył. Jeśli kiedyś wróci, będzie na nią czekał ze swym wspaniałym światem.

- Czy on ma nie po kolei w głowie? - zapytała Julia.

- Nie - odpowiedziała Matylda bez namysłu. - Każdy ma prawo żyć tak, jak mu się podoba, jeśli tylko nie wyrządza przez to nikomu krzywdy.

- Będę o tym pamiętać - powiedziała Julia z powagą, stojąc bardzo blisko Matyldy, tak jakby się chciała do niej przytulić.

Matylda nie miała czasu przytulać Julii ani odpowiadać na dziesiątki pytań, które ta zaczęła nagle zadawać, pytań, których przez całe swe dzieciństwo, pogrążona w złości na cały świat, nie zadała. Zbyt wiele było pracy w domu i poza nim, zwłaszcza że wiosna wybuchła tak niespodziewanie. Julia chciała we wszystkim pomagać i Matylda jej pozwalała, widząc, jak bardzo chce być pomocna, nie dostrzegając z rozmysłem, że dla dziecka to najlepszy pretekst, by być przy niej jak najbliżej. Z czasem nauczyła się tak krążyć wokół Matyldy, być blisko niej, ale zachowywać dystans na tyle, by jej swą bliskością nie drażnić.

Wieczorami rozkładała książki przy kuchennym stole -mogła się nad nimi skupić tylko wtedy, gdy w pobliżu była Matylda. Unosiła wzrok znad książki i wodziła nim za Matyldą, kiedy ta przygotowywała kolację albo siedziała tylko przy oknie i patrzyła. Któregoś wieczora wróciła z pola niehumanie umęczona, ale zadowolona, że tyle siana udało się sprzątnąć przed niepogodą. Znużona, usiadła na ławie w kuchni, niech się teraz dzieje co chce, niech nawet przez tydzień pada. Właśnie zaczęło padać.

- Nie pozбираłam jajek - przypomniała sobie nagle. Julia zerwała się od stołu.

- Ja pójdę! - zaoferowała skwapliwie i wybiegła w pośpiechu na deszcz, chwytając po drodze wiszący w przedsiionku stary płaszcz.

Wróciła zaraz i wyjmując jajka z głębokich kieszeni, zamarła nagle w bezruchu. Matylda uniosła na nią wzrok i widać było po twarzy, jak coś do niej bardzo powoli dociera. Ale kiedy już dotarło, powiedziała szybko:

- Zostaw!

- Tyle pieniędzy, Matylda...

- Wiem, że tam są i że jest ich bardzo dużo. I mają tam być, nieruszone na wieki. Aż stracą na wartości albo zostaną wycofane z obiegu. Taki ma być ich los: mają się stać po prostu niczym.

- Czy to są złe pieniądze?

- Bardzo złe.

- Domyślam się za co.

- Nie zwracaj sobie tym głowy, bo to nie ma już najmniejszego znaczenia. Zdejmij ten łach, powieś go tam, gdzie jego miejsce...

- Wyniosę go na strych.

Matylda skinęła na znak zgody. Zdziwiła się teraz, że w pewnym momencie samej jej to nie przyszło do głowy.

- Zanieś go do jego pokoju. I zamknij na klucz, tak jak było.



- Gdyby mama wiedziała... - szepnęła Julia, idąc na górę.  
- Lora nigdy nie ruszyłaby tych pieniędzy - powiedziała Matylda z przekonaniem, śledząc każdy krok Julii, a potem dodała cicho: - Mogłabym oczywiście oddać je policji, ale czy uwierzyliby, że nie było ich albo nie ma więcej? Pytania, śledztwo... Nie! Po co mi to i właściwie z jakiej racji? Z jakiej racji mam przez to wszystko jeszcze raz przechodzić?

Z jakiej racji - powtarzała sobie kilka razy na dzień, żeby się podbudować czy też dodać sobie otuchy, bo w pewnym momencie spostrzegła, że coś nie daje jej spokoju. Dopiero po jakimś czasie zrozumiała, że to coś, to sumienie oficera Centralnego Biura Śledczego. Dotarło to do niej w jednej chwili, ale całkiem jasno, konkretnie, nie pozostawiając cienia wątpliwości, że o to właśnie chodzi.

Zabawne, pomyślała, dlaczego ja miałabym się tym przejmować, przypominając sobie, z jaką determinacją wsuwał do jej ręki wizytówkę, licząc, nie wiadomo dlaczego, że to Matylda w jakimś cudowny sposób da mu dowód, pozwalający w jakiejś części uspokoić jego sumienie. Dowód pozwalający określić kreaturę, która zabiła jego przyjaciela, mianem mordercy.

Rozumiała go. Nie zastanawiała się dlaczego, ale rozumiała pobudki tego człowieka doskonale. Sama czuła podobnie, chciała tego i wiedziała, że brakuje jednego elementu, który dopełniłby wszystkiego: zabił dobrą pamięć po Mateuszu Borysie. Jeśli taka jeszcze istniała.

Pieniądze były takim dowodem. Ohydne, brudne pieniądze. Czy dla własnej wygody i spokoju może je zataić przed światem? Może, ale niepokój i wyrzuty sumienia, że coś w swoim życiu zrobiła nie tak, pozostaną na zawsze.

Błędne koło, pomyślała, idąc do komody, do której machinalnie wrzuciła wizytówkę oficera, nawet jej nie oglądając. Niech się dzieje, co chce. Wyjęła wizytówkę i kiedy wy-

kręcąc podany na niej numer telefonu, zerknęła na nazwisko, natychmiast rzuciła słuchawkę. To nazwisko. Zwyczajne, proste nazwisko! Nie miała aż tyle na głowie, by nie skojarzyć w jednej chwili, gdzie je widziała. Wysunęła szufladę w kuchennym stole i w notesie z adresami odbiorców koszyków odnalazła kartkę z listą, którą znalazła w szopie Lora.

Osiem nazwisk skreślonych w notesie, dziewięć - w tym jedno nieskreślone - na kartce. Pełna księgowość płatnego mordercy. Jaki był sprytny, jaki pewny siebie i skrupulatny pod tym względem. Brakowało tylko kwot, jakie za każde z nich otrzymał. Pieniądze zostały w kieszeniach płaszcza i na tych wszystkich wspaniałych wyspach, na które większość ludzi nawet w marzeniach nie dotarła.

Jedno nazwisko nieskreślone... Nie zdążył go nawet wpisać do notesu i zakamuflować między odbiorcami koszy. Bo nie zdążył zabić. Tylko dla porządku porównała je z tym na wizytówce.

Podniosła słuchawkę i po raz drugi wykrciła ten sam numer. Kiedy odezwał się po tamtej stronie, powiedziała krótko:

- Mam dowód. Pan miał być następny. Proszę przyjechać i zabrać to ode mnie.

Nikt na świecie nie dotknie banknotów, którymi ktoś płacił za zabicie człowieka. Nikt nigdy już nie powie, że Mateusz Borys był uczciwym i szanowanym wyplataczem koszy. Tego wymagała ludzka i boska sprawiedliwość.

Matylda położyła się spać i spała dwanaście godzin. A kiedy wstała, przez następnych dwanaście godzin upajała się odzyskaną po trzydziestu jeden latach życia wolnością.

- Teraz możemy wreszcie normalnie żyć - powiedziała do Julii.

Julia przytaknęła skwapliwie i w tej samej chwili opuścił ją dręczący od dnia narodzin niepokój. Zostawiła Matyldę sa-

mą i poszła bawić się z Tenorem przed domem jak dziecko. Zapra gnęła wreszcie pobyc ć dzieckiem.

Listy i e-maile od Lory przychodziły na początku bardzo regularnie. Matyl da ka żdy z nich czytała po kilka razy, usiłując odnaleźć choćby między wierszami przynajmniej cień jakiegoś entuzjazmu, ale, ku własnemu zadowoleniu, nic takiego nie znajdowała. Po ka żdym z nich nabierała coraz większej pewności, że wróci, zawiedziona, na Wzgórze. Po pewnym czasie listy przestały przychodzić.

Lora wypięła o jednego za du żo w pewnym pubie w Londynie, w niezbyt ciekawej dzielnicy. Niestety, nie odnalazła swego miejsca u boku ojca. Od razu zorientowała się, że tak naprawdę są dla siebie obcymi ludźmi, dzieliła ich przepaść długich lat niebycia ze sobą. Wszystko, co mieli sobie do powiedzenia, powiedzieli w jeden wieczór i nie było już o czym rozmawiać - zdążyła jeszcze w ostatnim liście napisać do Matyl dy.

Matyl da któreg oś wieczora poczuła mocny ucisk w okolicy serca. Od razu wiedziała, co się stało. Nie powiedziała Julii, że jej matka nie żyje i nigdy tego nie zrobiła. Pocz uła ogromną pustkę i przejmujący żal, że Lora nie umarła przy niej.

Chciała być przy niej, jak przy żadnej innej osobie, które dotąd przed śmiercią pielęgnowała. Chciała pielęgnować ją i sprawić, żeby nie czuła się samotna. Nie z przymusu czy obowiązku, jak to do tej pory robiła. Bardzo ją to zabol ało i wtedy rozplakała się po raz drugi w życiu. Jesienią było bardzo źle. Póki przychodziły pieniądze od Lory, jakoś wiązały koniec z końcem. Matyl da nie chciała gło śno się zastanawiać, dlaczego już nie przychodzą.

Wieczorami siadała przy oknie w kuchni i przeglądając rachunki albo długą listę tego, co należy w pierwszej kolejności kupić, zastanawiała się, jakim cudem kiedyś całe życie na Wzgórzu funkcjonowało długie miesiące bez stałego dopływu gotówki. Renta Julii była niewielka, ale były to pieniądze za pomocą których kiedyś Matyllda mogła zdziałać cuda. Przypominała sobie, jak w najgorszych czasach, nie chcąc prosić Mateusza o pieniądze, których - była pewna - nie miał, jadła tylko jajka, warzywa z pola i raz w tygodniu drób. Teraz też tak można, przychodziło jej czasem do głowy. Wtedy Julia wracała ze szkoły i Matyllda ze zgrozą dostrzegając nagle, że rękawy płaszczyka, który jej kupiła na wiosnę, sięgają do łokci, a na nogach ma letnie buty.

- Ale to nic - szczebiotała Julia beztrąsko - zaraz i tak będzie zima, to zimowe mi kupisz.

- Może i tak - zgadzała się Matyllda bez przekonania. Następnego dnia starała się nie patrzeć, jak Julia wkłada swój kusy płaszczyk. Zaraz i tak będzie zima, pocieszała się wsuwając jej do plecaka drugie śniadanie. Potem wysunęła szufladę w kuchennym stole i długo patrzyła na leżący na jej dnie banknot, nim go wyjęła i podała Julii.

- Kup po szkole masło i kawałek jakiegś wędliny na kanapki... Bo już nic nie ma.

Nazajutrz, kiedy otwierała lodówkę, mała stanęła za nią i zadzierając w górę uśmiechniętą twarz, zaprotestowała:

- Nie chcę więcej kanapek do szkoły. I tak je zjadam na siłę albo daję bezdomnym psom po drodze.

Matyllda zamknęła lodówkę i oparta o jej drzwi patrzyła, jak Julia wkładając płaszcz, trzyma w palcach mankiety rękawów, by nie wydawały się takie krótkie. Wtedy przypomniała sobie, że robiła tak samo, chcąc uniknąć wiecznego zrzędzenia ciotki Mili, która, ilekroć coś nowego musiała kupić siostrzenicy, wygłaszała wprawdzie niekończące się tyrady na temat

ciężaru, jaki wzięła sobie na kark i żeby choć kto docenił, ale nie: każdemu się zdaje, że utrzymanie takiego dziecka to pestka. Matka da coś albo i nie i wszystko na jej głowie... Przypomniała sobie także, jaki apetyt miała w tym wieku, jak ciągle rozglądała się za jedzeniem i jak jej go zawsze było mało. Nie, nie głodowała nigdy ani u ciotki Mili, ani potem w domu dziecka, ale ciągle ssanie w żołądku sprawiało, że przeważnie nie myślała już o niczym innym.

Otworzyła z rozmachem lodówkę, rozkazując Julii usiąść i czekać na to, co jej się należy. Krojąc pajdy chleba, smarując je grubo masłem i obkładając wędliną, mówiła ze złością:

- Dostyc tego! Nigdy w życiu nie pójdziesz do szkoły bez jedzenia i nigdy już nie włożysz tego cholernego płaszcza. Ostatni raz! Ostatni raz go wkładasz. Po szkole będę czekać na ciebie, pójdziemy do sklepu i kupimy wszystko co trzeba. Dostyc tej bierności, tego zamknięcia i wiecznego kombinowania, czy nie dałoby się za jeszcze mniejszą kwotę przeżyć. Dostyc.

Włożyła do plecaka Julii kanapki, kazała jej wsiąść do samochodu, odwiozła do szkoły, a wracając, zajechała do Michała. Wyjeżdżał akurat do krowy czy konia w pobliskiej wsi, ale ucieszył się, bo dawno jej u niego nie było. Dał jej klucz do lecznicy i poprosił, żeby poczekała. Zgodziła się bez namysłu, bo przyszło jej do głowy, że jeśli wyjdzie stąd teraz, może się rozmyśli i już nigdy nie wróci. Weszła do gabinetu, ogarnęła wzrokiem niesamowity bałagan i od razu zabrała się do pracy. Poukładała narzędzia i leki, tak że nie leżały w jednym stosie razem z drugim śniadaniem Michała. Wyszorowała stół do zabiegów i położyła na nim czyste prześcieradło. Z poczekalni powyrzucała puste kartony, opakowania po zużytych lekach i stosy innych śmieci, tak że kiedy przyszła młoda kobieta z psem, miała gdzie usiąść, a pies położyć się w oczekiwaniu

na doktora. Matylda tymczasem przygotowała stół do przyjęcia pacjenta. Kiedy Michał wrócił, w pierwszej chwili wpadł w panikę. Nie miał pojęcia, gdzie co leży i jak czegokolwiek szukać. Wtedy powiedziała mu, żeby się uspokoił, wystarczy, że poprosi, a ona mu wszystko poda. Po chwili zjawili się wielu pacjentów, więc nie było czasu na żadne rozmowy. Michał zajął się kolejnymi zwierzakami, temu przebijając ropień, tego szczepiąc, innemu zapuszczając krople do uszu. Matylda, mimo całego, wywołanego ładem optymizmu, nie bardzo wiedziała co i kiedy podać, więc musiał ją krok za krokiem instruować, ale ani słowem nie wyraził dezaprobaty, kiedy się pomyliła albo stłukła fiolkę ze szczepionką. W całym tym chaosie rzucił tylko, ile jej może płacić i dodał otuchy, że po kilku dniach będzie mieć wszystko w małym palcu. Rzeczywiście, nie minął tydzień, a Matylda poruszała się w gabinecie weterynarza jak we własnej kuchni.

Minęło o wiele więcej czasu, nim Michał odnalazł się w tym wrogim mu na pierwszy rzut oka porządku, ale potem był zadowolony i na każdym kroku dawał to Matyldzie do zrozumienia, aż w końcu powiedziała mu: - Dość tych pochwał, Michał. Nie ma na całym świecie innej pracy, a tym bardziej w tej biednej okolicy, którą z takim sercem mogłabym wykonywać, więc nie obawiaj się, że odejdę.

Wkrótce wszystko miała w małym palcu i życie Michała Dusznego nabrało wreszcie jakiego takiego ładu. Matylda potrafiła zapanować nad chmarą psów, kotów, chomików, żółwi, a zwłaszcza nad ich przewrażliwionymi właścicielami, z czym Michał nigdy sobie nie radził. Odtąd mógł w każdej chwili zostawić gabinet i nieść pomoc zwierzętom gospodarskim, co robił zawsze z wielką ochotą, doskonale zdając sobie sprawę, że przez chłopów nigdy nie był wzywany z błahych powodów. Nie zdarzyło mu się w całej praktyce jechać do psa gospodarskiego, który od dwóch dni nie ma apetytu, bo bez opamiętania był faszcerowany ciastkami. Nigdy nie miał też śmiałości wygarnąć podobnych rzeczy nieodpowiedzialnym właścicielom. Matylda robiła to bez ogródek. - Jeśli da pani tej jamniczce jeszcze jedną drożdżówkę, będzie się musiała z nią pani rychło pożegnać. Tusza psa nie świadczy o jego zdrowiu, tylko kalectwie.

Bez emocji, chłodno wypowiedane nagany zawsze przynosiły efekt. Również i z tego powodu, że Michał był jedynym weterynarzem w okolicy. Można się było obrażać i złorzeczyć na przesadnie bezpośrednią asystentkę weterynarza, ale tylko do następnej wizyty.

Matylda polubiła tę pracę i w prostych przypadkach potrafiła udzielić zwierzątom pomocy, kiedy sytuacja do tego zmuszała. Potrafiła opatrzyć ranę, wyjąć kleszcza, a nawet dać zastrzyk przeciwężcowy, jeśli było trzeba. Wrodzona miłość do zwierząt i praktyka z własnym stadkiem sprawiły, że nawet jej ruchy nie były tak niezgrabne, jak się tego obawiała. Poza tym lecznica Michała lśniła odtąd czystością i przestały go nękać najrozmaitsze kontrole, grożące, bywało, zamknięciem placówki. Był za to wdzięczny Matyldzie i uczciwie wynagradzał jej pracę, a Matylda była wdzięczna pustej lodówce i płaszczkowi Julii, które pozwoliły jej otworzyć na pewne sprawy oczy i wyjść wreszcie poza ciasny, choć bezpieczny kokon Wzgórza.

Nie mogła już wysiadywać na werandzie i napawać się widokiem szczęśliwych pod jej opieką zwierząt ani przechadzać między rządami marchewki i wypatrywać najdrobniejszych chwastów, które odważyły się przebić przez spulchnioną glebę. Zwierzęta były i tak szczęśliwe - musiała tylko mniej guz-drać się przy ich karmieniu, a także szybciej i krócej głaskać każde z nich, żeby nie zapomniały jej dotyku - a chwasty wy-

plewione jak dawniej, późnym popołudniem, w pośpiechu, bez ceregieli i może tylko trochę mniej dokładnie.

Wstawiała skoro świt, doiła krowę i wyganiała letnią porą na łąkę lub przynosiła siano zimą. Pogładziła ją po karku, chwilę z nią porozmawiała, a potem trzeba było zrobić porządek z mlekiem: ponalewać w gary, pozlewać z garów do woreczków na sery, pozbierać śmietanę ze słoików, pomyć wszystko i przygotować na wieczór. Kury były mniej absorbujące, ale Biała Dama i Kreska przy każdej okazji domagały się czułości.

Tenorowi wynagradzała wszystko wieczorami, leżąc z nim na kanapie, głaszcząc i tuląc łeb. Jemu należało się najwięcej: pilnował Wzgórza, kiedy wychodziła do pracy, a Julia do szkoły.

Najgorzej było w okresach nasilonych prac polowych, wiosną i latem. Sadzenie, plevienie, sianokosy... Czasem miała wrażenie, że dopiero co skończyła jedno, a już trzeba robić drugie. Czas mijał tak szybko i tak go było wciąż mało. Czasem padała późnym wieczorem na kanapę i nie miała siły, żeby pogłaskać Tenora, wtedy sam wsuwał łeb pod jej ramię i odbierał, co mu się należało. Zapadała w krótkie, na pół przytomne drzemki, nie mając nawet siły przykryć się kocem, wtedy Lora stawała nad nią i przykrywała nim. Czasem gładziła ją po policzku, czasem po spracowanych dłoniach, ale zawsze, za każdym razem uśmiechała się z niespotykanym u niej spokojem i łagodnością

Matylda zrywała się na równe nogi i rozglądając po saloniku, mówiła cicho: - Lora, Lora...

Ale Lory nie było. Był tylko zapach bardzo delikatnych perfum, których zawsze używała i świadomość, że gdziekolwiek jest, odnalazła wreszcie to, czego przez całe swoje poplątane życie szukała.

Zimą było trochę lżej. Krótkie dni wolne od pracy poświęcała nagromadzonym domowym zaległościom, a kiedy



się już z nimi uporała, leżała po prostu na kanapie i nabierała sił. Wtedy, przymykając oczy, napawała się bezczynnością i zastanawiała, jak długo tak wytrzyma. Wytrzymam - mówiła sobie, a za chwilę: Nie dam rady - i wtedy skóra jej cierpła na karku, bo już nie wyobrażała sobie powrotu do dawnego życia. W całej jej długoletniej walce o Wzgórze - bo teraz już wiedziała, że odkąd się tu zjawiała, każdego dnia walczyła o Wzgórze - była w gruncie rzeczy bierność, wypływająca z przekonania, że Wzgórze samo, dzięki jej pracy, zapracuje na Wzgórze. I było to też fałszywe przekonanie, że musi trwać na nim dzień i noc, bo tylko tak da się je obronić. Nie musiała go przed niczym bronić, tylko dbać, żeby dało się na nim zwyczajnie żyć. Bez bezustannego odmawiania sobie wszystkiego, co sprawia, że życie jest chociaż odrobinę przyjemne. Michał odważył się któregoś dnia powiedzieć, że teraz o wiele częściej się uśmiecha.

- Jak mam się nie uśmiechać, Michał - mówiła, robiąc mu listę leków i środków opatrunkowych do przywiezienia - kiedy wreszcie przekonałam się, że jestem coś warta poza Wzgórzem. Kiedy zimą mogę się położyć w ciepłym pokoju i odpoczywać dla samego odpoczynku i cieszyć się, że na zewnątrz taki mróz, a moje zwierzęta mają ciepło, Tenor starzeje się przy mnie w ciepłe, a ja nie muszę drzeć w wiecznej obawie, że to wszystko kiedyś się skończy. Tylko ten czas... - Podała mu gotową listę i pogłaskała psa, który leżał na stole po zabiegu. - Tylko to jedno mnie martwi. Dopiero było wczoraj, już jest dziś, a zaraz będzie jutro i kolejna wiosna, potem zimą, kolejny rok... Nie o to chodzi, że mija, tylko że razem z nim mijają moje siły i coraz ich mniej... Mogłabym się pozbyć wszystkich zwierząt, wtedy nie musiałabym uprawiać pola i kosić łąki, tylko po co wtedy byłoby mi to wszystko...

- Podaj mi nożyczki - powiedział Michał, kończąc szyć ranę na karku psa.

- Że kiedyś zabraknie mi sił... - dokończyła już jakąś inną myśl Matylda, mechanicznie podając nożyczki.

W samą porę: pies obudził się i poderwał na nogi, ale był tak kołowaty, że nie protestował, kiedy wzięła go na ręce i wyniosła z gabinetu. W poczekalni podała go właścicielowi i poradziła:

- Może wymiotować, to niech pan z nim posiedzi chwilę przed lecznicą na schodach.

- Na schodach? - zdziwił się. - Rzuciłem mu w samochodzie na podłogę stary koc, niech rzyga, nie będę z nim siedział na takim mrozie.

- Na mrozie? - zdziwiła się z kolei Matylda. - Przecież dopiero co... - Wyjrzała oknem i nie dokończyła, że dopiero co było lato.

Rzeczywiście, sił coraz mniej, a najgorsze, że ich brak tak bardzo odbija się na koncentracji, skoro do tego stopnia można się zagubić w czasie. A tu w domu jeszcze tyle pracy, nim się będzie można położyć i odpocząć, i nie wiadomo, jak długo jeszcze tak się poradzi z tym wszystkim.

W niedługim czasie jednak spostrzegła, że wiele rzeczy, do których zrobienia się zabierała, było już zrobionych. Całkiem kołowacieję, pomyślała, albo już tak to wszystko mi wychodzi mechanicznie...

Zauważyła, że z dnia na dzień coraz więcej ma czasu na odpoczynek i tęsknotę za Lorą, że kuchnia jest sprzątnięta, zwierzęta nakarmione, a ona w ogóle nie czuje się zmęczona. Na początku ucieszyła się, ale po jakimś czasie przyszedł niepokój, bo mimo wysiłku nie mogła sobie za nic przypomnieć, kiedy zrobiła pranie albo umyła gary po mleku.

Przez dłuższy czas nie dawało jej to spokoju, więc postanowiła skupić się na każdej wykonywanej czynności, by ją zapamiętać. I któregoś dnia, siedząc z opartą na dłoniach brodą przy stole, spostrzegła, że w kuchni chodzi dorosła

kobieta, ma piękne włosy zaplecione z tyłu i odrzuca je co jakiś czas z ramienia, składając przy desce do prasowania pościel.

Wstała i bardzo powoli zaczęła iść w jej stronę. Ta kobieta rzuciła jej tylko wesołe spojrzenie i ułożyła na ławie pięknie uprasowane prześcieradło.

- Julia... - szepnęła Matyllda. - Co ty właściwie... Jak...?

- Źle się czujesz? - odezwała się Julia głosem Lory i na chwilę zatrzymała na Matyldzie zaniepokojone spojrzenie. - To się połóż.

- Położyć się? O tej porze?

- A co masz do roboty - szczebiotała Julia na pół dziecięcym, na pół dorosłym głosem. - Krowę napoiłam, zaniiosłam siana... Już jej nie dołam na wieczór, jak rano dała tyle co kot napłakał. Będzie chyba spokój z mlekiem, dopóki się nie ocieli.

Matyllda chciała coś powiedzieć, ale jak w koszmarze sennym głos uwiązł jej w gardle. Tylko że to nie był żaden koszmar. Julia rzucała jej wesołe spojrzenia, jakby tylko trochę zdziwiona jej zdziwieniem.

- A resztę poprasuję, jak wrócę - mówiła, składając deskę i zerkając co chwila na zegar za lodówką. - Zresztą tylko same ręczniki, to moment. Zaraz Marek przyjedzie i znowu będzie się wściekał, że nie jestem gotowa... Wiesz, jaki on jest...

- Marek? A kim on u diabła jest?

- Nie żartuj sobie, Matyllda, to mój chłopak. Wiem, wiem, za długo z nim chodzę, jakby tylko on jeden byt na świecie, znam te śpiewki...

- To znaczy, jak długo z nim chodzisz? - Matyllda nie przestawała się dziwić. - Julia, ty chyba jesteś już dorosłą kobietą...

- No co ty, Matyllda, obudziłaś się?

Matylda podeszła do Julii, patrzyła przez chwilę na jej piękną, otwartą twarz, a potem, zdumioną, przytuliła nagle bardzo mocno do siebie.

- Julia... Moja kochana Julia...

Julia, speszona, oderwała się od Matyldy i odwróciła szybko, żeby ukryć łzy. Nigdy dotąd nie płakała, chyba że we wczesnym dzieciństwie z jakiejś niepojętej już teraz wściekłości. Ale to były dawne czasy.

Teraz było Wzgórze i zwierzęta, z których każde miało swoje imię i swoje miejsce w jej sercu. Była Bela staruszka i Tenor junior. Stary Tenor nie wychodził już prawie z kuchni, gdzie Matylda zrobiła mu wygodne posłanie, żeby w cieple dożył swojego czasu. Biała Dama położyła kiedyś łeb na stopie Matyldy siedzącej na schodach werandy i już go więcej nie podniosła. Wtedy Julia poszła na targ i wybrała ze stadka przeznaczonego na sprzedaż największą i najbardziej nieznośną gęś. Biała Dama juniorka w niczym nie ustępowała swej poprzedniczce. Może nawet była jeszcze bardziej nieznośna i przebiegła, jeszcze bardziej dokuczała kurom i głośniej żaliła się na swój gęsi los. Julia nigdy nie dała się nabrać na te skargi, ale od czasu do czasu udawała, że się nabiera. Wtedy brała ją na kolana i gładziła po długiej szyi, co spasiona gęś bardzo lubiła, ale nawet wtedy korzystała z okazji, żeby poza wzrokiem Julii boleśnie uszczypnąć małego Tenora lub przechodzącą kurę.

Cieszyły ją te wszystkie drobne sprawy, proste zdarzenia, którymi każdego dnia żyło Wzgórze. I to, że po dniu następuje noc, a po jesieni zima. Nawet widok starzejącej się powoli, z anielskim wręcz spokojem Matyldy ją cieszył.

Lubiła siadać o zmierzchu na werandzie i patrzeć, jak Matylda z Michałem idą łąką bez celu - tylko po to, żeby iść -i rozmawiają o najzwyklejszych sprawach tego świata.

Potem Michał odjeżdżał, a Matylda wchodziła na werandę i za każdym razem delikatnie dotykała włosów Julii, jakby

się nie mogła tymi włosami nacieszyć. Siadała obok i uśmiechała się do swoich myśli. Odkąd dotarło do niej, że nie jest sama i już nigdy nie będzie, uspokoiła się i wreszcie zaczęła cieszyć się życiem. Wtedy dni przestały mijać jeden za drugim, jakby ich wcale nie było. Wróciły świadomość i radość z każdej chwili, nawet z tego, że mijają, bo taka jest kolej rzeczy i nic tego nie powstrzyma. Wszystko rodzi się i wszystko umiera. Bez strachu myślała o swojej śmierci, bo wiedziała, że będą wtedy przy niej Julia i Lora. Julia z tej, Lora z tamtej strony.